



. 8. 21.



ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom siedmdziesiąty szósty i siódmy.

Interesa Familijne.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I. i II.

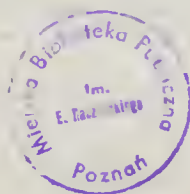
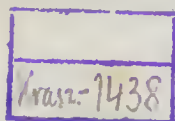
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga



Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Józefowi Korzeniowskiemu.

Nie wiem czy się to godzi, takiego powieściopisarza karmić taką jak moja powieścią? Ale znasz przysłowie — czem chata bogata tem rada; nie wiele ma, to prawda, na to nie ma rady! Przyjm więc, jako dowód szacunku dla pisarza i przyjaźni dla człowieka, tę drobnostkę, którą Ci przesłać się ośmiela szczerze życzliwy i pełen szacunku

J. I. Kraszewski.

Dnia 7. Stycznia 1852 r. Hubin.

Pisana w r. 1851, w czasie pobytu na Wołyniu, powieść ta z wielu innemi odbija, choć w części, ówczesne życie prowincji — charaktery, choć je dla czytelników swych autor w porządniejsze poprzybierał sukienki, opierają się na tych mimowolnych codziennych studiach, które życie przynosi. — Do r. 1858 piszący nie wyrzwał nigdy po za granice kraju, od dzieciństwa żyjąc w nim i nim, i winien będąc szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, iż wszystkie jego zakątki mógł z kolei zbadać i poznać. Żaden więc wpływ obcego obyczaju, wróż, nie miał mu wyobraźni. Wszystko czego się nauczył od czasu jak się uczyć i patrzeć zaczął, wziął z domowego zagonu. Powieść ta też daje obraz Wołynia i Polesia wołyńskiego, jakiemi one były około 1850, temu ćwierć wieku — ale ta ćwierć za cały wiek liczyć się może zmianami radykalnemi stosunków, jakie spowodowała. Dziś więc nie znajdują się tam ani Zawilscy ani Pobiełowie, może tylko rozplemioniona Sobockich rodzina i potomstwo panny Anieli, która jak wiemy zamąż poszła....

Interesa familijne nie miały jak to jedno wydanie i — oprócz rosyjskiego tłumaczenia — (bo o tych wielu wieść nas nie doszła, nikt na nie pozwolenia nigdy nie żądał), nie wiemy ażeby tłumaczone były.

d. 12. Grudnia 1874.

Drezno.

I.

Miło to spojrzeć na stare budowy — domy stare stawili jeszcze ludzie co w przyszłość wierzyli, co myśleli o jutrze; my dzisiaj klecim wszyscy aby dzień do wieczora w nim dobyć. To też stare domostwa oglądać aż lubo, tak w nich każda część, najdrobniejszy szczegół, wypracowane, wychuchane, obmyślane na trwanie, wygodę i wdzięk. W naszych pałacach świeci się wiele, ale tylko świeci; pod spodem wszędzie próchno, wilgoć, grzyby i zgnilizna. Bodaj to dawne czasy! Ale nie pora nad nimi się rozwodzić i porównaniem nas zawstydząć; jesteśmy w sali starego ale jeszcze krzepkiego dworu; obejrzymy się w około póki kto nie nadejdzie.

Troje okien naprzeciw nas: przez nie widać sad owocowy, agrestowe i porzeczkowe uliczki, popodpierane stare jabłonie, grube stuletnie grusze i nieprzejrzane zieloności massy. Troje drzwi, z których jedno naprzeciw okien, dwoje w bocznych ścianach, wiodą do reszty pomieszczeń. Ściany ciemne powleka starannie przypuszczona lamperja dębowa; w niej na zielonem tle, szare jakieś mgłą się desenie wielce już spłowiałe. Na prawo i lewo, między ranami lamperji kilka wygolonych głów i jedna zakwefiona matrona poglądają na nas z portretów. Brzydkie malowanie, ale pędzel nie potrafił, mimo nsilności z jaką nad tem pracował popsuć twarzy wspaniałych, poważnych, spokojnych. Przypatrzcie się tylko jak im dobrze w tych sobolich i ryśach szubach, pokrytych złocistymi i pasowymi adamaszkami, w tych kwiecistych deljach, białych kontuszach, z rękawami na szablach spartemi, z oczyma utkwionemi gdzieś w daleką przyszłość czy przeszłość.

Pomiędzy rycerzami jedna matrona modli się na księdze, krzyż przy niej, a poniżej jakieś muzyczne narzędzie. Tęskne jej wejrzenie skierowało się na Chrystusa i wciąż ku niemu pogląda, jakby mówiło: Pociesz mnie!

Krzesła, stoły, wszystko odpowiada ścianom i ich powłoce: mocne, ciemne, stare, niepozorne ale gotowe przetrwać jeszcze wieki. Zakurzony klawikorcik w kątku się ukrył i wstydzi że tak niepoczesny; na nim stoi warcabnica, leży talja kart starych. Otóż i wszystko co ozdabia i zapełnia salkę. Smutno w niej czegoś, i gdyby nie te poczeziwe portrety co ją ożywiają trochę, człękby tu sam nie lubił pozostać.

Z sieni słychać uderzenie zegara; powoli wybija południe i za szóstym młota dźwiękiem otwarły się drzwi z prawej strony, wszedł już nie młody mężczyzna. O! jakże do portretów niepodobny!

Wysoki, chudy, blady, żółty, z twarzą pomarszczoną dziwnie, zgarbiony nieco skutkiem wzrostu i wieku, wygląda na nieboszczyka, któryby z grobu powstał, tak znużony, znudzony, tak zużyty i zbutwiały. Siwe, może niebieskie dawniej oczy, zbielewały mu zupełnie, brew gęsta je ocieniła, czoło pofałdowało się wzdłuż i poprzek, policzki pościęgały fantastycznie, usta zakłęśły, broda wyskoczyła i piękny tylko orli nos na tych ruinach pozostał niewzruszony.

Strój jego przypomina niedawną przeszłość, siwe włosy przyprósza zapomniany puder, zaczesano je w tył wszystkie, a kilka loczków dowodzą, że nie bez pretensji do wdzięku — reszta ubrania do pudru stosowna. Na nim frak cyrconowy, dawnym krojem z guzami stalowymi, racymorowa długa kamizela suto wyszywana, ale oddawna zwiędła; spodnie aksamitne czarne, po kolana, na nie buty z kutasami karbowane na podbiciu. Zapomnieliśmy sutych żabotów z kameą w nie wpiętą i przepysznych chociaż poślóklanych u rąk koronkowych mankietów. Ręce warte są tej ozdoby i zawstydzają koronki białością swą i dobrze zachowanemi kształtami; znać na nich że nigdy nie pracowały, że krew nie zabiegala w nie, że osłonięte, pielęgnowane, pieszczone, słońca i

wiatru nie widziały. Na prawej ręce siedzi wielki sygnet ametystowy, na małym jej paluszkę brylantowa obrączka.

Przybyły wszedł powoli, ziewając, spojrzał zamarem okiem do koła, przedreptał posuwając trochę nogami wzdłuż sali, popatrzył machinalnie przez okna i całą swą postać wyrażał dobitnie nudę, która go wewnątrz trawiła. Dobył złotej tabakiery z kamizelki, zażył tabaki, otrząsł poproszony żabot, podniósł oczy do sufitu, dostał z drugiej kieszeni kameryzowanego zegarka, na którym jaśniała emaljowana cyfra Stanisława Augusta, ziewnął powtórę i potrzebie, i obejrzał się na drzwi wchodowe z oznaką niecierpliwości, zdając się przysłuchiwać niespokojnie i dziwić, że nic się słyszeć nie dało.

Nareszcie przyspieszony chód zatętnił w sieni żywo, coraz spieszniej przybliżał się ku drzwiom, ostrożnie otworzyły się podwoje i maleńka figurka ukazała na progu.

Nim się ci panowie przywitają, spojrzymy z kolei na małą figurkę.

To coś zupełnie nie z tych czasów, do których należy pierwsza tylko co widziana postać — sto lat przynajmniej dzieli tych dwóch ludzi. Przybyły młody chłopiec, w dzisiejszym stroju, ubrany bardzo skromnie, ubogo, ale dosyć czysto, twarz ma znękaną, smutną, bladą i zawczasu przekwitłą; na niej wyraz jakiegoś przestachu, przygnębienia i nie świeżej już boleści, z pod której przegląda jakby błysk niecierpliwy stłumionego dowcipu i przebiegłości. Wszedł z udaną czy prawdziwą bojaźnią i wstrzymał się powitany surowym wzrokiem. Nieśmiało jego oko, usta drżące, cofnęły się z wejrzeniem i gotowem słowem przed groźnem obliczem upudrowanego mężczyzny. Poprawił na sobie surducika szczelno pozapinanego, odechrząknął i po chwili wahania, w prostej linii pospieszył ku stojącemu w postawie rozkazującej, z widocznym zamiarem ucałowania jego ręki. Wyciągniona ręka podniosła się do góry, cofnęła i głos chrypliwy, suchy, zapytał:

— No! gdzieżeś to Asindziej bywał? co to jest znowu? Słyszaleś! dwunasta wybiła, a o trzech kwadransach być powinienes tutaj i czekać. — Co to jest! co to jest!

— Niech stryj dobrodziej raczy darować, — odpowiedział, niby drżącym głosem, z udaną zręcznością bojaźnią, młody człowiek — jestem cokolwiek niezdrów (tu zakaszłał) głowa mnie bolała.

— No! ale w takim razie, wszak wiesz asindziej jaki jest porządek, rzekł starszy. Czemu nie postąpiłeś wedle przepisów? W porządnym domu wszystko iść powinno wedle pewnych regul. Skoro jesteś chory, dajesz znać panu Terminińskiemu, pan Terminiński melduje mi o tem, i otrzymujesz upoważnienie chorowania.

— Ja, bo stryju dobrodzieju — odezwał się młodszy — pomimo choroby chciałem być pilnym na jego usługi i...

— No, no, na ten raz indulgencja! ale niech się to więcej nie przytrafia; ten ból głowy i opóźnienie o cały kwadrans, niepraktykowane...

Stryj zażył tabaki nieco uspokojony, i gdy synowiec ze spuszczonej oczyma stanął, założywszy ręce w tył, niedaleko progu, oparty o stół, on usiadł, zarzucił nogę na nogę i rozpoczął rozmowę, która przypominała bardzo wydawanie nauczanej lekcji, tak machinalnie szły pytania i odpowiedzi.

— Na dworze? — spytał krótko stary.

— Wilgotno i pochmurno, parno, deszczu się spodziewać.

— Barometr?

— Trochę opadł od wczoraj.

— Stopni ciepła?

— Dwadzieścia cztery.

— W cieniu?

— W cieniu.

— Dwadzieścia i cztery w cieniu! — powtórzył stryj — to wiele, to bardzo wiele. — Cóż tam nowego?

— Siwy żrebiec....

— Co, chory? uchowaj Boże?

— Zupełnie zdrów, przeprowadzono go dzisiaj na

przechadzkę.

— Papuga czy dojrzana?

— Sam jej jeść dawałem.

— Nie kazalem jej już sobie dzisiaj przynosić, bo mnie zaczyna nudzić swoim paplaniem, ale proszę mieć na nią oko, może mi przyjsć do niej kaprys.

Rozmowa stanęła na papndze, gdy szastanie nogami dało się słyszeć w sieni; stryj spojrział znowu na zegarek, drzwi otworzyły się ostrożnie i weszła kobiecina nie pierwszej już młodości, tłusciuchna, uśmiechnięta, wesołej fizjognomji i miłego twarzy wyrazu, odziana w resztki dawnego wykwintu, który teraz wyglądał na świeże, starannie polepione ubóstwo. Na widok jej powstał z chyżą galanterją stanisławowskich czasów gospodarz i nastroiwszy się do uśmiechu, powitał ją nadzwyczaj grzecznie ustami, choć widać było, że te wyrazy nie lub nie wiele znaczyły. Była to prosta forma, w której nie dźwięczyło żadne uczucie. Kobiecina pokorna, zmieszana, usiadła na rożku krzesła, które jej podał młody chłopiec, i owijając szalem spłowiałym nie zbyt już wysmukłą kibić i podartą trochę suknię, odezwała się z wesołością nadrobioną:

— Jakże się stryjowi dobrodziejowi spało?

— Wybornie Mocia dziko! wybornie! rozeszliśmy się o wpół do dziesiątej, wedle zwyczaju; do wpół do jedynastej tylko czulem, że mi podeszwy łechtano i kamieniem snem spałem aż do szóstej, a to dobra porcja. — No, a Asińdzka?

— Upadam do nóżek stryja dobrodzieja, jakżeby to można źle spać u niego, gdzie tak wygodnie?

— Całuję rączki za grzeczny komplement; ale nie eadzę żeby w oficynie....

— O! oficyna to lepsza od naszych dworków....

Gospodarz twarz obrócił ku ogrodowi i pogladził się pod brodę, jakby próbował czy dobrze była ogolona. Wybił kwadrans na pierwszą. W sieniach chód znowu, otwierają się drzwi jeszcze i trzeci gość wchodzi do sali; zimno go wita gospodarz, ukośnem wejrzieniem i kwaśnym uśmieżkiem synowiec, grzecznie i łagodnie kobieta.

Jest to mężczyzna wysoki, barczysty, zarosły wąsami sążnistymi i bakembardami, dość opasły, z brzuchem opackim; ubrany w zieloną czamare z furażerką wojskową w rękę. Twarz jego nie wydaje nic wnętrza; otwarta, rubaszna weselość, obojętność jakaś męzna, wybitniej ją tylko cechują. Wszedł powoli, uklonił się nisko, choć go trochę może ten pokłon kosztował, zatarł ręce zmieszany, msnął wąsa i odezwał się:

— Dzień dobry stryjowi dobrodziejowi.

— A! upadaj do nóg pana rotmistrza! — odpowiedział gładząc brodę stryj. — Cóż tam słychać?

— Nic, duszno tylko i deszczu omal że nie widać — nie ma czem tchnąć.

— Dlatego to pewnie i mnie w kolanach kluc zaczyna.... Zmiana niechybna.

— Co się tycze klucia — spiesźnie przerwała uśmiechnięta kobiecina — dowiedziona rzeczą, że na takie suche bole nie ma nic lepszego, jak....

— Jak nic nie robić — dorzucił odwracając się stryj — za stare grzechy musi się coś odezwać.... a najstraszniejsza podobno choroba, to lekarz i kuracja.

— Być może, czasem; ale godziż się tak drogie nam zdrowie zaniedbywać? — szybko i z wyrazem szczerzego uczucia poczęła kobieta...

— Ba! ba! szeroko o tem drogiem zdrowiu pisał Dawid — wybąknął stryj — i o lekach, i o...

Tu przerwał; dwaj mężczyźni tymczasem stali nie opodal od siebie, ukradkiem tylko spoglądając jeden na drugiego, to na kobietę, to na stryja, a towarzystwo wcale nie miało ochoty połączyć się i zlać w jedną całość.

Pierwszy co wszedł po gospodarzu, pokorne a żwa-we chłopię, mierzył barczystego rotmistrza dziwnym wzrokiem, w którym i strach i szyderstwo się mieszało; drugi z niejaką zawiścią i gniewem stłumionym, niezręcznie ukrytym, przyglądał mu się wzajemnie; stali w milczeniu nie przemówiwszy do siebie; kobiecina cała była zajęta uśmiechaniem się do stryja, który od niej twarz odwracał.

Wybilo wpół do pierwszej, i w tejże chwili otworzy-

ly się drzwi; kamerdyner wystrojony w trzewikach i pończochach, we fraku i całym ubraniu wieku gospodarza, ale znacznie od niego młodszy, ukazał się na progu. Za nim dwóch służących w liberji cynamonowej z żółtem, wniesli ogromną tacę, na której były przekąski, wódki, zimne wędliny, nowalijki różne, sery, śledzie i wszystko, czego się zwykle używa dla obudzenia śpiącego żołądka.

Przysmaczki te ustawione były ślicznie, pozamykane w naczynkach powabnych, lub rozłożone na przepysznej starej saskiej porcelanie; ale na cztery osoby byłoby ich za mało, na jedną zdawało się za wiele.

Stryj, którego odtąd kasztelanice lub szambelanice zwać będziemy, spojrzał na zegarek jakby dla sprawdzenia godziny, którą słyszał bijącą, zawinął mankiety, i zaledwie postawiono na stole tacę, wziął się zaraz do niej, spojrzawszy na swoich gości, których jakimś tylko niewyraźnem mruknieniem zaprosił.

Kobieta pierwsza odsunęła się od stołu, dziękując z uśmiechem.

— Poczekam na objad — odezwała się pokaszlując i szybkim wejrzeniem mierząc dwóch swych towarzyszków.

Rotmistrz istotnie gozdzien był widzenia, na takie go tortury wystawiało śniadanie: z miny, z oczów, ze słinki którą połykał, widać było jak mu się chciało rzucić na przysmaki, ale miał zapewne powód ani się nawet ku nim zbliżyć; założył rękę w kamizelkę, żeby się ani posunęła ku zakazanemu owocowi, podniósł oczy w niebo jakby wzywając daru cierpliwości, i na palcach odstąpił ku oknom ogrodowym, unikając pokuszenia na jakie zapach go mógł narazić.

Młode chłopię pokornie zostało na swoim miejscu, ale z oczu jego błyskał chwilami szyderski jakiś wyraz.

Już z pięć minut w milczeniu towarzyszącem pracy głęboko pojętej, nasyczał się kasztelanice, zmiatając ogromnemi porcjami co napadł, nie bez pewnego jednak porządku postępując ku coraz ostrzejszym przekąskom; już dwakroć zapił likworem coraz odmiennym, a jeszcze

ani spojrzął co się w kolo dzieje — gdy znowu otwo-
rzyły się drzwi, a niemi śmielej od pierwszych przy-
byłych, głośniej, szumniej, a zawsze nie bez oglądania
się na siebie, wszedł mężczyzna stary, poważny, łysy,
z wąsem siwym, w polskim stroju dosyć przeszarza-
nym, z miną która okazywała, że nie tyle co inni dbał
o przyjęcie, które go tu spotka, będąc siebie pewniejszy.

Miał on na sobie szaraczkową kapotę faldzistą ze
stojącym kołnierzem, kontusz karmazynowy spłowiały,
pas słucki nie pierwszej świeżości, a w ręku trzymał
lekką białą rogatą czapeczkę.

Nie podniósł nań nawet oczów zajęty zbyt znacznie
śniadaniem szambelan, i jakby się po chodzie domyślił
kto wszedł, mruknął tylko:

— Brata dobrodzieja najuiższy sługa! do nóg upa-
dam! jedną ręką czekamy....

— Dziękuję Waści, panie szambelanie, nie przysze-
dłem przeszkadzać, ale patrzeć tylko i cieszyć się, że
starszy braciszek tak mi z apetytem łomocze....

Szambelan nie już nie odpowiedział, jadł zapaleczy-
wie; przybyły witał tymczasem ręką, głową i kilka
słowami tych których zastał.

— Dzień dobry pani Hieronimowej!

— Do nóg upadam stryja.

— Jak się Waść masz Jaśku, czegoś kwaśny?

— Sługa stryja.... głowa mnie boli.

— A ty-żeś zdrów? — spytał w końcu rotmistrza.

— Ba! a cóż mam robić? — ze śmiechem dobro-
dusznym lecz smutnym odparł wojskowy.

Tymczasem szambelan jadł i jadł; nagle zastanowił
się, spojrzął na zegarek, i na nowo rozpoczął przekąski
pozostałe; wreszcie otarł usta i w chwili gdy kładł
widelec, drzwi z lewej strony otworzyły się szeroko,
kamerdyner wszedł wołając:

— Na stole Jaśnie panie!

— Służę pani! — rzekł gospodarz podając rękę pani
Hieronimowej.

Za niemi poszedł Polonus stary z panem rotmi-
strzem, a na końcu cicho i nieznacznie wórubował się

ów pokorny Jasiek.

Sala jadalna do której weszli była bardzo obszerna i podobnie odziana w lamperje jak pierwsza, tylko te były białe pokostowane i gdzieniegdzie złocone. Rzędem na ścianach wisały obrazy czarne, Bóg wie co kiedyś wyobrażające, ale widocznie mające pretensję do flamandczyzny, bo gdzieniegdzie wyzierała z nich ryba, cytryna, rądel świecący itp. W jednym końcu stał ogromny, wspaniały bufet, pełen sreber ze szklannymi drzwiczkami, wyglądały z za nich puhary, kielichy i różna krasa stołowa dawnych kształtów. Między oknami uśmiechały się miłą zielonością pomarańczowe i cytrynowe drzewa.

Stół w pośrodku nakryty był na sześć osób, choć ich widzieliśmy dotąd tylko cztery, ale dwie już czekały w sali jadalnej. Pierwszą był w czamarze sutej, z wąsami, bakembardami do góry podoczesanemi, szpakowaty trochę rządca, który miał fizys doskonale zgodną ze stanowiskiem jakie zajmował; brzuch porządny, policzki lśniące zdrowiem, oczy wypukłe, usta rumiane, a mimo powagi i brzucha pokorę przykładną, bo się skłonił za wejściem pana niemal do ziemi, tak że aż błysnął zarodkiem łysiny. Drugą była oparta nie dbała o bufet kobieta, nie zupełnie młoda, ale nie stara, wykwintnie ubrana, z pretensją widoczną do wdzięku, z zaciętymi usteczkami wązkiemi, biała, pachnąca woniami o milę, w czarnych mitenkach, w czarnej sukni, z kluczykami u paska.

Twarz jej warta była spojrzenia i zastanowienia, tak piękne jej niegdyś rysy, dziś jeszcze dobrze zachowane, regularne i piękne, zeszpecił jakiś zimny, szyderczy wyraz zobojetnienia dla ludzi i wzgardy. Mogła mieć lat trzydzieści i kilka, ale postawą i strojem do trzydziestu się nawet nie przyznawała; strój jej był wykwintny z prostotą i wyśmienicie dobrany do twarzy; na głowie rodzaj skromnego, ale świeżego czepczka; suknia czarna jedwabna z podobną mantylką. u szyi tylko wstążka karmazynowa. Na kołnierzu, przy rękawach śnieżnej białości gładkie batystowe mankietki

i kreski doskonale odbijały od rączek i karku. Płeć jej śnieżno-jasna mogła być posadzoną o bielidło, ale bielidło wiedzie róż za sobą, a tu tak było oszczędnie na twarzy rumieńca, że albo była wielką artystką, albo białą bez pomocy sztuki.

Szambelan wchodząc spojrzał zaraz na nią, i nieznacznie ją skinieniem przywitał; ona mu nie oddała ukłonu. Spuściła oczy prawie gniewne, porwała chustkę którą opuściła przed chwilą, i wprost poszła na przeznaczone sobie miejsce.

Wszyscy przytomni rozmieścili się potem w następującym porządku: Szambelan na głównem krześle w końcu stołu, przed którym nakrycie odznaczało się rzniętą szklenicą i kilką karafkami różnych płynów, a osobnym przyborem przypraw.

Na prawo pani Hieronimowa, na lewo pan Samuel w szaraczkowej kapocie, za nim rotmistrz; za panią Hieronimową nieznajoma nam jeszcze pani z kluczami, za rotmistrzem Jasiek, a wprost naprzeciw gospodarza rzadca pokornie się usadowił.

W milczeniu uroczystem zasiedli, a szambelan, który nie rad mówił gdy jadł, a jadł wiele i chciwie, zwrócił się naprzód ku zupie, której zaczerpnął z małej wazki stojącej naprzeciw, dla wyłącznego jego użytku. Dla gości była inna polewka, przez grzeczność tylko poprosił ich na swoją, ale wszyscy odmówili skinieniem, czego od razu był pewien. Jeden pan Samuel odezwał się:

— Wolę ja pocziwą naszą grochówkę z ogonkiem, niż te cudzoziemskiego autoramentu ekstrakty, do których Waś, panie Stanisławie, na dworze nieboszczyka króla jegości przywykłeś.

Jakoż stary zajął się szczerze grochówką. Wszyscy głowy pospuszczali na talerze i jedli lub udawali jedzenie, a szambelan, jakby policję stołu utrzymując, z pod oka tylko spoglądał jak się to odbywało.

Z nim razem owa pani z kluczami szpiegować się zdawała każdego, niespokojnem okiem wodząc po wszystkich i niedbale do ust nosząc z talerza wyziębłą zupę.

— Dobry mój Karasiński, ozwał się po chwili gospodarz, ale nie ma i nie będzie pod słońcem jak Tremo.

Pan Samuel ruszył ramionami, reszta jak w wyrocznię patrzala na mówiącego.

— Tremo, powiem Waści — rzekł obracając się do Samuela — miał to do siebie, że ci zgotował kaszę hreczaną, kluski z serem, pierogi leniwe, jedno nic, czegobyś indziej w gębę nie wziął, a po nim sobie palce oblizywać było trzeba. Wszyscy to wiedzą, że król nieboszczyk lubił bardzo pieczeń baranią; — otóż jak żyję takiej baraniny jaką on urządzał nie jadłem — to było coś specjalnego.

— Może to nie była baranina, ale zamaskowana sarna? — odważył się zarzucić pan Samuel.

Okiem pełnem oburzenia cisnął nań brat starszy, a panna Aniela (to było imię nieznajomej) uśmiechnęła się złośliwie.

— Jak-to nie była baranina! była baranina, ale z tą sztuką, z tym akcentem przyprawiona, które tylko Tremo posiadał. Waść wiesz, że gdyby był chciał Tremo zostać w Petersburgu, byliby mu zapłacili sowicie, ale on już dosyć miał gotowania, zachciało mu się jeść samemu.

Pani Hieronimowa rozśmiała się głośno, a panna z jakąś niecierpliwością, w którą ją wprawiał zwykle cudzy dobry humor, poskoczyła na krzesło i rzuciła łyżkę z brzękiem.

Szambelan obejrzał się na sąsiadkę grzecznie, wiadać jej uśmiech do serca mu przypadł, — i w dowód afektu posunął jej swoją zupe.

— Spróbuj pani — rzekł — a powiesz mi coś o tem (tłómaczenie z francuskiego) — spróbuj, ja już więcej jeść nie będę.

Nie godziło się odmówić; wzięła na talerz zupy p. Hieronimowa, i choć ją pieprzna owa polewka djable piekła w podniebienie, nie mogła się jej odchwalić, co chwila powtarzając: — Cudowne! rajskie jedzenie! ale taka ze mnie parafianka, że mi niepodobna poznać co to jest.

Panna dusiła w sobie śmiech gniewliwy i wyraz pogardy. Szambelan podniósł głowę.

— Jakto? Asińdźka nie poznajesz?

— Bo jak żyję nie jadłam.

— A to rzecz bardzo prosta: wątróbki cielece przygotowane, rozbite w bulionie, dodane do nich jarzyny wysadzone, pieprz prosty, tureckiego trochę, muszkatołowy kwiat i gałka.... ale prawda że paradne i restaurujące?

— Przewyborne! — powtórzyła z nśmiechem sąsiadka.

Samuel ruszył ramionami bez ceremonji.

— Ja, bez ogródki mówiąc, wolę grochówkę, rzekł otwarcie, — po co mi tyle pieprzu? jest go i tak w życin dosyć.

— A panna Aniela — spytał gospodarz — nie spróbowałyby dzisiejszej mojej zupki? jest jej jeszcze na talerz.

— O! bardzo panu dziękuję — z urazą i oburzeniem, świszczącym nieco głosem odpowiedziała zagadniona — bardzo dziękuję.

Szambelan się uśmiechnął pod nosem, spojrzał na nią znacząco, nie naglił.

— Cóż dziś — rzekł — humor nie różowy?

— Jak zawsze — oburknęła się i dowodząc, że biedlika nie używa panna Aniela.

— *Noli me tangere!* — cicho szepnął gospodarz.

— Proszę bardzo dać mi pokój.

— Właśnie to mówiłem. — Odwrócił się do rządcy.

— A co tam — rzekł do pana Bulwy — żytko się złoci. czerwienieje pszenica....

Rządca zagadniony, cały się podniósł na krześle, chwycił za stół dla utrzymania równowagi i o mało nie udławił chlebem, który miał w ustach.

— Tak, Jaśnie panie — wykrztusił — wedle rozkazu....

Było to jego przysłowie, na ten raz nie dość szczęśliwie użyte. Uśmiechnął się szambelan, ale podawano sztukę mięsa i dla niej rządcę porzucił, który postawszy jeszcze chwilę, po cichu i ostrożnie usiadł.

Spojrzymy w tym przestanku milczenia na dwie prawie naprzeciw siebie siedzące osoby, Jaśka i pannę

Aniele — oboje z ukosa mierzą się oczyma, tak urządzając, by nawzajem oczów swych nie spotykali. Wzrok czarnych oczów panny Anieli pada na chłopca, śledczy, wzgardliwy, mściwy niemal; wejrzenie Jasia leci ku niej szybko, równie badające ale niespokojne. W pierwszym znać chęć zemsty i gniew stłumiony; w drugim widać obawę i pragnienie odgadnienia najtajniejszych myśli. Rotmistrz nie mówi słowa, je tylko ogromnie i ani widzi co się koło niego dzieje; pan Samuel z przyzwyczajenia aktowi posiłku powagą, ale bez zajadłości spożywa zdrowo co Bóg dał; Aniela nic prawie nie bierze w usta; Jasiak udaje że je, roztargniony; Hieronimowej biednej oczy na wierzch po zupie wychodzą i wodą popija tak ją pali, ale się biedna uśmiecha i stara dla wszystkich być miłą.

Kasztelanic zamierzoną porcję zjadłszy, nalewa wino, przeglądając się talerzom gości. Z jednej butelki nalał sobie, panu Samuelowi i zaproponował zatknąwszy ją już korkiem sąsiadce, ale ta usunęła kieliszek — drugą podał ku rotmistrzowi, Jasiowi i rządcy.

— Wiem, że panowie wolicie lekki maślacz nad wytrawniejsze wina — rzekł w sposobie objaśnienia.

— O! ja wolę, odparł ekswojskowy, choć mina wcale tego nie potwierdzała.

— Należę go sobie — z uśmiechem rzekł gospodarz. Jaśka głowa boli, niech lepiej nic nie pije. Pan Bulwa wiem że nie odmówi kieliszka.

Bulwa wstał, wyprostował się i uklonił bardzo nisko; usta jego już miały wybełkotać zwykłą Jaśnie panu odpowiedź — wedle rozkazu — ale się pomiarował, że ją już raz dosyć nieszczęśliwie zastosował i wstrzymał się.

— A panna Aniela? — zapytał kasztelanic.

— Ale proszę mi dać pokój, — syknęła straszliwie kobieta, cicho, szybko i z gniewem, obwijając się w swój płaszczyk i zasuwając w głąb krzesła, jakby się ukryć żądała. — Ja nic nie pije! Wszak nie pierwszy dzień jesteśmy z sobą — szczególną ma pan pasję dokuczać!

— A! pani nic nie pije! niech i tak będzie, prócz wody,

Pan Samuel skosztował wina,

— A co? — spytał obracając się ku niemu szambelan — prawda że nie zgorse?

— Wyborne! bez pochlebstwa.

— A, ba! spodziewam się! czterdzieści pięć lat ma metryki w butelkach! — z uśmiechem, w którym trochę dumy przebijało się, odpowiedział szambelan.

Pani Hieronimowa odwróciła się w tej chwili do sąsiadki i z uśmiechem sobie zwykłym chciała z nią począć rozmowę, lecz Aniela usunęła się umyślnie, i ani spojrzeć na nią nie chciała.

— Pani czy nie cierpiąca? — spytała nieśmiało.

— Wistocie — krótko pokaszlując i widocznie urywając rozmowę odparła panna.

— Taki bo dziś skwar, że i mnie głowa boli.

— Czy nie zaszkodziła pani zupa? — z ugryzkiem złośliwym, mierzając ją okiem, spytała panna Aniela.

— O! bynajmniej; czułam to usposobienie od rana. Rozmowa się przerwała.

Rotmistrz jadł ogromnie; Jaś udawał że je, a patrzył na wszystkich niepostrzeżony z pod brwi. Pan Bulwa karmił się machinalnie, zamyślony głęboko i swobodnie, bo wiedział że raz już będąc spytany, drugi raz przez pana zagadniony być nie może; widać było że wędrował z dumami gdzieś po lanach i arendach rachując swoje dochody, oberchapki, porękawiczne i podarki — twarz jego piętnowało wewnętrzne zadowolenie niczem niezatrute.

W ten sposób przeszedł obiad cały; panna Aniela nie raczyła się udobruchać do końca; parę razy jeszcze zaczepiał ją kasztelan, ale nareszcie widząc, że coraz ostrzej mu odpowiada, odwrócił się do gości i dał jej pokój. Pan Samuel jadł dobrze, ale lepiej jeszcze rotmistrz, który i całą butelkę piwa wysączył i chleb po trzykroć z talerza przybierał i talerze oddawał czyste jak zmyte.

Wstano od stołu; — u wyjścia ten sam zachowany był porządek jakim wszyscy weszli do sali, z tą tylko różnicą, że rządca wszedł razem za wszystkimi,

a panna Aniela żywo zatrzasnąwszy drzwiami, znikła.

W bawialnym pokoju na stole stała już kawa i likwory, ale do nich tylko dwa kieliszeczki, co widocznie zmartwić musiało rotmistrza, który na stronie, po cichu, ale głęboko westchnął. Szambelan spojrzął na zegarek, kiwnął głową.

— Dwie minuty — rzekł jakby do siebie — jedliśmy dziś dłużej niż zwyczajnie; bekasy widać mnie zabawily. Chybiam tej regularności, która jest podstawą zdrowia i utrzymania życia — potrzeba się poprawić, potrzeba poprawić!

To mówiąc nalewał kawę spiesznie i podawał ją sam; minął rotmistrza i Jasia, trzy tylko filiżaneczki napełnił i sam cukierniczkę starannie zarygłował. Potem wygodnie w krześle się usadowiwszy i spojrzawszy z uwagą na likwory, wybrał z nich Curaçao.

— Pijesz Samuelu? spytał podnosząc butelkę.

— Ja? nie koniecznie.

— Napij się kiedy chcesz, to trawi — rzekł szambelan. Rotmistrz po tem piwsku nie wart i ust umaczać w likworze.

— Ja bardzo dziękuję.

To mówiąc uklonił się rotmistrz i jakby odbył już wszystko co do niego należało, aż do ostatniego upokorzenia likworowego, cicho wysunął się za drzwi.

Pan Samuel usiadł za stołem na kanapie, pani Hieronimowa chodząc poczęła przed oknami, a Bulwa stał jeszcze u drzwi, jakby na warcie, westchnieniami się tylko przypominając. Szambelan spojrzął na niego.

— Bądź zdrów, rzekł, panie Bulwo!

Uklonem odpowiedziawszy na ten paszport, rządca znikł co najrychlej, bo to miało oznaczać, że więcej żadnej dziś nie będzie dyspozycji.

Jasiek przed chwilą już począł się zajmować około warcabnicy, i widać było z tego jak ją układał, że to być musiała codzienna jego pańszczyzna, bo ani stuknął, ani brzęknął, ani się zastanowił, ustawiał rękami bez myśli, porządkując ją nadzwyczaj szybko i z widocznem staraniem, żeby najmniejszego nie zrobić hałasu. Stoli-

czek stał już przed szambelanem.

Rozparł się gospodarz, wychylił likwor powoli, rozpoczął grę, nic nie mówiąc. Naprzeciw niego stojący Jasiek służył mu za partnera; — poprzedziło partję spojrzenie na zegarek i kiwnienie głową znaczące.

— W inną grę już dziś nie gram — rzekł do pana Samuela powoli; — zbyt znacznie rozgorączkowują człowieka, a to w moim wieku nic potem; trzeba krew trzymać w karchach.

Ani słowa nikt się już nie odezwał, a pani Hieronimowa z Samuelem w kątku tylko z sobą szeptać poczęli.

Szambelan grał jak automat, Jaś jak dobrze wyuczona słów papuga, posuwał kążki cicho, śmiało i pewno. W oczach jego bujających tu i owdzie widać było, że nie myślał już o tem co robił. Wśród głębokiej ciszy ścigały się po warcabnicy znaczki tajemnicze, przemijały, nikły. — Szambelan wygrywał z niejakiem zadowoleniem. Jaś znosił przegraną obojętnie, jak rzecz niechybną, jak przewidziany z góry skutek.

Szambelan nie mógł nie wygrać!

— A! dobra to sobie gra na poobiedzie — rzekł kończąc i szukając oczyma pana Samuela. — Jaś wcale dobrze gra — nawet bardzo dobrze, ale ze mną mu nie wygrać.... to darmo. Byłem w warcabach i w szachy... ba! i w co innego, pierwszym graczem podobno na całą Warszawę.

Na te cicho pomruczane wyrazy nie było odpowiedzi żadnej. Jaś cofał się ku drzwiom i gdy od progu spojrzał na szambelana, on już usypiał z założonemi na żołądku rękoma, brodę na piersiach złożywszy.

Choć nieco mu obiad okraszył policzki, twarz jego z otwartemi we śnie ustami, stara, zużyta, zmarszczona, trupa przypominała, a we śnie nawet nie opuścił jej wyraz jakiś przykro i zimno szyderski.

Wszyscy powysuwali się na palcach. Jaś drzwi po cichutecznieczku przytknął.

II.

Wieczorem tegoż dnia, w skromnym pokoiku w oficynie przy starym dworze, któregośmy salon widzieli, siedziała mocno zamyślona przed podróżnem zwierciadłem, otłuszczonem i polepionem, znajoma nam już pani Hieronimowa i machinalnie dość niedbale zawijała papiloty, wcale nie myśląc podobno o włosach. Twarz jej wyrażała głęboki smutek, zobojętnienie, strapienie, ciężar jakiś na sercu leżący. Oczy miała wlepione w otwarte okno, ale nic niemi nie widziała; ręce chwilami wstrzymywały się w robocie, to znów pchnięte obudzoną myślą zwijały i rozwijały rozsypane włosy. Uśmiech zwykły jej ustom, teraz je opuścił, zapadły głęboko, czoło się zmarszczyło, może nawet jakaś łza mimowolna błyskała pod zwilżonemi powiekami, z pod których dobyć się nie mogła.

W koło niej wszystko okazywało, że była gościem w tym dworze: tłumok ubogi, odarty, stary towarzysz wielu niewygodnych podróży, walizka pozwiązywana sznurkami, wyszarzana słomianka i woreczek z miny na zapas owsa wyglądający, rzucony w kątku zdradzały, że tu przybyła z kofmami i zapewne nie na długo. Manatki były ubogie, szlacheckie, tłumok czerwony, pudełka stare, łóżeczko kołdrą perkalikową pokryte, szkatułka porozklejana i opadła z fornierów, a dziewczyna, która w tej chwili rozbierała panią, w spódniczce wiejskiej fabryki, w kusym sieraku, w butach, z głową białą chuścina zawiniętą, nie była wcale pokaźną garderobianą, choć hoża, zdrowa, ładna, i z tą swobodą wrytą na twarzy, która najlepiej dobrego pana dowodzi. Po chwilce uszanowanego przez nią milczenia pani, dziewczyna pokręciła głową z widocznym frasunkiem i przerwała ciszę umyślnym długim kaszlem.

Obudzona, z przestrachem obejrzała się pani Hie-

ronimowa, wstrzęsła, i podnosząc oczy na Hapkę, milczeniem zdawała jej wymawiać ten tak głośny i nie w porę kaszel.

— Długoż my tu tak jeszcze siedzieć będziemy? — spytała dziewczyna poufale a tęskno. — Już coś i pani po swojemu jak w Horoszkach zamyśla się bardzo i tuż za dziećmi i za Jegomością — czasby nam do prawdy ztąd; bo też to i....

— A! alboż ci tu źle? na Boga! — z przestraczem, cichuteńko, oglądając się i zamykając okno szybko, spytała pani Hieronimowa. I przysiadła trochę opodal na łóżku, wzięwszy w ręce grubą i wymodloną książkę od nabożeństwa.

Hapka zbliżyła się na palcach i zniżając głos odezwała się, przyłożywszy jedną rękę do twarzy, spartą na łokciu drugiej, a głowę kręcąc wedle zwyczaju wieśniaczek kiedy się na co uskarżają. — Dwór to dwór, prawda wielki — ale nie to — to, co u nas.

— Zlituj się, cicho — wskazując na drzwi, coraz bardziej przerażona, i chwytając ją za świtkę, zaczęła pani Hieronimowa: — wszakże tu obok ktoś stoi.... jeszcze gotowi podsłuchać, donieść....

Hapka podeszła bliżej jeszcze pani.

— Obok stoi pan kamerdyner — Termiński.

— A! toż właśnie, najgorzej!

— Ale on teraz jeszcze u pana na służbie — pokój jego na klucz zamknięty — staremu panu słyszę podszwy drapiać... bo inaczej zasnąć nie może.

I Hapka rozśmiała się w dłoń, ruszając ramionami.

— Ej! cichobyś była!

— Ale czegoż bo się pani tak obawia — któż nas posłysz?

— No, to mów kiedyś już tak uparta, ale wiem, że nawet nie masz mi co powiedzieć, aby tak paplać.

— Już to prawda, Jejmościuniu kochana, że tu, to i popaplać chce się, bo człek przez cały dzień gęby nie otworzy. — Kto tu ze mną zechce pogadać! Takie, to wszystko dumne, pyszne a zuchwał! Chodzą gdyby indyki napuszone, nikt i dobrego słowa nie da. U nas

prawda dworek maleńki, ubogi, ale ludzie insi, oj! da-libóg insi! Tn jak w grobie smutno; każdy tylko siebie patrzy, aby co urwał, a na gościa jak na wilka, żeby ich nie odjadł. Żeby się kto choć na żart zapytał czyśmy co jedli... czy nam czego nie brakuje, czy czego nie potrzeba!! Nasz Korniej z końmi rady sobie dać nie może, a przeklina na czem świat stoi. Zepchnęli nasze szkapy do fornalskiej, czy tam do gościnnej stajni; a to taka szopa, gdzie na konie leje deszcz gorzej niżeli na podwórzu — wózek stoi na dziedzińcu i moknie także; jeść w piekarni ledwie się doprosisz i to bez soli, bez omasty, jak dla wieprzów dadzą, a co naklną, a co napopychają!

— Ej Hapko! już też gadasz Bóg wie co! ludzie tacy grzeczni, dwór taki zamożny.

— Grzeczni! ale! tam w pokoju może przy swoim panu; posłuchać co za drzwiami śmiechu i przezywania!... Albo to się ten pan kamerdyner choć odkłoni, kiedy mu pani daje dzień dobry... a przecie on sługa jakby i ja, pani krewna jego starego...

— E! zachciałaś tam na ludzi uważać — odpowiedziała pani Hieronimowa, której jednak rumieniec na twarz wystąpił i w oczach nowe łzy się zakręciły — westchnęła ciężko, ciężko — boleśnie. — Ot daj mi się pomodlić — rzekła po chwili ciszej, otwierając książkę i żywo biorąc się do modlitwy — samabyś także może spać poszła. Narzekać nie pomoże, prędzej zaszkodzi... dajmy temu pokój, moja Hapciu!

W tem zapukano do drzwi; Hapka cofnęła się ku ścianie, a pani Hieronimowa poprawiając żywo szlafrocza dosyć wytartego, zerwała się z łóżka.

— A można? odezwał się głos za drzwiami — światło widząc w oknie, chciałem dać dobranoc...

Poznała drżącą kobiecina głos pana Samuela i podbiegłszy, otworzyła mu sama, ubrawszy się w swój uśmiech zwyczajny, z uprzejmem: — Proszę, proszę, tylko mi stryj daruje, bom już w szlafroku.

— Dałabyś Asińdzka pokój ceremonjom; ja stary, a krewny, ceregieli tych nie potrzebuje.

To mówiąc wszedł znany nam już pan Samuel, z fajką zagasłą na długim cybuchu, obejrzał się, zobaczył Hapkę i trochę zakłopotany przysiadł na podanem sobie starem krzeselku, naprzeciw pani Hieronimowej która sprzątnęła sama, uśmiechając się, w nieładzie leżące graty.

— Dla mnie wcześniej jeszcze — rzekł pan Samuel — nie mogę zasnąć długo, a kasztelanie już nam dał dobranoc i poszedł do swego pokoju. Rotmistrz ruszył na polowanie, Jasiek gdzieś zaszył się w kąt; nie ma do kogo i słowa przemówić, przyszedłem trochę pobzdurzyć z Asińdzką.

Obejrzał się na Hapkę, a pani Hieronimowa zmiarkowawszy, że ona tu zbytęcną być może, kiwnęła aby wyszła. Hapka trochę nie rada wysunęła się za drzwi, stuknąwszy niemi w dowód, że do tego nieprzywykła, żeby się jej pozbywano.

Pan Samuel westchnął głęboko; — poważna twarz starego przybrała wyraz spokoju, smutku i zamyślenia, z którym jej było najwdzięczniej. Ciężkie dumy widać mu się po głowie zwiјаły... potrzebował je wypowiedzieć, uzalić się, westchnąć i nieśmiał rozpocząć.

— Nie miałaś Asińdzka wiadomości z domu? — spytał po krótkim milczeniu.

— A! nie! — ze łzą i uśmiechem zwykłym, odparła spuszcżając oczy biedna kobieta; — strasznie dziś już o dzieci jestem niespokojna i o mojego pocziwego Hieronima.

— Niepokoić się znowu niema tak dalece czego, rzekł Samuel — pan Hieronim zdrów zapewne, a i dziatki takż... Bóg sam czuwa, i strzeże ich modlitwa Asińdzki...

Pani Heronimowa złożyła ręce, westchnęła tylko, a łza potoczyła się jej z oczów.

— Już też wkrótce i mnie tam do nich spieszyć potrzeba — szepnęła po cichu.

Pan Samuel jakby chciał coś powiedzieć, zawahał się i obejrzał.

— Tak! tak! — rzekł zniżając głos — wszystkim

nam pono niema tu czego dłużej popasać — to darmo!

Kobieta żywo podniosła oczy i zadrżała; ten wyraz *darmo!* był dla niej potwierdzeniem ciężkiej prawdy, w którą jeszcze wierzyć nie chciała, z którą się oswoić nie mogła.

— Czyż być może! — zawołała.

— Na co to mamy w bawełnę sobie obwijać, co sie nas tak zbliża tycze — odezwał się odstawiając fajkę zagasłą pan Samuel — my tu nie nie wskóramy.

— Jakto? nie — *śie* a nie! — z przestachem wykrzyknęła kobieta.

— Nie! nie; posłuchaj Asińdzka, chyba nie znasz tego człowieka i tych co go otaczają.

— A! ja nie nie znam, to pewna!

— I nie nie widzisz?

— Widzę nie wiele; nie rozumiem nie.

— Toś się nadaremnie łudziła — rzekł stary poważnie — posłuchaj mnie i daruj jeśli cię z miłego, pocieszającego może błędu wywiodę. A naprzód czego może i od pana Hieronima dowiedzieć się mogłaś, bo mu to ojciec mógł mówić — posłyszysz dokładniej i lepiej o Kasztelanicu... Asińdzka tyle tylko podobno wiedziałaś, że bogaty, bezdzietny, że grzeczny i miły człowiek; przysniło ci się więc szukać u niego protekcji i pomocy!

— O! tak! tak! mój stryju kochany — z przejęciem dodała kobieta. — Waćpan Dobrodziej wiesz jakieśmy ubodzy: trzech chłopów na Polesiu, część w wiosce, nie bez dłużku jeszcze, westchnęła, a dziatek czwórka! A to i żyć człowiek musi — i o tych drobnietach myśleć, żeby marnie nie poszły. Jakoś mi to przyszło do głowy, słysząc od mego Hieronima, który tu prawda nogą nigdy nie postał sam — że stryj bogaty i milionowy... Pojadę do niego, potrzebuje nas może. i nie tyle nas co dzieci, bo nam i tego kawałeczka chleba dosyć...

— No! rozumiem, i Asińdzka przyjechałaś tu...

— Tak i siedzę już miesiąc — i goszczę. Karminia i poją... ale słówka rzec nie można o sobie... Sam

się stryj nie domyśla, choć wie zapewne, że mamy czworo dzieci, a tylko trzech chłopów.

— Mogłabyś Asińdzka i rok tu siedzieć; wygonić cię nie wygoni, ale tyle tego — dobrze otoczony i sam frant! Słowa powiedzieć nie dadzą, i grosza nie puści z ręki; nakarmi, napoi i grzecznością zbędzie — ot! po wszystkim. To darmo! to darmo! — dodał stary. — Ja także nie od dziś tu siedzę z Rotmistrzem, a dotąd nie miałem czasu i zręczności powiedzieć, że do brzeby zrobił, gdyby Rotmistrzowi gdzie w swoich do brach, choć tymczasowy kawałek chleba obmyślił — liche choć podrzędne leśniczowstwo jakie, póki co będzie. — Tać wie, że grosza przy duszy nie mamy; że ja resztkami i pensyjką Radziwiłłowską żyję, a Rotmistrz z mojej ręki.... Ale tu tak urządzono we dworze, by nikt ust nie otworzył, bo Kasztelanie nic nikomu uczynić nie chce i nie robi póki żyje. Godziny wyrachowane; przyjdziemy, zjemy, pogada o pogodzie, i bywajcie zdrowi; a spyta go kto o co lub poprosi, uda że głuchy. Trzeba robić interesa przez pannę Anielę, przez Jaśka, przez Termińskiego a to ciężka sprawa. Jasiak podobno najlepiej swoje interesa robi — tej zaś klepie, z pozwoleniem Asińdzki, ręce całować lub prezenciki podsuwać dla jakichś faworów — obrzydliwa i nie dla nas. Ha! wola Boża! Jeszczeż nam tu siedzieć jak sobie chce, ale Asińdzce co masz dom, gospodarstwo, dzieci — czas tracić — szkoda. Cc ma nas kiedyś spotkać z niego, to nie minie — jeśli notandum nie chapną bliższe osoby. — Nie masz tu czego siedzieć, niema!

— Tak stryj mówisz — cicho i łzawo przerwała Hieronimowa — więc pojadę.

— Posłuchajże mnie Asińdzka cierpliwie — rzekł Samuel. — Nie znacie bo widzę człowieka; z daleka, stryj, bogacz milionowy — to jakoś tak się zdaje, że kiedy do niego — do starca bezdzietnego, co ma krocie dochodu — przyjedzie krewny, mający ledwie w co się odziać i czem nakarmić — powinieaby mu pomódz! Ba! ależ tu potrzeba poznać z bliska człowieka, a do-

piero się pokaże czego można się spodziewać. Wszak ci to rodzony mój brat i kocham go jak brata, bo jest tam w nim może i dobre, ale go świat popsuł bardzo! Wiesz Asiódzka zapewne, że nieboszczyk ojciec nasz, Jan, który mieszkał w Poznańskim i trzymał się partji Branickich i Sapieżyńskiej, przez wstawienie się Hetmana, otrzymał na starość jakąś tam kasztelaniją.... Z ich też łaski miał ojciec dzierżawy, zastawy, a ożenił się dosyć majątnie z Palucką, która miała mn wniesć ze cztery kroć; ale tak się to wiodło rodzicom naszym, że ich potem i z dzierżaw rugowali, i sekwestrowali i siłą potracili, a ledwie nie z torbami wyszli i z gołym tytułem, który więcej ciążył niżeli grzał. Przenieśli się wreszcie na Ruś do dóbr Sapieżyńskich, gdzie ostatkiem wzięli zastawę. Ale i to nie lepiej bo zaocznie, a mieli z takimi plenipotentami do czynienia, co psu oczy sprzedali. Koniec końcem tedy wiedzieć potrzeba, ojcowizny i macierzystego nie wiele się nam dostało; wyszliśmy w świat, Kasztelanic..... *a nic*, nic mościa pani w kieszeni. Pan Bóg lepiej pobłogosławił rodzicom w dzieciach niż w dostatkach, bo było nas pięciu synów i córka jedna, ogółem pół tuzina.... to nie żart!

Samuel westchnął!

— Wszyscyśmy Sapieżyńskimi względami poczęli się kierować na świecie, ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ; wkrótce żeśmy już im widać byli niezdadni, znudzili się nas popychać. Najstarszemu tylko Stanisławowi! ot! tutejszemu panu, inaczej poszło jak drugim. On dziś milionowy, a my wszyscy jak święci tureccy.... Tadeusza śpiewamy. Niechże ja — no! — wola Boża, — nie bardzom był skrzętny; ale nieboszczyk Józef, Antoni, ojciec twego męża, i Piotr, gdyby nie żona, wszystko to golizna.

— Jakże, proszę stryja, Kasztelanic się dorobił? — spytała kobieta.

— Tuż to sęk, że tego nikt nie wie — odparł pan Samuel — do dziś dnia tylko się domyślamy. On był po Helusi najstarszy z nas, pierwszy dorósł, urodził się bowiem w r. 1752, za Sasa. Protekcja Sapieżyń-

ska nie urwała się nam ze wszystkim jeszcze; ojciec pojechał z nim do Kodnia, Księżna Wojewodzina kazała mu za sobą do Warszawy i w roku 1770, niespełna dwudziestoletniego przyjęto go, za jej wstawieniem się, do paziów Jego Królewskiej Mości. Stasiak tu był jak pączek w maśle, ale na nieszczęście całe życie paziem zostać było niepodobna; trzeba było szukać doli i losu na świecie. Dobrze położony u króla. znajomy z wielkimi panami, lubiony za swą wesołość i dowcip, których dziś ani słychu w tym starcu, chyba się odezwie żarciem bolesnym, co aż w pięty pójdzie — Staś z paziów poszedł do wojska. Całe to inna była rzecz za owych czasów służyć: awanse szły łaską; fortragowali prawda jenerałowie czynni, ale częste i bez tego patentu dawali na stopnie sami Hetmani. Wreszcie rangi się kupowały, a co się tyczy służby, ta się kończyła na noszeniu munduru brygady do której się należało i pobieraniu gaży, a po nią każdy dojechał sobie do chorągwi. Towarzysze, ba majorowie. kapitanowie, namiestnicy nawet siedzieli po folwarkach i hreczkę sieli, a zające tłukli co wlało; nasz Staś wycierał swój mundur w Warszawie, po pańskich pokojach.

Z młodu już to uważaliśmy, że pański chlebek biały mu smakował — stronił od swoich, od szlachty, a do panów się garnął, toż i potem; a że był postawny, po francusku szczebiotał, śmiały, przy tem wesół, dowcipny i w karty grał we wszystkie gry doskonałe, wszędzie go przyjmowano chętnie. Więc pan major w stolicy sobie hulał, wesoło czasu zażywając.

Myśmy go z oczów zgubili — przywiązał się do partii dworskiej, do króla; buchnęła rewolucja; niebezpiecznie było siedzieć i Major pokrećwszy się koło zamku znikł nagle z Warszawy. Gdzie się podział, dokąd się udał — nikt nie wiedział. Głosiliśmy, szukali, pytali — jak w wodę.

Ja podówczas jakoś trzymałem dzierżawą wioskę na Wołyniu, leżącą na wielkim gościńcu między Ostrogiem a Zaslawiem; i jużem był Stasia opłakał, — bo

kawał czasu upłynął jak znikł bez wieści... a krajowe przygody wybiły nam z głowy rodzinę, i swoich kłopotów było dosyć.

Jednego wieczora, zawieruszystego, w zamieć okrutną, w śnieżnicę, jakoś po nowym roku, siedziałem u siebie w lichej dominie, — bo to było, jakiem mówił, na dzierżawie, a wiadomo jakie to kletki zamieszkuja possessorowie; — gdy ktoś wpada do mnie z karczmy z zapytaniem, czy jestem w domn, i z oznajmieniem, że jakiś wielki pan, karetą, dworno, dowiaduje się o mnie, mając zapewne zamiar na noc do dworku zajechać.

Przelałem się dobrze, bo szlachcicowi w domn wielkiego gościa przyjmować, rzecz ciężka; pańskiej gębie ani pańskim bokom dogodzić nie łatwo. Zwyczajnie jak to bywa u nas — kawał mięsa leżał w lodowni, ale przysmaków żadnych; a w chacie krom mojej izby nieco cieplejszej, wiało jak na podwórzu. Djabłem się wziął za głowę — jednakże powiedzieć, że niema w domu, ani sposób. Kłamać nigdy nie umiał; trochę też szlacheckiej dumy nie dozwalało odepchnąć kogoś co o gościnę prosił — więc stań się wola Twoja; czekałem drżący co Bóg zdarzy!

W kwadrans po owych zapowiedziach, światło zabłysło w oknach, szusnęła poczwórna karetą na saniach, drugi powóz kryty, na ganku zrobił się szum i ja wychodzę przyodziawszy się, dostojnego powitać gościa. Widzę pięknego mężczyznę, wszubie sobolewej pokrytej aksamitem zielonym, jak dziś pamiętam, w czapce sobolej, a za nim jejmościankę jakąś śliczną bestyję, — ale z oczów djabła patrzył — wysiadających z karety. Ów jegomość wita mnie zapytaniem:

— Panie Kasztelanien, czy pozwolisz podróżnym przemocować u siebie?

Tytułu tego nikt mi w okolicy nie dawał, nikt nawet o nim nie wiedział, bo chudy pacholek, unikałem zakrwawiających serce wspomnień lepszego bytu rodiców; — zdumiałem się tedy, a w dodatku i głos, którego zrazu rozpoznać nie mogłem, coś mi starego i

dobrze znanego przypominał — osłupiałem nie mogąc przyjść do siebie.

— A to był zapewne stryj Stanisław? — przerwała ciekawie słuchająca pani Hieronimowa.

— Zgałłaś Asińdzka jakbyś tam była; ale ja nie odrazum go poznał, zamaskowanego i przebranego za wielkiego pana; miałem go za umarłego — to pierwsze; powtóre, myślałem że jeśli żyje, to gdzieś jak my posagową będę klepie. Nie przeszło mi z razu przez głowę, żeby ten wielki pan, w sobolach i aksamitach, mógł być moim rodzeniuteńkim bratem.

— A taż pani! to pewno panna Aniela? — spytała z uśmiechem kobieta?

— Czekaj-no Asińdzka, przyjdziemy i do tej Jejmościanki; takich Anieli nie dwie i nie trzy w życiu miał pan braciszek. Stoję tedy w ganku, zupełnie osłupiały, a przybyły wciąż mi powtarza: — Pozwolicie przenocować? — Z całego serca, proszę JW. Pana! — odpowiedziałem otwierając drzwi; ale chata uboga — czem ma, tem rada. Po tych słowach, weszliśmy do izdebki samotnej, której całą ozdobą był świecący się na kominku rażny ogień dębowy. Byłem już naówczas wdowcem po mojej Marysi, ojcem i ojcem tylko. Całe moje siły, mienie, myśli spłynęły w ojcostwo, w syna — a! nie chciał Bóg pobłogosławić staraniu, nie poszczęścił; ale o tem potem, idźmy dalej.

Gdy blask padł na twarz gościa, gdyśmy się oko w oko w izbie zetknęli, krzyknąłem poznając brata, i rzuciłem mu się w objęcia. Uściskał mnie, ale jakos zimno i ostrożnie. Ja cały drżący, nie wiedziałem co począć i jak ich przyjmować; on tymczasem tylko myślał gdzie się najwygodniej ze swoją duszyczką w mojej chatce pomieścić. Byłem w początku pewny, że to jego żona; że te sobole i karety po niej wziął; bo w prostocie ducha nie wyobrażałem sobie, żeby kto śmiał, z pozwoleniem, z jakąś tam paskudnicą włóczyć się tak, wstyd z czoła starłszy. Tytuluje ją tedy panią bratową; aż mnie zimno i sucho pan Stanisław wyprowadził z błęd. Kochany Samuelku — rzekł na

stronie, — to nie jest żona moja, jak ty sobie po szlachecku myślisz; jam nie żonaty, to śpiewaczka włoska, z którą poznałem się w Dreźnie, i jadę z nią do Kijowa. Potrzebowała protekcji nieboraczka, musiałem się nią zaopiekować; dasz jej izdebkę oddzielną. Kobieta w istocie była piękna bardzo, ale zakłopotana i jakby zawstydzona, kręcąc nosem na moją biedną chatę, która nie wiele była wygodniejszą od karczmy, zaraz sobie najlepszy pokój zabrała, i odprawiła nas do bokówki. Dom mi z kretesem wywrócili — wszystkiego im brakło; ludzie ich bez ceremonii, jak najezdnicy, precz wyrzucali rzeczy, łamali sprzęty, słowem jednym, sądny dzień u mnie. Ale jako gospodarz, gdyby mi i na głowie usiedli cierpieć musiałem, bo od czegoż gościnność; cóż dopiero gdy w domu brat rodzony?

Jakieśmy się zostali sam na sam, tu już pomyślałem, festyn dla mnie wielki, i aż ślinkę łykałem, żeby się prędzej dowiedzieć o losie Stanisława, któregom tak długo miał za umarłego, a on mi tu się zjawił nagle takim bogaczem. Uściskałem go na nowo i nuż w pytania. Miał to do siebie Stanisław, że zawsze był nie bardzo łatwo się wywnętrzający, ale teraz gorszy jeszcze, dyplomata; ani słowa dobyć z niego nie potrafiłem chociaż go dobrze świdrowałem. Obracałem na wszystkie strony — ani ukąsić.

Ledwie się mógł dopytać, że uciekłszy z Warszawy, podróżował cały czas za granicą. Ale o czym? jak? z kąd przyszedł do tych dostatków? *motus* — wyraźnie powiedzieć nie chciał. Brałem go z początku dobrze na konfesaty, a nie nie wydusiwszy, dałem pokój, widząc, że to nie język uparty, ale głowa i serce. Jak gdyby nic nie było dziwnego w tem wszystkim, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie, że piechotarą drapnawszy, karetą poszóstną i z kochanicą powracał, odpowiedział mi z wielkim tonem: — Byłem w Paryżu, w Londynie, w Karlsbad, w Eger — podróżowałem — i kwita! Zniecierpliwiło mnie jakoś w ostatku i dotarłem raz dobrze, zapytaniem:

— No! ale zkądże Waści, panie Stanisławie te dodatki?

Uśmiechnął się tylko niechętnie. — Zkąd? — rzekł — juściżem nie kradł, to pewna; zapracowałem jak i drudzy, ale o to mnie nie pytajcie, bo nie powiem, bo o tem mówić nie lubię i nie chcę. Zresztą, to moja tajemnica.

Prawda że tajemnica, gdyż i dotąd jest to dla mnie zagadką.

— Jak to? i wy nie wiecie zkąd się to wszystko wzięło?

— Wiemy i nie wiemy; domyślamy się tylko, że karty dać musiały jeźli nie wszystko, to przynajmniej bardzo wiele. Zresztą, Bóg to wie jeden, bo mój brat nikomu nie odkrył się w tym względzie.

Nazajutrz rano, jak zimną wodą oblawszy mnie swoim milczeniem i osobliwszą dyskrecją, przenocowawszy, zaciekawionego pożegnał i znowu się zapakowawszy do karety ze swoją panią duszką, jak przybył, tak pojechał. A co mi dom do góry nogami przewrócił, i Bóg zapłać nie powiedział — kwaśnym bonżurkiem zbył w ganku.

Zjawił mi się i znikł jak kamfora. Doszło potem moich uszów, że w Kijowie w złotej sali najpierwszą grał rolę i uchodził za magnata z Poznańskiego, którego szatan gry opętał. Potem zasłyszałem o nim w Wilnie, dowiedziałem się, że wyjechał do stolicy; ale nigdy ani listem, ani słowem, ani dowodem pamięci nie odezwał się już do mnie.

Trochę mnie to bolało, ale i Helusia i reszta braci nie byli odemnie szczęśliwsi; zaparł się nas wszystkich, bojąc się zapewne byśmy mu nie byli ciężarem. Brat nasz Józef zjechał się z nim przypadkiem w Wilnie, dowiedział się o nim i poszedł do niego. Przyjął go jak gościa, grzecznie, pięknie, upoił, nakarmił — ale na tem koniec. Stosy złota leżały u niego na stołach; Józef był wówczas, jak całe życie zresztą, w wielkich obrotach; tysiąc dukatów byłyby go może z ruiny podźwignęły i postawiły na nogach

— odezwał się śmiało do niego, wiecie co mu odpowiedział? — Mój bracie, gdybym familji chciał świadczyć, nie stałoby mi wkrótce z czego żyć — jest nas dosyć, byłoby niesprawiedliwością jednemu dać, drugiemu nie; muszę więc ograniczyć się przywiązaniem do was tylko, bo szczerze nic dla was teraz uczynić nie jestem w stanie, będąc sam na dorobku. Poczekajcie, jeśli co zbiorę, nie dla kogóż tylko dla was.

I tak go zbył. Lat temu kilkanaście jużem był mego rotmistrza do wojska oddał — westchnął Samuel — widząc że do niczego się nie zda — aż słyszę znowu o pann Stanisławie.

Były wówczas na sprzedaż wielkie dobra na Wołyniu, a że o kupców było trudno, bo szlachta jakoś pieniędzy nie miała, a spędzającym nie frymarku się chciało tylko gotowizny, wystawiono je na kontraktach Kijowskich. Była to polubomirszczyzna, z rozległych dóbr tej rodziny, która je wzięła w rozbiórce ordynacji Ostrońskiego; — dobra milionowe; słyszę nagle, że pan Stanisław te dobra prawie książęce targuje, aż i kupił. Oślupiałam, nie wierzyłem zrazu; ale wkrótce przekonałem się o prawdzie, bo zaraz zjechał na wieś.

Jakem o nim posłyszał, naturalnie z atencją do starszego brata; zastałem go już na nowem gospodarstwie, tak urządzonego niemal jak Asińdzka dziś widzisz. Od tej pory nic się tu na włos nie odmieniło. Jak siadł na wsi, tak o pół minuty nie chybiając od swoich obyczajów, żyje już drugi lat dziesiątek. Nie wiem czy przez te czasy obiad się kiedy dziesięć minut przypoźnił. — Ale djabie się posunął.. Ledwie go poznał pierwszy raz zobaczywszy, a od tego czasu jeszcze mimo regularnego życia, znowu zmiana wielka. Był to można powiedzieć piękny mężczyzna swego czasu — dziś mumia i dziwak niepospolity!

— No, ale serce? — spytała niespokojnie pani Hieronimowa: może się także zmieniło?

— Serce? — rzekł pan Samuel — w tym człowieku wszystko dla mnie zagadką: serce, głowa, uczucia, myśli, życie, przeszłość i zamiary. Żyję z nim oto

lat kilka, patrzę na niego od rana do wieczora, i nie go nie rozumiem.

— Ale jakże sądzicie?

— Najmniejszego sądu o nim wyrzec nie mogę, bo to dla mnie gorzej Sfiuxa egipskiego, dodał starzec.

— A z familją?

— Z familją — ciągnął dalej Samuel — grzeczny aż do zbytku, miły, ale dla niej zamknięty, jak opoka. Przyjmuje, karimi, poi, ale słowa o sobie powiedzieć nie da i nie dla nas nie zrobi.

— Wszakże wziął Jasia?

— A! i ślicznie mu tu biednemu Jasiowi! — odparł wzdykając pan Samuel; żebym ja był Józefem (szczęście że nie żyje), gdyby mi miliony swoje oddawał, nie dalbym mu Jaśka za nic. Chłopiec to umęczony, i zawczasu zepsuty, i zamiast wychować go; wyrobić z niego człowieka, dręczy, posługuje się nim tylko, trzyma go przy sobie na uwięzi, a co gorzej podobno w niwecz chłopca psuje...

— Ale mu to zapewne wynagrodzi?

— Tego nic nie wynagrodzi, gdy go na duszy zgubi — a i o zapisach jakichś tam Bóg jeden wie — nie bąknie nigdy słowa. Człowiek we wszystkim niepojęty, skąpy aż do plugastwa, a pyszny, samolub niewysłowiony, regularny jak zegar, jak lód zimny — wiary i serca jeszcze się w nim ni razn niedopytał.

— A! — ze zgrozą przerwała Hieronimowa — możecie też z żalu niesprawiedliwi względem niego i możecie się uprzedzili; nie chciałabym wierzyć w tak czarny obraz.

— Daj Boże! — z westchnieniem odpowiedział stary — by wina była moją nie jego; pokutowałbym za nią chętnie — ale nie! nie! nie myślę się ja, nie myślę. Patrzę na niego od lat kilku, oczyma, sercem, bo chciałbym coś dobrego wynaleźć, ale nic, nic! To zamknięcie się w sobie, ta tajemnica nie może nic dobrego rokować. Zresztą, sam rodzaj życia, jakie prowadzi, co go otacza, dowodzi, że serca tam brak, że zimny i twardy jak opoka.

— Pauli Hieronimowej, której te słowa burzyły najdroższe nadzieje, lzy się potoczyły z powiek.

— O! nie płaczże Asińdzka — rzekł stary z westchnieniem głębokiem, które się jakby mimowolnie z piersi jego dobyło — to darmo! Jam się już wypłakał i zimno o tem mówię; ale i mnie w pierwszej chwili kosztowało to przekonanie smutne, wiele łez w głąb piersi spadłych. Wiesz Asińdzka, że nie miałem nad jednego syna; matka go odumarła dzieckiem, zostać musiałem mu matką, niańką, ojcem. Ukochałem to dziecko, jako ostatni, jedyny węzeł co mnie ze światem łączył, jako spuściznę po pocziwej Marji mojej. — On był moją przyszłością; chciałem z niego uczynić ideał człowieka. — Osiwiałem, zestarzałem, zubożałem, podnpadłem — i patrz w co się moje obróciły nadzieje. — Znasz Asińdzka Rotmistrza; widziałś go — dobre stworzenie, serdecznie pocziwy, ale bez głowy nieboraczysko. To rozpacz moja; boję się bym za niego potępiony nie był, bo przeciwko Bogu bluźnię. Jednogom go miał i z tego nic mi Bóg zrobić nie dozwolił. Kiedym o razowym chlebie w moich dzierżawach wiek pędził w niedostatku, hodowałem go wygodnie, pieszczono, chuchałem na niego, nie żałując najdroższych nauczycieli, najlepszych dozorców, stawiając go na równi z najbogatszymi. Wszystko to poszło marnie, nie przyszło do niego.... dobre chłopię, dałby się porąbać za mnie; ale patrz Asińdzka co on dziś między ludźmi? — zero, nul. Był w wojsku, wyszedł z niego trochę się zaawanturowawszy; wisimy tu oba czekając zmiłowania Bożego. Dla niego to, Bóg widzi, nie dla siebie, potrzebowałem serca u Kasztelanica, a chciałem je odgrzebać z pod popiołów. Bo co ten nieszczęśliwy poradzi, jeśli się tak zostanie sam na świecie? Głowy niema, słaby, bez rozgarnienia, zwała się, zmarnuje, jak mnie przy nim nie stanie. Chciałbym mu dać kogoś coby mnie zastąpił; ale któraż porządna kobieta pójdzie za człowieka, ni z pierza ni z mięsa, tyle tylko, że pocziwego ale niezdatnego — i niepokąznego? Dla niego to ja tu siedzę, bie-

dużę, znoszę, czekam, patrzę, a nuż się zlituje Kasztelan. Ale widzę to! darmo!

Gdy to mówił stary, usłyszeli obok w pokoju kamerdynera Termińskiego, klucz który zaskrzypiał w zamku, a pani Hieronimowa z przestachem palec położyła na ustach.

— Nie wyjdiesz też Asińdzka przejść się trochę? — spytał stary wstając — tu coś parno, a jeszcze wcześniej; pochodzilibyśmy w około klombu w dziedzińcu... ze mną starym nie ma niebezpieczeństwa po nocy spacerować.

Ze świstem i śpiewką głośną wszedł pan kamerdyner do swojego mieszkania, właśnie gdy Samuel z panią Hieronimową uciekli dalszą rozmowę prowadzić w dziedzińcu.

— Niemasz tu Asińdzka czego czekać — rzekł Samuel obejrzawszy się — siedzę ja tu lat kilka, a jeszcze mi słowa za Rotmistrzem rzec nie dał. Jakaś go widziała jednego dnia, tak będzie po wieki wieków. Chybabyś trafiła do niego przez Anielę, przez Termińskiego... ale to....

— O! odparła kobieta z uczuciem boleści i dumy.

— A i tak nie się nie wskóra prócz upokorzenia — mówił dalej Samuel. — Życzę więc ci i radzę, powracaj do domu. Co się tyczy pana brata, niewątpliwie jest ogromnie bogaty, choć nikt nie wie dokładniej co on ma i gdzie. Lat około dwudziestu zbiera dochody; bo pomimo życia wygodnego, na które sobie nie żałuje, nie traci wszystkiego co ma. Co tylko wpłynie z intrat, ginie w jego kieszeni jak w otchłani. Co on z tem robi i co myśli zrobić, Bóg to jeden wie. Jego faworyta, panna Aniela, nie wiele od niego ma; Termiński także goły, wszystkich słyszę odsyła do testamentu i na potem.... Aniela i Termiński żeby ostrzą: broń Boże czego na niego, potrzeba żeby tu ktoś z nas był, bo okradną. Cóż mam robić, choć Bóg widzi jak mi to ciężko tak na łasce wisieć; ale dla przyszłości Rotmistrza muszę. Co tam kiedy będzie nie wiem, ale to pewna, że wam krzywdy zrobić nie damy, byle to do

rań kiedy przyszło; tymczasem nie macie się czego spodziewać i wyglądać żadnej pomocy.

— A gdybyśmy go otwarcie, ze łzami, za dziatkami naszymi poprosili?

— Kiedy to i jak? — z bolesnym uśmiechem spytał pan Samuel. — Asińdzka życia jego nie znasz; żaden zegarek tak nie idzie jak Kasztelaniec. Jestto widać kalkulacja na długie życie. Wszystko u niego aż do słów, które wymówić ma i wysłuchać, doskonale naprzd obrachowane. Wstaje, zrana napije się czekolady, pod humor pobawi się z papugą; wytrą go, wymyją, wyperfumują, wyfryzują; panna Aniela wejdzie pogłaszać go pod brodę, Termiński z plotką lub wesołym conceptem, i ranek tak zamkniętemu upływa cały, a gdyby pioruny były, nikogo tam niedopuszczają, żeby szkodliwego wpływu na humor dnia czasem wrażenie jakie niespodziane nie wywarło. Wchodzą tylko swoi i to na głos dzwonka, lub o swej porze. Na godzinę lub więcej przed wyjściem do salonu, Kasztelaniec zamyka się w swoim pokoju, do którego nikt, ale co się zowie nikt nie bywa przypuszczany. Pokój to jak on tajemniczy, od którego klucz nosi zawsze przy sobie, gdzie nikt nie sprząta, gdzie Anieli i Termińskiemu zajrzeć nie wolno, bo nim go otworzy wszystkich odprawia. *Supponitur* że tam pieniądze składa — czy kto go tam wie co robi. Potem, jak Asińdzka już wiesz, obiad wyrachowany na minuty, potem sen — także nie dłuższy nad piętnaście minut; powraca do siebie.... Spoczawszy, wychodzi do Bulwy, którego unosił jak ptaka. Bulwa zdaje mu raporta gospodarskie, pieniądze wnosi, pokazuje rachunki; rozmawia z nim krótko, dysponuje mało, gderze ogromnie i znów na kawę do salonu, gdzie bawi do wieczery i po wieczery chwilę. Jeśli nas jest kilkoro, wszyscyśmy obowiązani dotrzymywać mu placu w salonie, pod karą gniewu; on gawędzi trochę, albo raczej słucha co gadają, bo sam się nie bardzo wygaduje i uśmiecha tylko; sprzeciwić mu się nie wolno! — Jeśli sam na sam z Jasiem, każe mu sobie czytać jakieś obrzydliwości i — gubi chłopca,

w którym to naturalnie fermentuje. Pół do dziewiątej powraca do siebie, rozbierają go, flanelują, kąpią, w łóżko kładną, pod poduszki łechcą, a panna Aniela siada przy nim poufalućko na łóżku i siedzi dopóki dobranoć jej nie powie... Ot cały dzień. *Ab uno disce omnes*, chciałem powiedzieć, ale Asińdzka nie rozumiesz tego; dość że tak zawsze.

— Jakto? a niedziela, a święta? a goście?

— Gości tylko na obiad lub wieczorem przyjmuje, ale dla nich trybu życia nie zmienia. My ich bawimy za niego; o niedzieli i o świętach nie wie, bo i powszedniego dnia pacierza nie mówi, a o Panu Bogu widać zapomniiał nieszczęśliwy ze wszystkim.

Pani Hieronimowa zawołała z przerażeniem:

— A! cóżto za nieszczęśliwy człowiek? — a cóż go trzyma na świecie?

— Brzuch, mościa dobrodziejko — odparł gorzko pan Samuel. — Kat wie co zresztą; może pieniądze, które tak lubi, może panna Aniela, którą niby kocha.... ale to kochanie.

— Któż to jest ta panna Aniela? kiedy wolno zapytać?

— Niewiele o niej powiem Asińdze, bo i wiem nie wiele. To pewna, że ją usłużny Terminiński gdzieś dla swojego pana odgrzebał i ze swojej ręki tu osadził, i oboje na jeden grosz targują. Terminiński kuta bestja: na okolo go otacza swojemi figurami i zabiega skrzętnie, żeby nikogo obcego niedopuścić do ucha i laski, co zresztą nie przychodzi mu trudno, bo do Kasztelanica i dostąpić dziś niepodobna. Aniela, jak słyszałem, rodem jest tu z jakiegoś małego miasteczka, córka ubogich mieszczan, miała w młodości kochanka, który ją na koszu osadził, a tu ją przywieźli dla zabawy starego, któremu się jeszcze zdaje, że blisko dziewięćdziesiąt letni, jak dawniej kochanki potrzebuje. Aniela, kobieta nadzwyczaj sprytna, ale tak zimna, wyrachowana i niedocieczona jak mój pan brat. Zaledwie tu weszła, wykrzesala się sama, nastroiła do tonu domu, poznała tych co ją otaczają, przewąchała i domysliła

się wszystkiego tak; że sam już Termiński musi się na nią oglądać, jak uważam. Jedna to szajka teraz. Widocznie godzi na to, żeby się z nią Kasztelaniec ożenił, ale co z tego, to pewien jestem, że nic nie będzie.

— Ale cóż mi stryj dobrodziej mówisz; to okropny dom, to straszni ludzie! — Ten biedny Kasztelaniec, do kogoż przywiązany, kogo kocha? — Co go na świecie trzyma? boć przecie tak żyć nie można samemu sobą i dla siebie? — spytała znów naiwnie pani Hieronimowa, nie mogąc pojąć życia bez przywiązania.

Pan Samuel się uśmiechnął.

— To najdziwniejsza, że w całym swoim życiu Kasztelaniec podobno nikogo nie kochał i nikomu się ująć nie dal. Ci co go otaczają, myślą że nim rządzą; on w istocie działa niemi i posługuje się jak chce; rachują i w rachubach się myślą; nieraz na jego mniemaną słabość stawiają łapki, ale jak zręczna myszka, Kasztelaniec wyjada słoninę, a przycisnąć się nie da. Termiński, panna Aniela, Jasiak, ci co go są najbliżej, których najwięcej potrzebuje, zdaje mi się, że nic nad nim nie mogą; on ich zwodzi, nie oni jego. Szpieguje jednych drugimi; gdy proszą o co, odkłada do jutra, lub zręcznie się wywija, wreszcie gdy go przyprą, odstrasza gniew udając.... bo i to udaje! Takiego człowieka anim znał, anim widział! anim się domyślał — jestto dla mnie zdumiewające *monstrum*!

— A! na Boga! stryju, ciszej!

— Nikt nas tu nie posłysz; zresztą, gdyby nie interesa Rotmistrza, gdyby nie to nieszczęśliwe dziecko, powiedziałbym mu to dawno w oczy i nie popasał długo.... — dodał pan Samuel z głębokiem westchnieniem. — Ale czego się to dla ukochanego a biednego dziecka nie zrobi!

— A! to prawda! to prawda! — z silnie wyrażonem w głosie łzawem uczuciem, przerwała kobieta. Samuel mówił dalej:

— Całej naszej rodzinie należałoby się tu naradzić, co począć, i dlatego to z Asińdzką mówię, że potrzeba

nam o sobie pomyśleć. Kasztelaniec żyje jak młokos (choć ostrożnie i rachunkowo), ale ma lat pod dziewięćdziesiąt! lada moment koniec sobie może jaką niestrawnością przyspieszyć. Otaczają go cheiwi, intryganci, po prostu złodzieje czyhający na dobro nasze. Jaś nawet, choć nasz, boję się bardzo by się tu nie zepsuł i zamiast pracować dla rodziny, nie pracował z niemi lub sam dla siebie. Bóg wie co z tego wszystkiego wywiązać się może. Myśmy licznem rodzeństwem, wszyscy prawie ubodzy; te miliony Kasztelanica mogą być dla nas darem Opatrzności; potrzeba myśleć, by się darmo w niegodne i niewłaściwe ręce nie dostały. W tej myśli i ja tu choć z bolem serca i jak na pokucie siedzę.... ale cóż ja sam poradzę! Z dniem każdym lepiej widzę, że tu kogoś sprytniejszego potrzeba na Kasztelanica, na jego Anielę i Termińskiego i dla dozoru nad Jaśkiem. Ani ja, ani Rotmistrz na szpiegów i stróżów nie zdaliśmy się; ucho-
waj Boże czego, wszystko mogą zabrać obcy — bo i testament gotowi podrobić i pieniądze skraść, i Bóg wie tam jeszcze co! mnie i zgadnąć niepodobna!

Pani Hieronimowa, dla której te zwierzenia pana Samuela odkrywały rzeczy wcale niespodziane i nowe, za każdym słowem bardziej stępiała i mieszała się. Biedna, poczciwa i prosta kobieta, nie wiedziała sposobu wyjścia z tego labiryntu, którego ciemne głębie odkrywały się przed jej oczyma; głowa jej się zawracała.

— Cóż więc poczniemy? — szepnęła stojąc po długiej chwili milczenia.

— Tu, powtarzam — rzekł pan Samuel — potrzeba kogoś sprytniejszego odemnie — ja jestem prosty człowiek, stary, złamany; choćbym co widział nie zaradzę temu, bom zgryziony, znużony i z sił opadły.

— No — a Jasiek?

— Jasiek! boję się, ale mi się zdaje, że jemu już nic wierzyć nie będzie można.... On także podobno rachuje dla siebie na testament stryja.... Kto wie! na podchwycenie może użyć wszystkiego. Dzieciak ten nie

mógł tak bezkarnie ocierać się długo o zepsucie, zaguił leżąc przy zgniliźnie!

— Tak młody, tak zdaje się skromny, potulny, bojaźliwy!

— Cicha woda! cicha woda! — odparł pan Samuel. — Ale uważałaś pani, jak oni z panną Aniela oczyma ku sobie strzelają, coś jak gdyby się skłócili — bo byli podobno lepiej wprzód! Ze stryjem Jaś podobno umie sobie począć — i co za dziw! niewola, ucisk, nauczyły go kłamstwa; złe książki zasiały w nim namiętności gwałtowne; w jego twarzy, spojrzeniu, postawie znać ognie co pod tym zimnym popiołem są skryte. — Namiętności, które stryj dogadza sobie, nie oglądając się na Boga i ludzi, musiały i w nim powoli się rozruszać — a namiętności bez wiary daleko zaprowadzić mogą. Jeżeli ich tu tak samych zostawimy, tę nie pocziwają trójkę, kto wie, czy nie przyjdzie wcześniej z nadziejami sukcesji się pożegnać.... Stary będzie ich zwodzić, ale oni nas zwiodą, gdy oczy zamknie.

— Ale na to ja nie widzę rady! — zawołała pani Hieronimowa.

— Jest, jest, ale jej ani ja, ani pani nie damy; powtarzam Asińdźce, tu potrzeba kogoś sprytniejszego, żeby się poświęcił dla całej rodziny, przyjechał nieznacznie, powoli się zasiedziały i miał oko pilne na to, co się gotuje. Stary ma miliony, to pewna; skąpy nadzwyczajnie, grosz co do niego wpłynię nie wypływa od niego, najulubieńszym swoim nic nie daje, uwodząc ich testamentem i jutrem. Nas jest dużo co do tego spadku mamy prawo, ale wszyscybyśmy się zasilić mogli, gdyby tylko marnie nie poszedł. — Tak mówił pan Samuel, przerwał i dodał żywiej:

— Zresztą, mnie byle tylko Rotmistrza wyposażyć i ożenić, ja dla siebie złamanego szeląga nie żądam; jego mi żal, bo się to zmarnuje, dobre, pocziwe dziecko — cóż gdy głowy żadnej! Waćpani masz także czworo dziątek; radźmy wspólnie.

— Mogeż ja kobieta poradzić co na to — odezwała się pani Hieronimowa, z bojaźnią, z uśmiechem smu-

tnym i ze łzami. — Jam nie znała dotąd Kasztelanica, wyobrażałam go sobie wcale inaczej, i ani mi w myśli powstało, żeby tu tak ciężko było wyżebrać pomoc dla bliźnich a ubogich krewnych. Jam prosta kobieta, matka, żona, wieśniaczka i przyznam się stryjowi, że w takich intryg płataninie radybym sobie nie dała, nawet gdyby szło o dziecko moje. Cóż tu poradzić? co na to robić? mówić nie można, prosić daremnie, reflektować próżno. Po mojemu, po kobiecemu, niechby się kto pocziwy znalazł co by Kasztelanica nawrócił, opamiętał, odwiódł od tego życia, a wszystkoby potem poszło jak z płatka.

Pan Samuel z cicha rozśmiał się na całe gardło.

— Wyśmienitaś Asińdzka! nawrócić i upamiętać starego grzesznika co w Boga nie wierzy, co duszy w sobie nie czuje i w dziewięćdziesiątym roku życia, nad grobem prawie stojąc, zakamieniały, prowadzi życie jakie ledwie młodość by mogła wytłómaczyć! Nawrócić jego! znałogowanego, zatwardziałego i nieprzystępnego jak on! To tylko Asińdzka pomyśleć mogłaś!

— A cóż tu począć innego? — spytała kobieta śmiechem tym nie zmieszana.

— Serce co się nieobudziło przez lat dziewięćdziesiąt, nieocknie się już dziś, gdy ledwie w nim bije; nie jego ratować; ale siebie winniśmy. Jest nas liczna rodzina, trzeba się zebrać, naradzić, ale z sercem i z głową. Bo ja, powtarzam Asińdze, rady tu nie dam sam; Rotmistrz zdałby się tylko do wybitej, gdyby potrzeba, Jasiek o sobie tylko myśli. — Posłuchajże mnie Asińdzka uważnie, bo pora i bardzo żebyśmy coś postanowili i zrobili. Jest nas dosyć: dzieci Heleny, (Józefa mijam), Antoniego, Piotra; żyją Antoni i Piotr; wreszcie mąż twój Hieronim i brat jego Paweł.

— O! mój mąż — przerwała kobieta — to prosty sobie gospodarz, jak ja prosty człowiek, on się nie przyda do takiej sprawy.

— Ale słuchajże mnie Asińdzka; zbierzcie się, naradźcie i wykomenderujcie tu kogo macie najsprytniej-

szego. — O nas to wszystkich chodzi; kochajmy się i za ręce się weźmy a myślny o sobie.

— Zapewne, stryj to lepiej wiesz — dobrzeby to było, stryju kochany; ale ja nikogo nie widzę....

— Musi się ktoś przecie znaleźć. — Ja nie wszystkich tak blisko znam, bom tu wspólnego dobra pilnując, zasiedział się od lat kilku, ale.... może pan Paweł?

— Pan Paweł? — nie wiem! — cicho odpowiedziała Hieronimowa.

— Może który z synów Helusi?

— Mało ich znam.

— Tu potrzeba kogoś, nie młokosa, coby dobrze świat znał, ludzi umiał cenić, odkryć myśl nim się urodzi, zapobiedz gdyby się spełnić miała — czynnego, gorącego, nie tchórza, a przytem coby się umiał Kasztelaniciowi podobać!

— A! o to wszystko będzie trudno!

— Tak! to ja wiem że trudno, ale przecie nie jest niepodobieństwo — odparł pan Samuel — naprzód, że Kasztelanic wszystkich jednakowo traktuje, dla wszystkich równo grzeczny i nikomu nie pokaże co myśli; powtóre, że oprócz kuchni wszystko mu podobno obojętne na świecie. Ale jednak człowiek żywy, śmiały, dowcipny, zręczny, coby go czasem potrafił rozruszać, zabawić, coby się stał potrzebnym, a któryby w tych zamurowanych kwaśnych twarzach dworaków czytał — na wieleby się przydał. A więc, powracaj pani jutro do domu, opowiedz mężowi co się tu dzieje; zwołajcie po cichu familję, wybierzcie tego posła i dawajcie go tu na moje ręce. Ja go tu popchnę i sam odpocznę — spokojniejszy. Wszystkich w tem sprawa, wszyscy radźcie razem — a nie, to się przyjdzie pożegnać jeśli nie z całym dziedzictwem, to ze znaczną jego częścią — bo niechybnie nam je z przed nosa pochwyć.

— A niemogłabym jutro słówka, cichego słówka za sobą powiedzieć, nim odjadę? spróbować tylko? — spytała pani Hieronimowa bojaźliwie, nieumiejąc się wyrzec myśli wsparcia dla biednych swych dzieci.

— Spróbuj sobie Asińdzka, kiedy chcesz i masz odwagę.... ale ja nic ci dobrego nie przepowiadam. Czekać musimy; za życia nam nic nie da, a i po śmierci, to jeszcze widłami pisano? O! gdyby Rotmistrz miał w głowie olej, albo ja w kieszeni pieniędzy trochę, nigdybym tu nie wisiał, bo i patrzeć na tę Sodomę nie wesoło.

— A tymczasem — dobranoc — dodał pan Samuel — już podobno dobrze późno; nie czekaj Asińdzka darmo, jedź jutro, a chcesz przed odjazdem spróbować szczęścia, woła twoja! spróbuj!

III.

Nazajutrz rano obudził się Kasztelanie jak zwykle w bardzo kwaśnym humorze; był li to smutek wieku, czy ciężkiej strawności i wylewania się żółci, nie wiem; zużyty starzec zawsze dźwigał się z łóżka posępny, gniewny, i potrzebował żeby go otaczający niejako wciągnęli w życie, rozbudzili do niego powolnie, rozchmurzyli. Może tam we śnie odzywało się sumienie, czy mówiły wspomnienia jakie; to pewna, że w pierwszych rannych godzinach nikt z najpoufalszych i najlepiej z nim zażytych nie przystępował do niego bez trwogi. Najprzywykleszy Termiński, z wysiłkiem, zbierając się na odwagę i wytrwałość, wsuwał się do pokoju, w którym starzec z zaciśniętymi ustami, obwisłą brwią, żółty, drżący, pokaszlujący, rozgorączkowany, czekał na ludzi, by na nich uzbieraną we śnie wylać gorycz wewnętrzną.

Pierwsze jego pytania, pierwsze odpowiedzi, były zawsze cyniczno-szyderskie, nie litościwie smagające, przejęte najokropniejszym rozczerowaniem — nigdy jeszcze nie obudził się z słowem dobroci, z uśmiechem łagodności na ustach.

Termiński, na odgłos dzwonka, wszedł do pokoju sypialnego Kasztelanica. — Pokój ten dosyć wielki, z łóżem obszernem mahoniowem, osłoniętem firankami, z kominem, na którym stał zegar marmurem, brązem i świecidlami ozdobny, miał dwoje drzwi widocznych, a trzecie w szafie ukryte, które przez wązkie korytaryk wiodły do apartamentu panny Anieli. — U okna grubej materji firanką w części zasłoniętego, stała gotownia, bogata w najrozmaitsze przybory i kosmetyki, mydła, wonie, narzędzia toaletowe, flaszki i

puszki, noszące na sobie cechy nie dzisiejszego ale wytwornego smaku.

Wszystko to było kosztowne, piękne, drogie, ale nie razem kupione i nie nowe; pochodzić mogło z końca XVIII., a z początku XIX. wieku, gdy mitologia jeszcze i greckie wzory wszystko piętnowały często najnieszczęśliwszem naśladownictwem.

Dywany równie piękne, ale stare, wyścielały podłogę wieńcami z róż i amorków. Zresztą, nie tu tak dalece nie było dla oka i ozdoby samej, a na wytartych sprzętach widoczna była, przy troskliwości o wygodzie, oszczędność posunięta do skąpstwa. Trochę zszarżany dywan w nogach łóżka załatany był prostym krajczakiem.

Na rozsunionem z firanek łóżu siedział starzec, przygarbiony, w białym czepku żółtą wstążką związanym, w kaftaniku trykotowym i podobnych spodniach — siedział, dyszał i na drzwi spoglądał, oczekując przyjścia Termińskiego, który się widać na daną sekundę nie zjawił, bo brzmienie dzwonka, nie powinno było ucichnąć a sługa już musiał być we drzwiach.

Termiński bardzo postawny mężczyzna, pięknego wzrostu, przystojnej twarzy, rysy miał jednak tak nie wybitne, tak pospolite, że gdyby nie usta co im jakiś nadawały charakter, nieby na tej masce nieruchomej, gipsowej wyczytać nie można. Była to księga zamknięta — namiętność, myśl, życie nie wycisnęły się na karcie jej białej, martwej, nieruchomej a strasznej tajemnicą, którą kryła. Tylko w ustach zaciętych i ściśnionych a niekiedy drżących, znać było człowieka silnej woli, który wszystko z siebie robi co zechce, człowieka co jednej myśli, jednej jakiejs nadziei poświęcił się i życie za nie dać gotów. — Te usta jedno czasem żyć się zdawały; śmiały się nieco, łagodniały w potrzebie, wyrażały dumę i pewność siebie i jak w łalce, której część się porusza, gdy reszta nieruchomą zostaje, te oczy, czoło, postawa, grze warg nie wtorując wcale, zdawały się z kamienia wykute. Wzrok był zimny, niemy, milczący, szklanny; pięknie zbudo-

wany; bardzo dobrze ułożony, Termiński był co się zowie przystojnym mężczyzną, ale już podstarzał i zbladł w ciężkiej pracy — resztki tylko pięknej twarzy i gibkiej, zręcznej postawy mu zostały. Ubiór jego był czysty i prawie wykwintny.

— Ha! — zakaszłał stary — ha! już się coś pan Termiński opuszcza — dzwonię, dzwonię — darmo!

— Na pierwszy odgłos.... byłem gotów.

— Proszę mi nie przeczyć! — gwałtowniej rzekł Szambelan — szlafrok. — Termiński już stał z szlafrokiem, który starzec wdział powoli i usiadł w bliskim fotelu. Spojrzał w okno, ranek był pochmurny, ziewnął.

— Każe pan okno otworzyć?

— Proszę czekać rozkazu — miej Wpan cierpliwość kiedyś sługą.

Lokaj cofnął się i w tył założywszy ręce, stanął pokornie za krzesłem.

Kasztelanie spojrzał na zegarek.

— Czekolada — rzekł kaszłąc.

Drzwi w szafie utajone otworzyły się i Termiński wysunął się niemi; stary sam pozostał, obejrzał się po pokoju, ciężko okiem zatoczył, szydersko się do siebie uśmiechnął jakoś i zadumał zmiąwszy usta zbladłe.

Ale nim duma jego miała czas przejść w osłupienie, zwykle ludziom starym i zużytym, wrząca i szumem pokryta czekolada ukazała się z Termińskim we drzwiach pokoju; stoliczek wykładany mozaiką zatoczył się przed niego i biała serweta opadła na kolana.

Po pierwszych łyżeczkach wrzącego napoju, gdy życie podsycone na policzki krwią wytrysło i rozjaśniło zbielełe oczy, Termiński, wiedząc że mu już można bez niebezpieczeństwa się odezwać, rozpoczął rozmowę.

— Bulwa pojechał do Wrotkowa....

— Kraść? — spytał Szambelan zimno.

— Pilnuje go tam Rachmistrz.

— A Rachmistrza kto?

— Ja.

— A Waćpana? — dodał Kasztelanie sucho.

— Mnie, Jaśnie Panie, sumienie.

— A a a! sumienie! sumienie! — szydersko, powoli powtórzył pan. — Cóż tam Jaś? — spytał po chwili.

— Pan Jan dziś coś długo spał, bo wczoraj długo po ogrodzie się przechadzał, a potem czytał jeszcze.

— Co? pewnie odkradzioną u mnie książkę? — rzekł uśmiechając się stary.... — o! lajdak!

— Niewiem co czytał.

— Kształci się, z przekąsem rzekł stary, stawiając filiżankę i ocierając usta. — Jakże tam zdrowie panny Anieli?

— Nie widziałem jej.

— Humor czy lepszy jak wczoraj?

— Wątpię, ma ona swoje zmartwienia.

— Zmartwienia te są dla mnie tylko, nie dla niej — odparł sucho Kasztelaniec; — wywozi je na targ darmemnie, ja za to nie zapłacę. Ja to dawno znam: więcej u mnie dobrym humorem i wesołą twarzą żyć można.

Termiński zagryzł usta.

— A co tam uowego?

— Pani Hieronimowa chce wyjeżdżać.

— A! już! no, to kazać zaprzęgać! — śmiejąc rzekł Kasztelaniec. — Nudzi mnie baba ze swoim słodkim uśmieszkiem piętnastoletnim.... to anachronizm.

— Nie wiem co to jest, że tak się nagle wybrała — rzekł Terminiński — ale posądzam pana Samuela, że to jej poradzić musiał. Zdaje się, że daleko dłużej zabawić myślała, choć ludzie jej psykali od dawna.... ale wczoraj długo z sobą wieczorem się naradzali, szepotali, rozprawiali chodząc po dziedzińcu, zapewne, żeby ich kto nie podsłuchiwał.... i dziś poczęła się wybierać.

Kasztelaniec z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie.

— Prosiła mnie czyby nie mogła wcześniej Jaśnie Pana pożegnać.

— Waćpan przecie wiesz, że ja do obiadu nie jestem widzialnym dla nikogo.

— To też odpowiedziałem jej, że to być nie może, ale wyjechać bez pożegnania nie radziłem.

— Na to nadto grzeczna i parafianka biedaczka, rzekł Kasztelanic.

— A pan Rotmistrz? spytał po chwili.

— Rotmistrz jeszcze nie powrócił z polowania.

— Nie upoluje sobie gdzie rozumu? — rzekł nawiasowo gospodarz.

Termiński rozśmiał się tylko. — Czekolada była skończona, do ubierania zawczasie; spojrzął na zegarek i wyszedł.

Jego wyjście było znakiem dla panny Anieli, że czas się jej ukazać, ale minutę całą spóźniła się, i nie bez celu.

Nim się ona ukaże, powiedzmy słowo o tej tak ważnej w domu Szambelanica postaci. Wiemy już że panna Aniela była córką mieszczanina z pobliskiego miasteczka, ubogich rodziców dzieckiem, której Bóg nie dał innego posagu nad ładną twarzyczkę i niepospolicie obdarzoną główkę. Rodzice nie pocieszyli się jej losem, bo ją kilkonastoletnią przy wstępie na świat odumarli. Została przy starej ciotuni, kobiecie jak szatan złyj i jak szatan przebiegłej, intrygantce, której talent spelzł napróżno w małym miasteczku. Chciwa, złośliwa, przewrotna, pożerana gorączką podżegania do złego, zawsze umiejąca sobie zręcznie jakoś każdą swą czynność wytłómaczyć, stara Robowa, niegdys żona stolarza, kiedy się tu z Kolbuszowej przeprowadził, przepędziwszy młodość awanturniczo, przyspieszywszy mężowi śmierć swem najohydniej wyuzdanym życiem, — wzięła siostrzenicę jak się bierze konia — z myślą zarobienia na niej. Ona to wykształciła ją i w świat popchnęła. Aniela przeszła jeszcze swoją nauczycielkę w zręczności; od dziecka było to najdziwniej obdarzone dziewczę, które zgadywało i przeczuwało wszystko, i ku wszelkiemu złemu z namiętą biegło ciekawością. Pod przewodnictwem ciotuni wy-

kwitła bogato we wdzięki i sprytek, a Robowa myślała już tylko jak ten towar sprzedać, umiejac go ocenić wedle wartości i z góry wiedząc co za podobne cacko na dobrego kupca wziąć można.

Nie chybiła też żadnej zręczności popisania się z siostrzeniczką — wozila ją, pokazywała i złapała nareszcie młokosa, syna bogatego właściciela w sąsiedztwie, na którego pierwsze miłostki nie patrząc niby, dozwoliła im zejść daleko, obejrzała się dopiero, gdy już heroicznie z nich ratować się było trzeba. Plan obmyślała sama Robowa. — Młody człowiek struchlał, gdy ojciec jego dowiedział się o wszystkim, a że to był starzec surowy i popędliwy, a dzieciak młody, niedoświadczony i zakochany, z przerażenia, z żalu, z przywiązania, wywiązała się w nim choroba, której skutkiem była śmierć. — Plan całkiem się nie udał; Aniela pozostała wdową, ale pani Robowa potrafiła przestraszem zgorszenia i wrzaskiem zmusić ojca do sowitej opłaty.

To było pierwsze pole Anieli; los jakiś nieprzyjazny chciał, by jej wysokie talenta zawsze bezużytecznie i daremnie pełzły. — Zastawiono sieci powtórnie, na starego pułkownika od piechoty, któremu Robowa ukazała w bardzo zajmujących kolorach swoją niewinną i nieszczęśliwą sierotę. Pułkownik już się miał żenić, gdy stary ojciec ów, dowiedziawszy się o tem, a zawsze chciwy zemsty za syna, objaśnił go o przeszłości Anieli i wszystkie stosunki zerwane zostały.

Aniela chorowała, umierała, rozpaczala po siwym Pułkowniku; Robowa poprzysięgła zemstę strasliwą, a Pułkownik ruszył dalej, na nowym kwaterunku szukać żony.

Po tych dwóch nieszczęśliwych próbach w domu pani Robowej zjawił się Termiński, zobaczył Anielę, a że miejsce po oddaleniu panny Julii, chorej na kaszel i podejrzanej o suchoty, wakowało przy Kasztelanicy, zbadawszy ją i ciocię, uludziwszy obie nadziejami wielkimi, zabrał z sobą sierotę do Strumienia dla zarządzania domem. Jaka tam była początkowo umo-

wa między niemi, niewiadomo; ciocia z początku bardzo sobie życzyła, żeby z Anielą, dla oka ludzkiego, żenił się Termiński, ale jemu się tego nie chciało, ażeby się więc pozbyć cioci i siostrzenicy, szepnął, że temby sobie los daleko może świetniejszy zagrodziły. Chodziło tylko o to by się staremu podobać, stać niezbędną, usidlić go — a kto wie? on sam mógł pannę Anielę powieść do ołtarza.

Termiński wiedział o niepodobieństwie takiego końca (w chwili gdy to się działo), i dla tego właśnie łudził je tem obie. Ale nie znał Anieli; w istocie, stworzeńko to było daleko zręczniejsze, śmielsze, chytrzejsze, niżeli się spodziewać było po wychowaniu Robowej i życiu jakie pędziła w małym miasteczku. Zaledwie weszła na dwór Kasztelanica, z tytułem zwykłym Ochmistrzyni, zgadła zaraz charakter tych co ją otaczali, o władnęła wszystkiemi, ukształciła się powierzchownie, potrafiła doskonale zastosować do otaczających, i przeraziła Termińskiego, niespodzianą zręcznością w postępowaniu z Kasztelanicem. Napróżno, zapóźno chciał ją wycofać różnemi sposobami; Aniela pozostała mimo niego i kamerdynier musiał zwrócić się ku niej, by nie mogąc się jej pozbyć, przynajmniej korzystać.

Są tak szczęśliwe organizacje ludzi, które nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy z tego co czynią, umieją wszakże każdy krok stawić trafnie i postępować jak gdyby z najgłębiej obmyślanego planu. Instynkt jakiś wskazuje im drogę: nie chybią słowem, ruchem, wejrzeniem i dochodzą do celu cudownie, fatalnie rzeczy można, nie wiedząc nawet jakie ominęli niebezpieczeństwa. Tą trafnością instynktową w najwyższym stopniu obdarzona była Aniela, i tak szybko z mieszcanki przedzierzgnęła się na panią, że osłupiała Termiński poczynął się chwilami lękać tej, którą sam wprzód naraił. Jakby przeczuwała jakąś potrzebę wykształcenia się powierzchownego, nabrała maniery, mowy, tonu zupełnie nowego, raczej przeczutego niż naśladowanego, bo kogóż w Strumieniu widzieć mogła?

Chciwie czytała, uczyła się, w przeciągu lat kilku zmieniła się tak zupełnie, że ciotka nie śmiała do niej zagadać, nie odważyła się przy niej usiąść, tak czuła już jej wyższość nad sobą.

Kasztelaniec też przywiązał się do niej, o ile ten człowiek mógł się do kogo przywiązywać; była mu potrzebną, bo go zagadywała, bo go jątrzyła, ożywiała, bo mu pochlebiała gniewając go, z szatańską zręcznością wszystko na korzyść swoją obrócić umiając. Wysiłała się nie na to żeby jego serce pozyskać, czuła bowiem, że w tej zeschłej piersi serca nie było, ale by mu się stać nieodbitą w życiu — i taką już była prawie. Teraz rozpocząć się miał dramat, który wkrótce rozwijający się ujrzymy, osnuty wcześniej w tej główce, godnej świetniejszego pokrycia nad prosty tiulowy czepek.

Termiński patrzył na nią od niejakiego czasu niepokojny, trwożny, coraz niżej spadając z roli protektora jaką piastował i nie umiając sobie poradzić, by ją do stopnia, który w początku zajmowała, usunąć. Aniela garnęła się do góry. Niedowierzał jej, myślał właśnie i rozważał głęboko, czy rozpocząć wyprawę przeciw niej i wypowiedzieć jej wojnę otwarcie, czy zawrzeć przymierze. Musiał ją uznać silną, gdy sam pewien będąc, że jest niezbędnie potrzebny Kasztelaniciowi, nie ważył się jeszcze jej zaczepić.

Była to godzina panny Anieli — weszła Aniela. Dziś jeszcze wybitniejszy na jej twarzy był wyraz smutku, rozjątrzenia i nieukontentowania, gniewu prawie — ale wszystkie te uczucia przybrane grały tylko komedję.

Starzec odwrócił się ku niej i powitał weselej — ona się nie rozchmurzyła, usiadła opodal i zdawała zajęta więcej pokojem jego niż nim. Kasztelaniciowi oczy zabłysły, wargi się zacięły, pośólkl....

— Porzuć Waćpanna te fąfry — rzekł — ze mną się to wszystko na nic nie przydało — tem nic nie wytargujesz...

Aniela porwała się jak oparzona.

— Pan jesteś nielitościwy i bez serca! — zawołała tragicznie — chcesz by ci każdy poświęcał wszystko, nawet swoje najtajemniejsze uczucia; posądzasz nawet smutek!

— Posądzam! tak! posądzam! — rzekł Kasztelan — bo ludzi znam, a kobiety jeszcze lepiej niż mężczyzn....

Wzgardliwie się uśmiechnęła panna Aniela.

— Co? — nie? — spytał Kasztelan.

— Nie będę się panu sprzeciwiać....

— Pozwalam, sprzeciwiaj się; godzina dziesiąta, można, nic mi to już nie zaszkodzi — rzekł flegmatycznie starzec.

Ruszyła ramionami kobieta i popędliwie odezwała się:

— Pan nie znasz nikogo, a najmniej kobiety! Chcesz na przykład wesołości od kogoś co jak ja, nieszczęściem wtrącony został w najohydniejsze położenie. Ja mam czucie, mam serce! mam wstyd! ja się krwawemi łzami codzień zalewam za gorzki mój chleba kawałek, a pan mi się każesz uśmiechać!

— Dość to ładnie powiedziano, ale rzecz znajoma — odparł Kasztelan — rozumiem: trzebaby czemś ten chleba kawałek osłodzić.

— Pan mnie nigdy nie zrozumiesz? a posądzasz ohydnie!

— Mówię prawdę? he? wszak tak? — Ale cóż chcesz więcej! W testamencie będziesz miała dowód mej wdzięczności i pamięci.

— Ja wprzód umrę — smutnie odpowiedziała Aniela.

— Nie wiem, ale na wyprzódki w tej rzeczy nie spieszę, — jeśli chcesz — ja się o pierwszeństwo nie myślę ubiegać.

— Umrę, a raczej — dodała z bystrym rzutem oka — odmienię to życie — pójdę ztąd!

Kasztelan spojrział na nią z uśmiechem niedowiarstwa.

— Rozmyślisz się i nie zrobisz tego — rzekł złośliwie — straciłabyś swoje zasługi.

— To życie mi obrzydło!

Skrzywił się starzec dziko i brwi namarszczył.

— Za daleko idziesz Mościa Panno — rzekł sucho. — Nie życzę się zbyt wygadywać, zmieńmy rozmowę.

Zmierzyli się wzrokiem, Aniela postrzegła wrzący w nim gniew zimnego samoluba, on w niej poczuł złość upartej i silnej wolą niezłamaną kobiety — cofnęli się przed sobą oboje. Starzec odwrócił się ku oknu.

— Powiem ci — rzekł — dobrą nowinę: pani Hieronimowa odjeżdża.

— O! to tak obojętne dla mnie.

— Wiem przecie, że tej uśmiechniętej baby, co się do ciebie tak wdzięczy nie lubisz.

— Cóż mi ona szkodzi?

— Aleś mi winna za tę nowinę co pociesznego, co ciekawego, wesołego.

Aniela wstała nachmurzona i milcząca.

— Powiem pann — po chwili namysłu rzuciła stanowczo — że chcę i postanowiłam go opuścić....

Kasztelaniec, który się wcale nie spodziewał takiej odpowiedzi, a czytał w jej oczach postanowienie silne, zadrżał, zawahał się, zachwiał — potem silnie zadzwonił.

Panna Aniela wyszła, bystro tylko rzucając nań okiem.

Terminski stał już we drzwiach, zobaczył na twarzy pana niespodzianą zmianę; Kasztelaniec posiniał cały i trząsł się — poskoczył żywo ku niemu.

— Co to panu? — zawołał.

— Co? — belkocząc odparł stary — Aniela, ta głupia Aniela chce wyjeżdżać.

Nim się zebrał na odpowiedź ostrożny sługa, poszedł się wprzód upewnić, że za drzwiami szafy nie było nikogo, zamknął podwójne na klucz i stanął przed Kasztelanicem z uśmiechem obojętnym i założonemi rękoma.

— Cóż to proszę Jaśnie Pana tak strasznego, że panna Aniela chce jechać?

— Jakto? ty wiesz jak do niej przywykłem, i pytasz mnie o to?

— A nie przestrzegałem ja pana, żeby do niej nie przywykać?

— Ale to utrapiona czarownica! — z gniewem odparł Szambelan — umiała mi się przylizać, przywiązać mnie, i widząc swoją siłę, uchodzi.

— Czy pan temu wierzy — spytał Terminiński — Pan??

— Ja? ot, powiem ci — chłodniej począł Kasztelan — nie koniecznie wierzę, ale zawsze się boję; to zamęt, to zmiana w życiu, wcale dla mnie nie potrzebna.

— Cóżby ona z sobą zrobiła? — spytał sługa.

— A szatan ją wie! dość że mi się okazała, że odjeżdża. — Czegoż już chce? niechże powie....

— Przepraszam pana — stanowczo odparł Terminiński — ale w ten sposób zrobi pan sobie z niej królowę i panią. Jeśli jej raz damy co zamarzy, będzie wyjeżdżać co tydzień.

— Jakiś ty sprytny Terminiński! no! ale cóż począć? — spytał stary.

— Dać jej wyjechać.

— A jeśli wyjedzie?

— Ha! znajdziemy sobie drugą Ochmistrzynię — rzekł śmiejąc się i zacierając ręce kamerdyner.

— To, nie, tego nie chcę — rzekł Kasztelan — ja do jej usług przywykłem; do innej ciężkoby mi się było przyzwyczaić.

— Więc JPan myślisz jej dać co zechce?

— Dać! uśmiechnął się stary chytrze — a kiedyżeś ty widział, żebym ja co dawał? — i dodał po cichu — obiecać to co innego! — Pokiwał głową, spojrzał na zegarek: — Cóż postanowimy? — rzekł powoli.

— Pozwolić jej jechać.

— Ale nie! nie! ona doprawdy zrobić to gotowa.

— Nie! nie! oho! nie pojedzie, jestem tego pewny; będzie się obawiać by ją nieopuszczono, przeprosi i koniec....

— Ha! próbuj! — rzekł stary — ale w ostatku do wyjazdu nie dopuszczaj. Jeśliby myślała wyruszać, daj mi znać i wstrzymaj — odpowiadasz mi za nią — nie chcę żeby jechała!

I z widoczną niespokojnością wstał Kasztelaniec z krzesła spoglądając na zegarek uważnie, obawiając się by zwykła jego godzina, o której nie pomyślał w porę, nie uciekła mu zbyt daleko.

Nastąpiło ubranie ze wszystkimi ceremoniami toalety człowieka, co się chce odmłodzić tysiącem sztucznych środków i wierzy w kosmetyki, mydła, wody, przyprawne zęby i pożyczane barwy. O! widok to był przykry i smutny! bo nic smutniejszego nad starość, która się ocenić i uszanować nie umie.

Dobłą godzinę trwało to piękssenie mozolne; wreszcie Kasztelaniec przejrzał się w wielkiem zwierciadle — był gotów. Termiński ustąpił mu z drogi i uszedł szybko ku wyjściu, a starzec dobywszy klucza zawieszzonego na jedwabnym sznurku na szyi, zbliżył się ku trzecim drzwiom, odemknął je powoli, ostrożnie, wcisnął się żywo do tajemniczego pokoju i zaryglował w nim zaraz starannie.

Termiński na progu został sam, zadumany przez chwilę, ustawił krzesła, zasłał łóżko i powoli wyszedł do panny Anieli.

Na progu zmierzyl się oczyma: on zimny i niezbadany, ona guiewna i zaperzona.

— Co to jest? co to pani myśli? — zapytał poufale Termiński, dobywając tabakiereczki i powoli zażywając albanki.

— Widzisz pan, myślę jechać! — udając największy gniew odpowiedziała Aniela — życie tu już mi obrzydło; wisieć tak przy tym zwiędłym starcu, nieznosnym, nielitościwym, szyderskim.... to grób! i gorzej grobu. Nie mogę, nie chcę tu być dłużej! Świecić ciągle oczyma przed światem, przed godną jego rodziną hołyszów co nas pilnują i szydzą.... nie zniósę tego dłużej, nie zniósę!.....

— Ale bo widzi panna Aniela, że kiedy się co z góry wiedziało i na co zgodziło.....

— Nie godziłam się przecie na całe życie i na powolną śmierć.

— No! czegoż panna chce?

— Żebyście mi oba, ty i pan twój, dali pokój!..... Termiński tylko się rozśmiał.

— Dalibóg pannunin, to jeszcze nie w porę ta komedja. A jak my pannę puścimy?

— Niczego więcej nie pragnę!

— E! mówmy tu otwarcie! — rzekł zniecierpliwiony sługa — wszakżeśmy we dwoje, na co to kłamać. Panna wprawdzie zyskujesz swobodę, ale z nią i hołotę; wracasz do cioci Robowej, a teraz o tych pułkowników coraz trudniej.

Aniela zarumienila się i pobladła nagle.

— Jeśli panisko Bogu ducha odda — mówił dalej Termiński — zapisy przepadną, nadzieje lichy weźmie. Tu trzeba dotrwać do końca, bo koniec dzieło chwali dopiero. Widzisz Waćpanna; służę mu lat dwadzieścia pięć, grosza przy duszy nie miałbym, żeby nie pocziwy ten Bulwa co mnie czasem jakim rublem podratuje; kraść nie chcę i niepodobna; dwadzieścia pięć lat zmarnowałem czekając i będę czekał jeszcze, a mam lat pięćdziesiąt.... Waćpanna zaś mając zaledwie....

— Proszę moich lat nie liczyć!

— Przepraszam, ale tak z gruba biorąc, młodsza jesteś odemnie — a już się niecierpliwisz. Przypominam pannie, że Kasztelanic zbliża się pod dziewięćdziesiąt — to piękny wiek!!

Panna Aniela ruszała wprawdzie ramionami, ale słuchała.

— Ale ja w tej sromocie wyżyć nie mogę! ja mam wstyd i sumienie — ja chcę...

— Ale to co innego; jeśli panna, jak się domyślam, życzy sobie do klasztoru wstąpić! — zawołał Termiński ze śmiechem — jeśli tak — nie przeszkadzam.

Nie wiem co sobie zamierzała panna Aniela i jakie miała rachuby, ale niewzruszona, przekonującą wy-

mową Termińskiego, poczęła się z dziwną obojętnością pakować i wybierać. Sługa stał przypatrując się chwilę, nachmurzył się zamyślony i odchodząc rzekł w duchu:

— No! no! do tego to już doszło! trzeba radzić, bo może być źle — albo pannę wyforować, albo jej pomagać i z nią się sprzymierzyć. Mógłbym po dwudziestu pięciu latach wylecieć najniespodzianie! dobrą sobie będę kupił! — Ha! poradzimy!

IV.

Pani Hieronimowa musiała czekać do obiadu żeby z Kasztelanem pożegnać. O zwykłej godzinie, minucie i sekundzie drzwi się otworzyły i wyszedł stary Stanisławowski paż, w codziennym swoim stroju, ale znacznie na twarzy zmieniony. W oczach grała mu niecierpliwość gorączkowa, ręce drżały jak od gniewu, wejrzenie dziko błdziło, nic przed sobą nie widząc.

Jaś już znalazł się w sali, w chwili gdy Kasztelan drzwiami otwierał, ale go przybyły o nic nie zapytał. Zdawał się widzieć go, a nie wiedział czy jest, tak silnie trwożył się i niepokoił o wyjazd panny Anieli, choć się do tej trwogi sam przed sobą nie przyznawał.

Jaś jednym rzutem oka dojrzał coś nadzwyczajnego w humorze stryja, ale nie odezwał się nawet, czekając zapytania. Z złożonymi rękoma, cicho, pokornie, stał przy drzwiach, badając ledwie nie z ciekawością dziecka, bez litości — symptomatów choroby niezwyczajnej, która zdawała się go bardzo obchodzić. Dotąd bowiem Kasztelan nigdy się niczem tak silnie poruszyć nie dawał; brał wszystko chłodno, szydersko, a ludźmi rzucał z obojętnością heroiczną. Jaś pomyślał naprzód czy nie chory.... ale przyniesione i dobrze przyjęte śniadanie dowiodło mu że nie. Żołądek Kasztelana tak był o swoje prawa zazdrosny, i tak się oddzielał od tego co sercem nazywają, że najmniejszego wpływu nie wywarł nań niepokój. Zjadł co mu podano, zamyślony — nie był więc chory, bo w chorobie żył jednym kleikiem; i ktoś mu widocznie niepokoju tego napędził, myślał Jaś.

W chwili króciuchnej między obiadem a śniadaniem, przyszła pani Hieronimowa i postanowiła skorzystać z niej, by przemówić do serca stryjowskiego.

Oszczędzając jej przykrości mówienia przy świadkach. Pan Samuel, który się domyślał że ten krok uczyni, i Rotmistrz, świeżo wracający z polowania, umyślnie się do salonu spóźnili. Jaś tylko stał kołkiem, ale biedna matka nadto była przejęta losem dzieci, by ją trochę upokorzenia wstrzymać miało od kroku, w którym pokładała nadzieję.

Kasztelaniec dojadł gdy kobieta odezwała się najslodszy jak mogła głosem, z pokorą i strachem:

— Dziś chcę kochanego stryja pożegnać i podziękować mu za uprzejmą w domu jego doznaną gościnność.

— A! a! — odezwał się gospodarz — cóż tak prędko?

— Mam wiele zajęcia w domu — odpowiedziała wzdychając Hieronimowa — czas drogi, dzieci tam na mnie czekają... Mam t ch biedacząt czworo; a tak mi z nimi ciężko! takeśmy ubodzy!

Kasztelaniec zaciął usta; spojrzala matka i serce się jej ścisnęło, ale nabierając odwagi, postanowiła konczyć bądź co bądź.

— Nigdy mi tak na świecie ciężko nie było, jak teraz.... ledwie ich odziać i wyżywić możemy; a o szkołach; jeśli nam stryj dobrodziej nie dopomoże i pomyśleć trudno!

Na to wyraźne wezwanie Kasztelaniec podniósł blade oczy pełne gniewu, spojrział, położył widelec i usiadł. Pani Hieronimowa cała drżała, w duchu odmawiając jakąś modlitwę, gdy napchane wędliną usta Kasztelanica otwarły się wreszcie z jakimś gorzko-kwaśnym uśmiechem.

Westchnął szydersko.

— O! kochana pani Hieronimowo, czegoby to człowiek dla familji nie zrobił, *gdyby mógł* (wymówił z przyciskiem). — Ale tak ciężkie czasy! tak ciężkie czasy! Pomódz! pomódz! familja nasza liczna, jednemu pomógłszy, potrzeba wszystkim; a jam stary i tak się tylko wam zdaje, że majętny! Ubogim ja także! Mam długi! istotnie bardzo mi ciężko! Niech Bułwa poświadczy: wszystko się rozchodzi!

Mówił to jako niby się żaląc, i piszczał tak po-

cieszenie, że Jasiek ledwie się od śmiechu mógł wstrzymać, a pani Hieronimowa, gdyby nie to, że wierzyła panu Samuelowi i wczoraj od niego nauczyła się znać Kasztelanica, byłaby to wzięła za świętą prawdę, i użaliła się nad jego nieszczęśliwym stanem.

Szambelan westchnął znowu, i tak mówił dalej:

— Co się tam kiedy po mnie zostanie nie dla kogo tylko dla was! Nie długo poczekacie; jam chory, niedołęga, a teraz gdybym najmniej chciał dla was uczynić, niestałoby mi kawałka chleba do jakiego przywykłem.

Pani Hieronimowa nie śmiała więcej nalegać, wszedł pan Samuel i na tem skończyła się próba, której skutek doskonale był przewidziany dla tych, co zbliżka znali Kasztelanica.

Termiński z ust uśmiechniętymi, dowodzącymi że gdzieś pode drzwiami słuchał, dał znać, że dano do stołu. Wszyscy weszli do sali w tym co wczoraj porządku, ale panna Aniela się nie ukazała. Oko starca najpierwszej jej szukało, nie znalazło, i niespokojny siadł do stołu; widocznie niebytność ulubionej obiad mu zatrula. Jadł wprawdzie i jadł obficie, ale myśl czem innem zaprzątniona, nieprzytomna, nie dozwalała mu się nasycać wybernemi wymysły nieporównanego Karasińskiego.

Jasiek wciąż badał stryja; Bulwa siedział przelekły, widząc straszny humor Pana, jaki się rzadko trafiał, zwłaszcza w czasie obiadu, i obawiając się by rozdrażnienie to na nim się nie skończyło. Termiński chodził także z półmiskami razem i z troską; słowem, obiad był chybiony, a rozmowa ledwie kiedy niekiedy rozpoczęta, wnet się urywała.

Przeszli do bawialnego pokoju, podano kawę i likwor, ustawił Jasiek warcaby, wygrał Szambelan i — nie usnął.

To już było tak znaczącem, że Termiński, który jak na barometer poglądał na grę przeze drzwi wybiegł strwożony, zacierając czuprynę. Jasiek nic tego wszystkiego zrozumieć nie mógł.

Goście powychodzili, Kasztelanie nie zdrzymnąwszy się nawet, wysunął się zaraz do swego pokoju.

Dzwonek nie dał zjeść Termińskiemu; przyleciał jak oparzony.

— A cóż? — zapytał stary.

— Co Jaśnie Pan każe?

— Panna Aniela? wybiera się?

Zmiał chustkę, którą trzymał w ręku i gwałtownie rzucił ją o stół.

— Prosić jej do mnie — rzekł — to trzeba raz skończyć.

Termiński struchlał.

— Ale Jaśnie Panie — rzekł zastraszony — jeśli się jej na włos dozwoli czego więcej, ona nas opakuje....

— Prosić do mnie — powtórzył Kasztelanie silnie! Termiński jeszcze się nie ruszył z miejsca.

— Jaśnie Jan pozwoli sobie uczynić uwagę.

— Termiński, słuchaj chceszli być cały! — krzyknął stary — ja wiem co robię!

Termiński, silny zasługą i łaską, jeszcze nie szedł.

— Słówko tylko — rzekł — ona nas doprowadzi do ostatniego upokorzenia, jeśli Pan jej cugle popuści.

— Prosić panny Anieli! — powtórzył uparcie Kasztelanie, nie wdając się w rozprawę.

Nie było co robić; Termiński usta skrzywił, włosy zatarł i wyszedł.

Panna Aniela chodziła po swoim pokoju, z rumieńcem na twarzy, poruszona, gorączkowana, coś mówiąc do siebie po cichu i miotając się gwałtownie; rzeczy jej już były upakowane po większej części. — Spoglądała w okno, słuchała najmniejszego szelestu, od rana wyglądając czegoś i doczekać się nie mogąc. Znała ona swoją władzę, czuła że jej nie powinien puścić Kasztelanie i trwożyła się wątpiąc chwilami o siebie. Nareszcie drzwi się otworzyły — wszedł Termiński. Zastanowiła się, uśmiech nieznaczny jak wietrzyk przeleciał po jej ustach. — Spojrzała tylko, i wiedziała o wszystkim.

— Prosiłam Pana o konie! odezwała się.

Termiński wpatrzył się w nią, kiwnął głową.

— Dałabyś Pani temu pokój — rzekł z wyrzutem — do czego się to zdało? Pani znasz Kasztelanica; na co go rozjątrzać? co to pomoże?

— To pomoże, że powrócę do domu — żywo odpowiedziała Aniela — że wrócę do mego ubóstwa, ale wyłamię się raz z tego ohydneho życia..... którego dłużej znieść nie potrafię!

— Serjo, panno Anielo!

— O! bardzo serjo!

— No! to niechże mi Pani powie, po co tu było z razu przyjeżdżać i tak niezdolne przyjmować obowiązki?

— Bom nie miała pojęcia co mnie tu czekało. Zresztą, lepiej poznać codzienną sromotę i nieznośność takiego położenia; wolę w domu mój chleb czarny.

— Ale zkądże to Pannuni przyszło? — spytał Terminiński, poczynając się trwożyć.

— Z myśli o sobie; zresztą co komu do tego; nie obowiązana jestem się spowiadać!

— Rób więc Pani co chcesz! a tymczasem proszę do pana.

Otworzył jej drzwi szeroko: panna Aniela ruszyła się i wydała zbyt szybkim ruchem; kamerdyner trochę się już uspokoił.

— Ba! kiedy tak do niego leci — rzekł — to wszystko komedia! — ale zręczna!

Kasztelanic chodził po sypialnym pokoju; — jak tylko ujrzał Anielę, dał znak Terminińskiemu żeby ustąpił; zastanowił się i przybrawszy najśłodsza swą minę, przybliżył się do rozdąsanej.

— Moja kochana panno Anielo, powiedzże mi, co ci się to stało? Któż cię obraził? któż ci co niemiłego powiedział? Braknie ci czego? Zkąd ten nagły gniew w chwili może gdy najwięcej czułem twoje poświęcenie dla mnie i myślałem jak je potrafię w przyszłości wynagrodzić.

Trochę kwaśno jeszcze, wszakże udobruchana nieco, odezwała się przybyła:

— Niech się Pan sam zastanowi nad położeniem mojem: czy ono do zniesienia? Wszyscy mnie wytykają palcami. Otwarcie Panu mówię, nie jestem jeszcze stara; mogę sobie znaleźć los.

Stary ramionami ruszył.

— Lepszego, jak tu, Waćpanna sobie nie znajdziesz — rzekł po cichu. — Waćpanna wiesz, że jesteś w moim testamencie.

Oczy Anieli błysnęły żywo i przygasły.

— Jeśli odjedziesz, dziś drę mój testament — wypłacić każe pensję — i nic więcej.

Nagle lzy stanęły w oczach kobiety.

— Ja do pana jestem szczerze przywiązana, ja po nim płakać będę, bo umiem czuć jego dobrodziejstwa — ale....

— Cóż to za ale?

— Mogęż ja tak pozostać?

Kasztelanic, jakby nagle uderzony myślą jakąś, uśmiechnął się potajemnie do siebie.

— Po mojej śmierci — rzekł — znajdziesz łatwo męża jakiego zechcesz, z posagiem, który ci przeznaczam — bądź spokojna.

Spojrzała na nią badając, z za łez już się powoli uśmiechała.

— Zostaniesz więc? — zapytał.

— Czegóżbym nie uczyniła dla Pana? — odpowiedziała cicho.

Stary zatarł ręce.

— A więc! zgoda! zgoda! — szepnął przybliżając się do niej i obejmując ją w pól z uśmiechem Satyra i błyszczącymi oczyma. Zgoda droga Anielpiu!

Na uścisk sam wszedł niefortunnie Termiński; panna Aniela odepchnęła starego, a kamerdyner srogie wejście odebrał od pana.

— Panna Aniela zostaje na moje prośby — rzekł poważnie Kasztelanic — ale życzę żebyście wszyscy, nie wyjmując nikogo, pamiętali, że ona tu po mnie

pani: żeby się jej woli, jej rozkazowi nikt sprzeciwić nie śmiał, żeby nie miała najmniejszego powodu do żalu..... Słyszysz to Waćpan?

— Słyszę Jaśnie Panie!

Tak się skończyła pierwsza scena tego domowego dramatu, a kamerdyner rzekł w duchu do siebie:

— Muszę zawrzeć przymierze; stary dał się uwikłać.

Stary jednak wcale dotąd uwikłany nie był, jak to później zobaczymy.

V.

Wózek pani Hieronimowej, zaprzężony trójką bronowłoków, zaszedł zaraz po obiedzie przed oficynę, bo i woźnica Korniej, rażny chłop w świetle z kapturem, i Hapka już odziana w swoją siwą katanę, spieszyli do domu, nie mogąc dojść do ładu z pańską służbą Kasztelanica. Oboje radzi byli janajkrychlej panią wyprawić z tego utrapionego miejsca, w którym i nudy i prześmiewania cierpieli. Pani Hieronimowa, pożegnawszy wszystkich, przeprowadzona przez pana Samuela i rotmistrza, wyszła zasiąść na swoich tłomoczkach, ze smutkiem i ciężkim na sercu zawodem.

Nie chcąc uchybić nikomu, zajrzała nawet do panny Anieli, która jej ledwio głową kiwnęła; uśmiechnęła się do Termińskiego, który ręk nie wyjmując z kieszeni, coś tylko burknął pod nosem, i przyodziawszy się na prędce, bo ubożuchnej kobiecie żal było lepszej sukni na drogę: związawszy białą chuścina głowę, poczęła się drapać na wysoki tłomok, pokryty wytartym kilimkiem.

Pan Samuel wstrzymał ją jeszcze na wsiadaniem.

— Pamiętajże Asińdzka, rzekł — o poleceniu mojem — to nie przelewki; wielu się na nas gotuje, potrzeba oka, potrzeba człowieka; przyslijcież mi tu kogo do pomocy.

— Powiem o tem memu mężowi, i co on postanowi, to zrobimy.

— Ale mu Asińdzka dobrze w głowę nabij, żeby się do tego wziął zaraz; bo to nie są żarty, możemy wszystko stracić.

Tak tedy wyjechała zawiedziona kobieta i modląc się a układając sobie po drodze, jakby mężowi oznaj-

mić najostrożniej o nieszczęśliwej swej wyprawie, na której tyle spoczywało nadziei, trzeciego dnia zbliżała się do domu.

Powrót do domu! jakże to sercem porusza!

Gdy się pani Hieronimowa zbliżyła do wioseczki w której część posiadali, gdy zobaczyła topole i lipy otaczające maleńki ich domek, tak jej się radośnie i straszno zrobiło zarazem, że o wszystkich podróŜnych zapomniła planach... patrzyła na ten dach, pod którym czworo dzieci i mąż czekali na nią; liczyła czy wszystko znajdzie na miejscu, żegnała siebie i wioskę nieboga, a łzy toczyły się z jej oczu. Korniej, woźnica, i Hapka wykrzykami swemi dowodzili, że dzielali jej uczucia, ale mniej z nich troski, więcej doznając radości. Dym z kominów płynący, poŜęte kopy na chłopskich sznurach, wysypała tu i owdzie słoma od przewiąsał jarzynnych, bydelko pasące się w oddaleniu, i postacie ludzkie dla oczu obojętnych niedostrzeŜone — dla nich były powodem tysiąc uwag, postrzeŜeń i wykrzyków. Pani Hieronimowa ze łzą i niepokojem, nie wiele sama postrzedz mogła; nareszcie wózek przeskoczył wysoki próg słomą pokrytej starej bramy i zatoczył się przed maleńki dworek Hieronimstwa.

Chatka ta była uboga, a uboŜszą jeszcze wydać się mogła po wspaniałych salach dworu Kasztelanica. — Domek chylił się do upadku, podpierany ze wszech stron, wpadły w ziemię i przekrzywiony starością — dach jego stroiły mchy zielone grubo na nim narosłe; w koło przyzba, jak przy wiejskich chalupach, obiegała ściany broniąc od zimna i mrozu. Opasany płotkiem brzozowym i ogródkiem, w którym kwitły wysokie malwy i złociste chryzantemy, wyglądał z niego jak z koszyka kwiatów. Po nad stary dach zwieszały się szeroko rozpostarte lip odwiecznych gałęzie, a dwie topole z gęszczy w górę, jakby daleko wyrzeć chciały, stróŜując domostwu. Ganek o dwóch słupkach przekrzywionych, poprzedzał ciasną sioneczkę. — Dziedzińczyk zamykały gospodarskie budowle ściśnięte, i o szczupłości gruntu świadczące skrzętnem ustawieniem jedna

koło drugiej — każdej tu widać piędzi zagona oszczędzać musiano.

Ledwie się wózek we wrotach pokazał, z krzykiem i hałasem wybiegły dzieci na przeciw matki. Było ich czworo, dwoje dziewcząt, chłopiąt dwoje. Starsze pannenki, z których jedna mogła mieć zaledwie lat piętnaście, a wydawała się siedmnastoletnią, tak ją ciężka praca wcześniej dojrzała, druga dziesięcioletnia, wyprzedziły chłopaków, ale wszystko czworo zarówno zapalczewie i głośno krzyczeli:

— Mama! mama! mama przyjechała!

Piękne to były dziatki, choć widocznie słońce i wiatr twarzyczek ich nie poszanowały, bo prócz najstarszej, poopalane było na czarno i brązowo — ale pod tą pozłotą jaśniał rumieniec żywy, i oczy, jak u wszystkich ciemno-płciowych na bielszej jaśniejące osadzie, ognisto polyskiwały. Najstarsza, Zośka, śliczne dziewczę ledwo rozkwitające, z włosami ciemno-blond — zastępca matki, poważna jak świeżo wyszłe z dzieciństwa stworzonko, tamowała zapędy szalone braciszków i siostrzyczki. Anusia, młodsza jasno-blondynka z ogromnemi szafirowemi oczyma — ulubienica ojca, już była na stopniu bryczki, do której poczepiali się i chłopcy, dziesięcio i siedmioletni Adaś i Marcin.

Ojciec się nie pokazywał, bo go w domu nie było; pilnował on żniwa z gumienym a czasem i sam sierp biorąc do ręki.

Ledwie się tem nie ucieszyła pani Hieronimowa że go nie zastała, bo się mjała czas upamiętać znowu, wypytała dzieci, które razem wszystkie szczebiotały, i obejrzeć po domu.

Tu wszystko świadczyło o ciężkiej doli, o wielkiem ubóstwie i pracy.

Wnętrze dworku nie miało kąta swobodniejszego, tego bawialnego pokoju, charakterystycznego tem, że kto go ma, bawić się może. Nie było go w domku Hieronimstwa, bo nie mogli na chwilę pomyśleć o zabawie; — wszędzie praca i oszczędność skrzętna patrzyła, wszędzie stały przyrządy gospodarskie, sprzęty

jakie, lub zapasiki, lub poczęte roboty. Ale te świadectwa zajęcia pracowitego rozweselały chatkę — życie w niej było wszędzie. Tam dziewcząt krosienka i motowidła, ówdzie kołowrotek porzucony, schnące nasiona, bielące się płótna, pokrajane do szycia bielizny; a obok wyczytane książeczyny chłopców, na których starsze siostry czytać ich i rachować uczyły. Aż się serce rozradowało biednej matce, która ten ukochany kątek opuścić musiała pierwszy raz w życiu — gdy ujrzała go znowu, równie ubogim ale droższym jeszcze po chwili oddalenia. W swojej sypialnej izdebce, przy białym zasłanem łóżku, przed obrazem Najświętszej Panny upadła na kolana, Bogu dziękując że powróciła, prosząc go, by ciężki zawód sercu męża lżejszym uczynił.

Dzieci stały zdumione tą nagłą modlitwą; tylko najstarsza zrozumiała znaczenie tego smutnego dziełczynienia — reszta oczekiwała końca, krótkiego westchnienia, by co najrychlej nacieszyć się matką. W tem jakby przeczuciem wiedziony i pan Hieronim nadjechał, na stępaczku dęreszowatym, którego przed gankiem porzućwszy leciał niecierpliwy do żony.

Był to lat czterdziestu kilku mężczyzna, opalony, czarny, ale przystojny, silny, zdrów, twarzy otwartej, czoła spokojnego — jeden z tych ludzi co ich walka i praca nie ustrasza, którzy życie dźwigają jak olbrzymy, nie czując jego ciężarów. Ubrany był w kitel płócienny, z chustką jakąś kolorową na szyi, w butach juchtowych, w kapeluszu słomianym, i podobny do ekonoma starego autoramentu, bo dzisiejsi w takim stroju nawetby przed robotnika pokazać się nie chcieli.

Wszedł, a raczej wleciał, szukając żony oczyma z rozstawionemi ku niej rękoma. Pani Hieronimowa właśnie wstawiała od modlitwy, gdy odwróciwszy się ujrzała go przed sobą, i nścisk serdeczny, milczący, prawie namiętny, oba poczciwe ich serca zbliżył i poruszył.

— Jakże ty się masz? — zapytała kobieta czule.

— Jakże ci się tam moja biedna wędrownico jeździ-
ło — przemówił razem prawie Hieronim.

— Jeździło się bardzo dobrze, a powróciło się — z niczem — odpowiedziała od razu, chcąc zwalić ciężar z serca kobieta, z uśmiechem rezygnacji, który w sobie jedyną możliwą zawierał pociechę.

— Ha! wola Boża! — rzekł chmurno trochę mąż — i cóż? stary nie nie da?

— Ani myśleć o tem — prędko przerwała żona. — Później ci wszystko obszerniej rozpowiem, bo jest o czem mówić — historje! Stryj Samuel ci się kłania.

— On tam zawsze?

— Zawsze, on, rotmistrz i Jasiek! o! i kupa ludzi jeszcze!

— Prawda, że tak bogaty!

— I tak nie uczynny!

Hieronimowa spuściła głowę smutnie.

— I nie uczynny! — dodała cicho — ale o tem pomówimy później! — Jakże mój Hieronimie, twoje gospodarstwo?

— Gospodarstwo! co chcesz! jak gospodarstwo, kłopotliwie, ciężko, ale się to wlecze. Co to, moja droga, gospodarzyć na trzech chłopkach samo-czwart, na dwudziestu morgach ziemi, a czworo niebożąt, nie licząc dwojga siebie, mając przed oczyma.

— E! tylko nie wpadaj w te skargi i żale — rzekła żona gładząc go pod brodę — jakoś to będzie — a Bóg ma więcej niż rozdał.

— Alboż to ja stękam i skarżę się — rzekł pan Hieronim — o! to się po mnie nie pokaże; choć bieda to hoc! aby dalej! aby dalej!

Potarł ręką po czole i usiadł.

Córki zaprzętnęły się przyjęciem matki, ludzie dworscy przybiegli kochaną panią powitać, dzieci mniejsze obstały ją chwytając za suknię i tak w gwarze wesołym zbiegł czas do wieczora. Dopiero gdy się sam na sam z sobą zostali, nierychło, mogła pani Hieronimowa mężowi opowiedzieć jak znalazła Kasztelanica, dom jego, i co jej polecił pan Samuel.

Ale nim przyjdziemy do ich rozmowy i jej skutków, powiedzmy wprzód czytelnikom naszym, z kogo się

składała rodzina Kasztelanica, w chwili gdy tę powieść rozpoczynamy.

Jużeśmy o tem nieco dowiedzieli się z ust pana Samuela, ale niedostatecznie; tu jaśniej wypada nam dać poznać osoby, które grać mają rolę w opowiadaniu naszym.

Protoplastą rodziny Zawilskich herbu Trzaska, był pan Jan Zawilski, Kasztelan z łaski Sapiehów i Branicznych, żonaty niegdyś z panną Anną Palucką, wielkopopolanką, bogatą w nadzieje dziedziczką, która jednak skutkiem złych interesów rodzicielskich, nie tyle otrzymała po ślubie, ile jej obiecywano. Wiemy jak nieszczęśliwie powodziło się Janowi, ojcu Kasztelanica, i jak w drugim pokoleniu już zubożała jego rodzina cała, prócz syna Stanisława — który sam jeden cudem się jakimś niepojętym i niewiadomym, niewiedzieć jak zбогacił — i Piotra, zamożnego przez ożenienie.

Najstarszą z dzieci Kasztelana była córka Helena, która wyszedłszy za pana Jerzego Pobiałę, majątnego szlachcica, zostawiła po sobie trzech synów i jedną córkę. Po Kasztelanicu, obok pana Piotra, stali oni co do majątku najlepiej, wszyscy mieli po dobrej wiosce, a przy jednym z braci, panu Auguście, przesiadywała siostra niezamężna dotąd, panna Donicela, już nie młoda, choć bardzo piękna jeszcze, odrzucająca wszystkie partje, z dziwną i wiele do myślenia dającą stałością.

Pobiałowie, skutkiem związków familijnych z kilką znacześniejszymi domami Podola i Wołynia, choć średniego byli majątku, stali na stopie niby pańskiej. przywykłszy do życia wystawniejszego i zmuszeni będąc przyjmować krewnych swoich książąt i hrabiów od których po polsku nie chcieli w niczem skromniej i mniej dostatnio się pokazać. Dom pana Augusta zwłaszcza, który po żonie wziął wioskę drugą i mógł mieć sobie pół miliona fortuny, urządzony był po modnemu, wytwornie, strojno, liczył się do zamożniejszych i okazalszych w okolicy. Wszyscy większego świata ludzie bywali na obiadach u pana Augusta, który miał kuchnię

wyborną i lubił jeść dobrze. Dwór w Suchoborze zakrawał na pałacyk nawet — miał wysokie cztery kolumny w ganku, szwajcarkę przed bramą, angielski ogród nad stawem, kamerdynera w białych rękawiczkach itp. itp. Dzieci wychowywały się z francuska; książki brukselskiej edycji najświeższe leżały na mahoniowych stolikach, w ogrodzie świeciły oranżerje, a w wozowni stały powozy wiedeńskie. Żeby temu zbytowi podolać na dwóch wioskach, mając dzieci, potrzeba było oszczędności potajemnej, skrętej, czasem przesadzonej kryjomo, a tę doskonale rozumiała i spełniała żona pana Augusta, z domu Malewiczówna, córka dorobkowiczów, dobra kobiecina, z jednej strony tem państwem mężowskiem uradowana, z drugiej niespokojna z powodu wydatków, na które ich ono wyciągało.

Pan August chorował na pana, ciągle nie mówiąc o niczem tylko o swem pokornem szlachectwie, o swej maleńkiej fortune i niedostatku, którego wcale koło niego widać nie było. Taki miał nałóg nieborak i zdawało mu się, że to występ jego podnosi, może się i nie mylił. a przynajmniej to zyskiwał, że gdy się tak ciągle upokarzał, to go przez grzeczność podnosili goście i pokora wywoływała wywyższenie. Państwo Augustowie mieli jeszcze niedorosłych troje dzieci, których właśnie wychowanie ich trapiło i miotало niemi, bo oboje starali się je dokonać najstaranniej, jako obowiązek sumienia i obowiązek próżności; sam zaś pan dręczył się, że dzieci nie dość po pańsku wychowuje sama, że to zbyt i tak wiele pieniędzy kosztować musi.

Dwaj bracia Pobiałowie, oba starzy kawalerowie, mieszkali niedaleko Augustowstwa. Tomasz, średni, był trochę hulaka, nigdy w domu nie posiedział, lubił pański stół, pańskie towarzystwo, a nadewszystko podobno karty. Nie przegrywał on wiele, bo egoizm dobrze zrozumiany odrywał go od większych gier, dla możliwości grania ciągłego; łatwo sobie bowiem obrał, że raz się zgrawszy, wyrzec się będzie musiał na długo największej życia przyjemności. Grał więc z pomiarkowaniem i kalkulacją na jutro. Pana Tomasza

w domu rzadko kto zastał — przyjechał, obejrzał, ruszał znowu; raz tylko lub dwa razy do roku dawał wielkie obiady, szumnie, huczno, pysznie, a potem, zaprzęgać kazał do najdyczanki i ruszał po panach i półpankach na preferansę i landskneta. Pan Tomasz, jak wiele mu podobnych, co dosyć mają wrodzonego sprytu a więcej jeszcze lenistwa, nigdy się niczego nie uczył, nawet świata i ludzi! schwytał co mu samo przyszło wrywkami, ale też z najmniejszej rzeczy korzystać umiał i tak się wykształcił na tych nieustannych pielgrzymkach, że go liczono do najmilszych i najprzyzwoitszych ludzi w szerokim kole, które znajomości jego obejmowały. Jak panna Domicella, nie myślał się żenić, bo trzydziestokilkoletni, pomimo że go swatano często i natarczywie, że nań zastawiano sidła mnogie i niebezpieczne, nigdy nawet chwilowo złapać się nie dawał. Nareszcie musiano sobie powiedzieć, że to człowiek nie do ożenienia i dać mu pokój.

Wytarty w świecie, niezmiernie grzeczny, nadzwyczaj trafny w postępowaniu z ludźmi, umiejący ich słabości odkryć szybko i z nich korzystać dla uprzyjemnienia życia, pan Tomasz nie miał sobie równego w salonie, a równie praktycznym okazywał się w interesach własnych.

Ciągle na wózk, nieustannie w podróży, pomimo że nie doglądał gospodarki, szła mu ona wyśmienicie, cudem jakimś zapewne — choć grał nie zgrywał się nigdy, a zawsze grosz miał w kieszeni. Wytworny i czyściutki jak stary kawaler, w domu i kolo siebie otaczał się miłą elegancją, a tak mu było na świecie swobodnie, że gdyby nie chwilowa niekiedy chmurka na czole, którą jego bliżsi znajomi zwali *kwietniowym obłoczkiem*, gdyby nie dziwna czasami zaduma, niktby szczęśliwszego i lepiej okazującego swe szczęście twarzą i mową nie widział na świecie.

Cale innym był trzeci brat ich, pan Józef Pobiałą, najmłodszy, po którym ostatnią z rodzeństwa następowała panna Domicella. Pan Józef równie jak Tomasz, kawaler, słabowity od dzieciństwa, chodził o kuli

skutkiem skrofulicznej choroby, która mu jedną nogę wykręciła, i z tego powodu siedział zakuty w ubogim swoim domku, zajmując się za całe rodzeństwo skrzętnie zbieraniem grosza.

Straszny to był kutwa, ale w gruncie dobry człowiek — skąpstwo i serce pocziwe dziwną w nim a nieustanną wiodły z sobą walkę. Pierwszy jego popęd był zawsze najlepszy, następowała chwila rozmysłu, namietność panująca brała górę i serce stygło powoli.

Nigdy jednak nie oziębło tak bardzo, by iskra liłości w niem nie tłała. Gdera nieprzegadany, pan Józef gospodarzył z krzesła i z okna, rzadko nawet, obawiając się przeciągów i wiatru, na ganek o kuli mógł się wywlec — zapamiętale jednak gospodarował, niedowierzająco, drobnostkowo. Nic nie robił zresztą, o niczem nie marzył tylko o gospodarce — gniewając się i chorując od najunniejszego zawodu. Klócił się z deszczem, z urozein, z posuchą, najboleśniej gryząc najlżejszem niepowodzeniem. Klucze chował pod poduszkę, wymyślał szpiegostwa najcudaczniejsze, i koniec końcem, mniej może miał od pana Tomasza. To go też najwięcej gniewało, a że braciszek jątrzyć go lubił, nieustannie kochając się, koty darli o gospodarstwo swoje.

Biedny człowiek musiał się czemś zajunować gorąco i cel jakiś nadać życiu chorobą zwiechnionemu — nie znał całkiem utłodości; świat i jego przyjeunostki uciekły przed nim, trzeba się było do czegoś przywiązać, z czegoś ukuć dla siebie niezbędny ideał. Praca gospodarska zaprzętała go tak skutecznie, że i tchnąć nie miał czasu. Nawet przy gościach, którzy go zresztą dosyć często odwiedzali, bo gderliwy będąc, bywał też wesół i rad gościom — nieustannie się od nich odrywał, posyłając ludzi tam i owdzie i wśród najbardziej zajmującej rozmowy, nie tracąc z pamięci co się na boku działo.

Stara sługa ich domu, pocziwa pani Białkowska, doglądała tego gospodarza niedołęgę; zaglądała też do niego panna Domicella i przesiadywała tygodniami; by-

wał i pan August skarbiąc dla dzieci łaskę bezdzietnego stryjaszka. Przyjeżdżał błyskawicą i pan Tomasz, żeby go trochę podrażnić, ucałować serdecznie i zniknąć.

Domicella, dziś już nie młoda panna — bo dla pannen lata płyną tak szybko — była swojego czasu nadzwyczajnej piękności, a że miała posag dobry i rodzinę pocziwą, wielu się o nią od piętnastego roku począwszy starało — za nikogo jednak pójść nie chciała, wszystkich zrażała zimną obojętnością, Smutna, blada, poważna od dzieciństwa, mogła być posądzoną o jakąś tajemniczą miłość, gdyby najmniejszy pozór dawał temu domysłowi choć cień podobieństwa. Nigdy panna Domicella nie wyróżniła z tłumu wielbicieli (jak to dawniej mówiono) nikogo; dziś, gdy się jej jeszcze trafiali coraz bardziej podtuptani ale niezłe zakonserwowani pretendenci, nśmiewała się tylko, jednakowo wszystkich zrywając podziękowaniem i zapewnieniem, że za mąż iść nie myśli. To też stan jej nie zdawał się ciężyć wcale; pomimo smutku, który się na twarzy zawsze jednostajny, zawsze równie łagodny malował, swobodna, miła, zajęta więcej książką niż żywymi ludźmi, żyła jakby nsilując oderwać się od tego świata, na który była skazana; starzejąc a raczej starząc się dobrowolnie, z niejaką przyjemnością i chętnie podbiegając przeciwko latom, od których inne nciechy rade, gdyby to można!

Pomimo, że tej starości pragnęła, że ją tak wywoływała, — starość nie przychodziła; nie miała na licu jednej zmarszczki, nie gasły piękne jej czarne oczy, nie uleciała świeżość dziewczęca. Była to jeszcze piękność, którejby nieznajomy dał dziesięć lat mniej niż miała, w której łatwo mógł się zakochać melancholiczny młodzik i starzec młodzika mający uczucie, do której przywiązać się musiał każdy co z nią pobyl dłużej. Dziwnej słodczy charakteru, dobroci i cierpliwości, umysłu wyższego i ukształconego, stała daleko po nad swoimi braćmi, a jeden Tomasz lepiej ją nad innych rozumiał.

Może właśnie ta wyższość umysłowa bardzo widoczna nie dozwoliła jej znaleźć w otaczających nikogo, coby godzien był z nią życie podzielić. Milcząca, smętna, panna Domicella lubiła dzieci i kwiaty; to były, nie rachując książek najulubieńszych, wielkie przyjemności jej życia. Dlatego też przesiadywała u Augustowstwa, że tu mogła pieścić ich dziatki, że tu miała swój ogródek; a wreszcie pani Augustowa, zawsze trochę rachunkowa kobiecina, jak mogła ją podpieszczała, myśląc że nie zawadzi jej posag do powiększenia fortunki dziecinnej. Panna Domicella pędziła życie swobodne i gdyby (gdzież nie ma tego nieuchronnego gdyby!) — gdyby nie jej powszedni nieuleczony smutek, co ją nigdy nie opuszczał, rzekłbyś że szczęśliwszej istoty nie było na świecie, tak cicho, nieznacznie, bez wstrząśnień, w marzeniu kwiecistem, wśród szczebiotów dziecięcych i poezji ich głosków płynęło jej życie.

I tu jednak było *gdyby* — ten robaczek, pierwotnego grzechu nasionko, co w każdym szczęściu ludzkim z niem razem na świat przychodzi.

Zaczeliśmy tę statystykę familijną od najmłodniejszej prawie rodziny Pobiaków, teraz do Zawilskich spieszmy, bo ich jeszcze dosyć mamy przed sobą, a jednak czytelnik za nami musi odśpiewać tę litanię imion i przejrzeć szereg obrazków jej towarzyszących, boby mu dalszy ciąg powieści był niezrozumiałym.

Po Helenie, żonie niegdy Ignacego Pobiaków, o której dzieciach obszernej mówiliśmy, następował kolej starszeństwa Kasztelanie *per excellentiam*, Stanisław, mieszkający w Strumieniu. Tego już także znamy. Trzecim z porządku starszeństwa był Józef Zawilski, od dawna zmarły, który w największym ubóstwie zostawił troje dzieci: Jana, Michała i Antoninę.

Pan Józef za żywota był dość niedbały o los i srogi sejmikowicz a hulalka. Nie wiele znając, rzucił się był, nieumiejąc swoim dać rady, do cudzych interesów, parał się prawnictwem, plenipotentował, ale że do tego wszystkiego łączył hałaburdostwo i upodobanie w hu-

lance i kieliszku, gdy umarł wdowcem, dzieci zostały bez kawałka chleba.

W najętym domku, w którym mieszkał w miasteczku, znalazło się całego spadku kilka starych krzesel, stół atramentem pobрызgany, stos nieużytecznych papierów, kałamarz nadtluczony, próżnych butelek kupa i troje niebożat, których wychowanie było więcej niż zaniedbane, bo ich nikt wychowywać nie myślał: wychowywała ulica, słońce i powietrze. Jasiek tylko, starszy trochę pisać umiał, bo go ciągnąc, za uszy niemiłosiernie sam ojciec dla pomocy sobie wyuczył. Michaś, drugi, niby chodził do szkółki, ale w istocie po ulicach tylko latał i urwis był niewidzany. Antosię najmłodszą wzięły panny zakonnice jak sierotkę do klasztoru, bo też w istocie za życia ojca jeszcze była sierotą.

Po śmierci pana Józefa zostały dzieci na łasce Bożej, bo niewiele kto z rodziny wiedział o nim za życia i nie bardzo przyznawano się do niego — wypadkiem też dopiero o zgonie jego się dowiedziano.

Ze składki pochowali nieboraka znajomi; Antosia została u Miłosiernych, Jasiek z Michasiem tulili się przy domku w którym mieszkał ojciec, bez kawałka chleba; August, wypadkiem zasłyszawszy o dzieciach, zajął się trochę ich losem. Jasiek dostał się do Kasztelanica za usilną jego prośbą (tameśmy go już widzieli), Michała oddano do wojska, bo chyba pod karabin był zdatny; Antosia z małym posażkiem od p. Piotra i Augusta złożonym, wyszła za urzędnika, pisarza w którejś kancelarii powiatowego miasteczka.

Wiemy jaki jest w znacznej części stan moralny licznej klasy niższych urzędników w całym świecie i u nas, nie będziemy się więc dziwować, że mąż Antosi był nieszczęściem największym kręcielem i najzepsutszym z kancelistów, co niemało znaczy. Mówiono, że ojciec jego był wychrztą, czego zresztą rysy jego twarzy nieznaczące, wykrzywione, zatarte, wcale nie potwierdzały. Płowego brudno-włosa, małych oczek, drobny, suchy, ruchawy, mąż Antosi, pan Sobocki, hulaka, pijatyka, wszelkiego rodzaju zbytkami i pracą

niekiedy szaloną, nad siły, bo kilkadziesiąt godzin z rzędu trzymającą go przykutym do stołka — zdawał się zawczasie zużyty, ale w nim jeszcze tlały siły, których dobrym zapasem obdarzyła go natura, a on też niemi szafował, jakby jutra mieć nie chciał. Zupełny brak wychowania nagradzał sobie niesłychaną bystrością pojęcia i zdatnością olbrzymią, która źle pokierowana przeszła w nim w niewidziane matactwo. Byłto pierwszy w miasteczku kruczkotwórca, a za pieniądze byłby ojca sprzedał i matkę, gdyby ich miał jeszcze. Pieniądzy tych jednak nie zbierał — jedną ręką je cheiwie zgarniał, drugą rozsypywał najnieporządniej na wszelkiego rodzaju rozpustę. Namietności miały nim jak zwierzęciem, a nigdy nie pomyślał nawet, żeby je hamować potrzeba było lub można. Przyznawane mu przez wszystkich zdolności, dla których wszyscy się do niego uciekali, czyniły go dumnym i zuchwałym w najwyższym stopniu — wiedział jak był potrzebny. W miasteczku wszyscy się go obawiali aż do starszych, bo zdradzić było dla niego chlebem powszednim, a gdy mu wyrzucano zdradę, śmiał się, najczęściej odpowiadając cynicznie: A kat ci kazał wierzyć! trzeba było trzymać w rękę!

Taki to człowiek, zobaczywszy piękną Antosię, zakochawszy się w niej gwałtownie, po swojemu, gdy się przekonał, że inaczej dostać jej nie będzie mógł — musiał się z nią ożenić. Posag jej maleńki stracił w przeciągu kilku miesięcy, miłość przeszła w pół roku, a życie ich było najstraszniejszą bitwą małżeńską, jaką kiedy oglądało słońce.

Antosia nie wiele była lepszą od niego co do gwałtowności charakteru; dobrali się doskonale pod tym względem i niekiedy porywali się nawet do broni na siebie, tak srogie bywały utarczki. Słowa nie wystarczały im na wyrażenie tego co czuli. W postępowaniu Antosi, prócz gwałtowności i samowolności największej nie było nic zdrożnego — ulegać nie umiała, słuchać nie chciała; zresztą zajęta dzieckiem, widząc co mąż wyrabia, napróżno usiłując w nim obudzić sumienie,

zjadała się tą walką nieustanną i gorączkowem życiem. Wiecej była nieszczęśliwą niż winną.

Sobocki, to dumny ze swej żony, o której chętnie mawiał, że choć uboga ale z wielkiej familji pochodzi; to nią utrapiony, bo mu puszczać cugli nie pozwalała — nieco się tylko powściągał w obec niej wspomnieniem poręcznika Michała, którym go często straszyla Antosia. Zuchwały bowiem gdzie szło o papier, pióro i kancelaryjskie sprawy, bał się pałasza i pięści w sposób najpociesznieszy.

Takie było rodzeństwo Jasia, wyglądającego spadku po Kasztelanicu.

Czwartym z familii był pan Samuel Zawilski, któregośmy wraz z synem Rotmistrzem poznali w Strumieniu. Słówko jeszcze o panu Rotmistrzu. Służył on niegdyś w korpusie litewskim, w pułku ułanów, który się Wołyńskim nazywał; miał imię dość nieszczęśliwe Fabrycjusza. Było to pieszczone dziecko, bo jednak u ojca, na którego pan Samuel zlał wszystkie uczucia serca swego; dla niego najcięższej poświęcił się pracy, i nieustannie na ofiarę się zarzynał.

To dziecko, które rad był widzieć mężem, pojmując doskonale ideał mężczyzny, głową, czuciem i czynem górującego nad otaczającym go tłumem — to dziecko zawiodło zupełnie wielkie ojca nadzieje. Bóg nie dał mu zdolności żadnych a zbyt miękkie serce — byłoto zawsze najlepsze dziecko, syn najpoczeiwszy i najprzywiazańszy; ale nigdy zrozumieć nie potrafił, żeby człowiek na coś w świecie więcej był stworzony, prócz wesołego żywota, pustej gawędki i wspomagania przyjaciół. Rotmistrz wszystkim wierzył, prawie wszystkich kochał, lubiał wino, tytuł, czasem karty, bardzo konie, trochę kobietki jeśli się do nich stroić nie było potrzeba — a ojca nad wszystko. Na samo wspomnienie pracy, książki lub czegoś podobnego, poważniał, robił się smutny, milezący i widać było, że nie rozumiał o co chodziło.

Nawet nad Idzim Blasem i Don Kiszotem usypał, ani go Manon z lekturą pogodzić mogła. Pan Samuel, starej

dąty człowiek, który wysoko powołanie męża pojmo-
wał, i chciał ze swego Faberka, jak go zwał dawniej,
uczynić wielkiego człowieka, mocno uczul tę igraszkę
losu, który niedozwalając mu się nawet skarżyć, —
bo dziecię pocziwe było i dobre — rzucił mu praw-
dziwą nicość w miejsce wymarzonego ideału. Długo
się męczył walcząc przeciwko niepodobieństwu, wresz-
cie z rezygnacją chrześcianina spuścił głowę i rzekł
w duchu: — Stań się wola Twoja!

Ale ten zawód bezsilnej miłości ojcowskiej zatrul
gorzełą resztę dnia jego życia; widział że Rotmistrz
pozostanie na zawsze pocziwym, a nie nieznaczącym
Rotmistrzem. Na to nie było innego ratunku, wedle
pana Samuela, jak ożłocić go — pieniędzmi. Talizman
ten umie przeistoczyć najpospolitszego z ludzi w bar-
dzo znakomitego człowieka. Rotmistrzowi więc gwał-
tem potrzeba było pieniędzy. Widzieliśmy już tę te-
orję wykładaną usty samego pana Samuela. Chciał
go ożenić, chciał go dokompletować kobietą, któraby
kochając go wiodła, bo Faberek potrzebował przewo-
dnika jak ślepy. Aby go tak ożenić, potrzeba było na-
jątku. Dlatego ostatnią nadzieję pokładając w spadku
Kasztelanica, przybył do Strumienia i na straży skar-
bów usiadł przy zużytych starcu.

Pan Samuel był w pokornem ciele człowiekiem
wielkiego serca i duszy, całe życie do surowych po-
święceń przywykł, do pracy i do walki; ale żadna
ofiara cięższą mu nad dzisiejszą nie była. Żyć musiał
na łasce, kłaniać się pochlebcom i sługom, patrzeć na
brata, z którym nie go nie łączyło prócz interesu. Ale
dla syna czegożby nie uczynił? Żył więc w poddań-
stwie, upokorzeniu, strapieniu, a w dodatku czuł się
nadto pocziwym, żeby tu mógł co zrobić.

Rotmistrz z obojętnością najdziwniejszą, niewidząc
ani ojca cierpień, ani przykrej zależności swego poło-
żenia — polował, jadł, spał, bawił się po sąsiedzkich
domkach, i jak skoro miał czem zaspokoić swoje pierw-
sze potrzeby — nie czuł już by mu co brakło.

Piątym z rodzeństwa Zawilskich był pan Antoni,

właściciel wioski na Polesiu, ojciec dwóch synów i córki, szlachciec nie majątny, w długach, w kłopotach, w procesach, który dwa czy trzy razy próbował pracować na dzierżawach dla pomnożenia dzieciom funduszu — ale zawsze na nich tracił. Właściwie on jeden z niewielkiej pozostałości po rodzicach dorobił się czegoś, ale to szczęście służyło mu tylko początkowo i do pewnego kresu; opuściło go zostawując mu tylko zarozumiałość i wiarę w los już zmieniony na zawsze. Od jakiegoś czasu pan Antoni stracił szczęście i zaplatał się w najtrudniejsze przejścia, z których sam wybrnąć nie umiał. Mało co młodszy (o rok) od Samuela, dziś już starzec — żonaty był z panną Judzką, szlachcianką jak on, która mu 50.000 złotych posagu wniosła i dosyć kłopotu, bo miała się za wysoko urodzoną dlatego, że jeden Judzki był Starostą, a drugi Miecznikiem. Dom też chciała gwałtem stawić na stopnie odpowiedniej swoim pretensjom do państwa.

Wieczny bój wiedli z sobą małżonkowie o to i zgody w domu nigdy nie było. Jejmość się pyszniła rodem, gdyrała, jegomość upierał, żadne z nich ustąpić nie chciało i do siwego włosa pogodzić się z sobą nie umieli. Pan Antoni dobrym był w istocie człowiekiem, ale nieszczęśliwym — przeciwności których doznawał od ożenienia skwasiły go, popsuły mu humor, nabawiły rodzajem desperacji, która się w każdym przebijiała słowie. Jejmość nanczywszy się tego samego, narzekała ze swej strony. Przeżyli wiek, wychowali dzieci jęcząc i wzajem sobie wyrzucając winy losu. — Gdybym się był z acpanią nie czenił, mawiał pan Antoni, wszystkoby mi było poszło inaczej. A któż cię o to prosił? miałam ja lepsze partje! — odpowiadała żona, i tak bez końca. Pomimo to kochali się po swojemu, daleko więcej i daleko szczerzej, niżeli się z boku patrzącym na to zdawało.

Na jednej wiosce z długami życie nie łatwe, ale się wlecze póki o dzieciach myśleć nie trzeba; przyszła chwila, że z majątku coś im musieli wydzielić, bo Pa-

wel dorósł, Hieronim także, a córce, pannie Tekli trafiło się pójść za mąż.

Państwo Antoniostwo przekonali się o potrzebie ofiary dla dzieci, ale nie bez gderania i wyrzutów wzajemnych na nią się zgodzili. Spłacić brat brata nie mógł, bo pan Paweł nie bogato się żenił, a Hieronim zaczynał dopiero zapamiętałe gospodarzyć; podzielono więc owo Peleskie siolo na dwoje: siostrze Tekli wyznaczono posag ewinkowany na dwóch schedach do wypłaty powolnej, bo szła za majątnego człowieka, który nie bardzo go potrzebował. Państwo Antoniostwo sądząc, że się uszczęśliwią wzajemnie, rozdzielili się także i matka została przy jednym, ojciec przy drugim synu. Stary miał się zawsze z mocy dawnych gospodarskich powodzeń, pomimo późniejszych niefortunnych obrotów, za wielkiego hreczkosieja, przypisując swe straty losowi — postanowił teraz siedzieć przy Hieronimie i jemu pomagać.

Niedługo jednak te układy potrwały; pani Pawłowa nie mogła się z matką mężowską pogodzić, pan Hieronim począł ogromnie tracić choć mu ojciec dopomagał, i przyszło do tego, że szczęśliwшему bratu, panu Pawłowi, jak to zaraz zobaczymy, odstąpić musiał część swojej części, a sam przy trzech tylko chłopkach pozostał.

Ojciec, który w końcu swej niefortunnej gwiazdzie przypisywać zaczął niepowodzenie syna, porzucił go, a że mimo iż się jedli wzajemnie starzy małżonkowie, tęsknili za sobą i czuli potrzebę wzajemnego gderania, do którego byli przywykli, wynieśli się więc oboje razem do miasteczka, najawwszy dom i utrzymując się w nim z małej pensyjki, którą placili im synowi i córka. Tu sobie całe dnie spędzali na rekryminacjach i wspomnieniach, na żalach i *gdybach*... ale pomimo ciągłej kłótni, obejść się bez siebie nie mogli.

Pawłowi, starszemu, poszło dobrze gospodarstwo, choć się o nie zbyt nie frasował, lubiąc kompanijki na równi z żoną parafianką, a elegantką, która mając się za piękną, ze swoją pięknością nosiła się i woziła ile tylko mogła.

Bawili się tedy państwo Pawłowie — i szło im jak z płatka. — Hieronim pracował jak wół i nie wiodło mu się. On się wyprzedawał, tamci kupowali. Już do trzech chatek tylko ograniczywszy połowę swej wioski, pan Hieronim mówił sobie w duchu, że ubogi nigdy się nie ożeni, a kawałek chleba choć suchy i twardy wystarczy dla niego, i tak z weselem pocziwem szedł dalej, w pocie czoła na siebie pracując, gdy niespodzianie postanowienie to zachwianem zostało. Zobaczył żonę swoją, ubogą jak on dziewczynę, pokochał ją i olbrzymią odwagę natchnęła mu miłość — ożenił się. Ona nic nie miała krom młodości, wdzięku i pocziwego serca; on nic nad kawałek ziemi i ręce do pracy przywykłe; pobrali się, biedowali, a czworo dzieci w tem gniazdeczku ubogiem wołało do nich: chleba! światła! losu! głosem rozdzierającym ich serca. Pan Hieronim pracował, resztę na Boga zlecając. Widzieliśmy jak mimo strapiień niedostatku, kochali się ubodzy małżonkowie, w małym dworku pod lipami.

Brat Paweł nierównie zamożniejszy, bo się z jakim takim posagiem ożenił — hulał sam i dozwalał bawić się żonie. — Bóg mu dał tylko jedną córkę, która już dorastała i miała wyjść na świat.

Siostra Hieronima i Pawła, panna Tekla, wyszła jakżeśmy wspomnieli, za dosyć majątnego człowieka. Byłto posiadacz trzech wsi w głębokim Polesiu, niejaki pan Żmura, eks-wojskowy, mający do tysiąca dusz w bagnach, piaskach i zaroślach, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni, bo do dwóch tysięcy włók ziemi obejmującej. Dobra te, pomimo swej rozległości, nie dawały tyle przychodu co jedna wioska wołyńska z dwóchset dusz złożona, i pracować było potrzeba dobrze, żeby ze smoły, gorzelnii, browaru, sukienni, dziegciarni, fabryk potażu, najmu flisów, wyrobku ostatków drzewa po wielkich niegdyś lasach, a wreszcie rolnictwa, na jałowej ziemi niewdzięcznego, wyrobić około trzydziestu tysięcy czystego dochodu z wielkim kłopotem i biedą. Dla ubogiej jednak paniutki jaką była Tekla, za-mąż-pójście takie było bardzo świetnem; mąż jej

przytem był dobry człowiek, trochę popędliwy, trochę zawadyjaka i rozkazujący, do czego służba wojskowa i odludne mieszkanie go wdrożyły — ale zresztą serce pocziwe. Państwo Żmurowie zakopani byli w swoich dobrach tak, iż świat ich nie widział nad parę razy w rok — trzeba bowiem było najszcześniejszych okoliczności, to jest bardzo suchego lata lub bardzo mroźnej zimy, żeby się do nich do Rohoży dostać, lub ztamtąd wydobyć. Droga w lecie płynęła jednym niemal ogromnym brodem; w zimie rzadko była dla moczarów, źródlisk i oparzelisk przystępną. Siedzieli na odludziu zupełnie, przywykli do cichej swej pustyni, w towarzystwie siostry pana Żmury, wdowy, pani Pachniewiczowej, niegdyś żony jakiegoś jenerała, która opowiadając im dzieje swej dawnej wielkości, ubawiała ich i chowała ich dzieci, a tych było dwoje.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o ostatnim z rodzeństwa i tej długiej imion litanii, najmłodszym, pannu Piotrze Zawilskim, na którym skonczyliśmy lik aż nadto zapewne czytelnikom uprzykrzony. Piotr w dzieciństwie był na opiece pana Samuela i przez niego w świat pchnięty został. Rzucił się naprzód do małych dzieł i utrzymywania interesów, ale mu los poszczęścił nadspodzianie. W jednym z domów bogatych, do których częściej jako plenipotent, potrafił ująć serce jedynaczki, dziedziczki znacznej fortuny, panny Marji Strzelskiej.

Piotr był nadzwyczaj pięknym i miłym mężczyzną; nie dziw, że się mógł podobać, bo i rysy twarzy i postawa, i charakter słodczy pełen, malujący się w obliczu jego, czyniły go tak ujmującym, że oczy i serce pociągał na pierwsze wejrzenie. Pan Samuel wychował go, wypieścił jak własne dziecko, jak własne dziecko wychował, a tu mu się lepiej jak z kłotmistrzem udało. Piotr wyszedł na świat z ochotą do pracy i postanowieniem dorobienia się czegoś z pięciu tysięcy złotych, które miał w kieszeni; wziął małą dzierżawę, począł razem pilnować interesów, i los chciał, by na

pierwszym wstępie udało mu się poznać dom Strzel-
skich.

Wdowa po panu Podczaszym Mateuszu ze Strzelna Strzelskim, i córka jedynaczka, Marja, całą tę rodzinę składały. Wdowa była kobietą wielkiego świata, wielkiej cnoty, rozumu i pobożności. Zawikłana w przykre interesa a najbardziej w proces graniczny, tem ważny, że kilkadziesiąt włók towarnego lasu było w kwestji, zmuszona została szukać człowieka czynnego, któryby się zajął jej sprawami. Kasztelanic Zawilski podobał się jej na pierwszy rzut oka, a bardziej jeszcze córce. Ale jemu się nie śniło by mógł kiedy sięgnąć po rękę pięknej Marji. W ciągu lat trzech proces o granice został przeprowadzony przez wszystkie instancje i ostatecznie wygrany; poznano lepiej w codziennych stosunkach pana Piotra. Piotr niewiedzieć jak (bo sam nie umiał się wytłómaczyć ze sposobu, którym do tego przyszedł) oświadczył się, został przyjęty i ożenił się z dziedziczką wielkich włości i wielkiego imienia, z ogromnym hałasem, podziwem i krzykiem wszystkich co się o nią ubiegali. Otrzymał on po żonie klucz Zręby, na wpół wołyński, wpół poleski, przez którego płynęła rzeka spławna; obfity w lasy towarne, z powodu blisko dwudziestoletniego procesu oszczędzone, bo obie strony ich strzegły, tak że po sprzedaży belek i klepki, wszystkie dłużki pana Podczaszego spłacone zostały i kapitałik jeszcze się pozostał. Tymczasem wdowa umarła, pan Piotr i to co pod jej dożywociem było, objął w swoje władanie. Byłto dzisiaj bardzo majątny człowiek, ale go już liczna dość familia obsiadła, miał bowiem trzy córki i syna. Żadna z tych córek, pomimo wdzięków i obietnicy znacznego posagu jeszcze była za mąż nie poszła; najmłodszy syn, Stanisław, kończył właśnie staranne wychowanie, którego mu rodzice nie żałowali. Trzy panienki: Józefa, Marja i Hortenzja, piękne, wychowane starannie i nie ubogie, czekały przeznaczonego im losu i nie jedno westchnienie wyrwało się już z piersi rodziców, zawsze trwożnych gdy córek prędko za mąż wydać nie mogą.

Pan Piotr był dotąd jeszcze pięknym owym i miłym mężczyzną, co się umiał podobać paunie Podczaszance; lgnęli do niego ludzie, miał bowiem dar szczególny zyskiwania sobie ich serc, wejrzeniem, słowem, uśmiechem. Lagodnego charakteru, wielkiej powagi i rozsądku, prawy i pocziwy, dla żony był mężem najserdeczniejszym, uprzedzającym jej żądania, zawsze jeszcze kochankiem. Marja, gdyby nie los córek, którym się zbyt znacznie trapiła, nieustannemi postami i nowennami na intencję Józefy, Marji i Hortenzji dokuczając niebu, byłaby najszcześliwszą z niewiast.

Ale każdy musi mieć w życiu jakieś strapienie, jeśli nie istotne to zmyślane, tak ta gorycz potrzebną jest nieodbitcie przyprawą każdego losu. Pani Piotrowa wychowawszy córki po Bożemu, uczciwie, skromnie, doczekawszy się tej pociechy, że jej wyrosły hoże, zdrowe, pocziwe i pobożne, trapiła się teraz nieustannie co z niemi zrobi.

Biedna matka tak się uśmiechała do kawalerów tak o nich marzyła, tak ich szukała, że aż pan Piotr ten jej niepokój uśmierzać musiał ciągłemi przypomnieniami woli Bożej i Opatrzności. Ale te nie wiele pomagały, a jak na przekorę nikt się nie zjawiał, nie wiem czemu; może dla tego, że właśnie w średnim stanie, w domu zamożnym, gdzie córek jest kilka nie zbyt bogatych a starannie wychowanych, zwykle o wydanie ich najtrudniej. Ubogi szlachcic nie pokusi się o nie, bojąc się wymagań rodziny, przywyknień panny, stosunków coby go podrzurowywały; bogaci szukają bogatych, a o kochaniu i zakochaniu w teraźniejszych ciężkich czasach — gdy ogólnie biorąc wszyscy są starzy nimu dorosną — o kochaniu jakoś niesłychać. Kwitły więc piękne panny Piotrówny, kwitły rodzicom i sobie, darmituśko się rozwijając z wielką matki obawą. Dawano bale, wieczory, spraszano po cichu na imieniny, a panna Józefa, miała już lat dwadzieścia i dwa! Pani Piotrowa z dwudziestym trzecim jej rokiem powoli siwieć poczęła, biedaczka.

Staś tymczasem uczył się i wesoło na świat poskoczyć gotował.

Taki był skład rodziny tej w chwili kiedy się nasza powieść poczyną; familia była jak widzimy liczna i w różnych położeniach, po rozmaitych klasach społecznych rozpięzchła — to właśnie stosunki jej z sobą utrudniało. Znali się, wiedzieli o sobie, ale rzadko bywali u siebie; każdy zrobił już sobie kółko własne i w niem żył otoczony nową rodziną, nowemi przyjaciółmi.

Z rzadka trafił się krewny jako gość i niknął potem z oczów na długo. Prócz pana Samuela, reszta z Kasztelanicem żadnych ściślejszych stosunków nie miała; słyszeli o nim, lecz nie widywali go prawie. Rozsypani po Polesiu i Wołyniu, rozdzieleni znacznemi przestrzeniami. Zawilscy rzadko się nawet przypadkowo spotkać mogli, a węzeł krwi spajający ich los codzień osłabiał.

Mówiono szeroko o milionach Kasztelanica, o zagadkowem ich pochodzeniu, o nieodgadnionej przeszłości, o dziwnem jego życiu, skąpstwie, chłodzie i zaprzedaniu domownikom — wszystko to odpychało od niego i nikt, prócz biednego Samuela, nie był nawet ciekawy zajrzeć do Strumienia. W chwili więc obecnej nie wiele o stryju więcej nad sąsiadów i obcych wiedzieli członkowie rodziny Zawilskich, gdy przypadkowo bytność pani Hieronimowej, i polecenie jej dane przez pana Samuela, zwrócić miało oczy wszystkich na tego, po którym każdy miał się prawo spodziewać jakiejś cząsteczki spadku.

VI.

Późnym wieczorem wyszli państwo Hieronimowie na przechadzkę za wrota swojego domku, puściwszy dzieci przed sobą, żeby się niepodsluchiwani swobodniej rozmówić mogli, a niecierpliwy pan Hieronim zapytał żony:

— No, powiedz-że mi Kostusiu droga, jakże to wszystko było?

— Tak tedy, mój serdeczny Hieronimku — odezwała się cichutko kobieta — wyjechałam z domu jak wiesz i z nadzieją i bez nadziei. Śniło mi się chwilami, że tego bogatego, bezdzietnego starca, a tak bliskiego krewnego, potrafię zmiękczyć, ulitować, wyprosić co u niego dla dzieci; to znów przychodziło mi na myśl jak to z ludźmi trudno. Widziałam przed sobą niepodobieństwo i rzucana z obawy w złote sny... dojechałam do Strumienia. Wielkie tu zastałam państwo, dwór, sale, kamerdynery... aż strach!

— I istotnie tak bogato?...

— O! bogato, a skąpo — ludzie niby rej wodzą, ale uad niemi wszystkiemi żelazna ręka starca... Ci ludzie! a! ich niegrzeczność, zuchwałstwa, ich upokarzających min, opisać ci niepodobna! Miałam nadzieję w panu Samuelu, w Jaśku, ale Jasiek, choć może tam wiele znaczy, bo się stał potrzebny, nic zrobić nie chce, zimny, twardy i zamknięty jak kamień. Samuel pocziwy, ale on tam nic nie może — nawet dla siebie. W początku jednak, że nie bardzo znam świata i ludzi, gdy mnie bardzo grzecznie przyjęto, gdy sam Kasztelan do stołu prowadził i na pierwszym miejscu sadzał, dogadzał, wypytywał, bawił — myślałam, że pójdzie jak z płatka. Dopiero pan Samuel wywiódł mnie z błędu — wszystko jak się zaczęło tak się skończyło na pustych grzecznościach. Do Jaśka niedostąpić; zupełnie się uformował na stryja: grzeczny z daleka, zbył mnie całując w ręce i kłaniając się. Przez ludzi,

k którzy Kasztelanica otaczają, i nie mogłam i nie chciałam nic robić... bo to i zuchwałe i dumne. Termiński, kamerdyner — panna Aniela, faworyta, Jasiek co z nim gra w warcaby i nowinki mu nosi, Bulwa, rzadca, pokorny do podłości a złodziej jak mówią... nie dla mnie to protektorowie.

— No, ale przecież stryj Samuel? — spytał pan Hieronim.

— Stryj Samuel, jakem ci już mówiła, zupełnie tu nie znaczny; stęka i on, chciałby co wyrobić dla rotmistrza, choćby tymczasowo jakiś kątek gdzie w folwarku odległym, a i tego nie może. Stary dla syna znosi niewyliczone upokorzenia od tej zuchwałej czeladzi, i już mu to tak dokuczyło, że ostatniego wieczora całkiem mi się zwierzył.

— Mówiłaś-że co z Kasztelanicem o nas? — przerwał Hieronim.

— A jakże! zebrałam się na tę odwagę, choć Bóg widzi co ona mnie kosztowała! Prosić! prosić, o! co to za rzecz straszna! I prosiłam go, wyobraź sobie, a on — odmówił mi składając się ubóstwem, niemożnością i odsyłając nas... do testamentu!

— No! ale wspomniał o testamencie?

— To, mówią, jego zwykła śpiewka, gdy się chce kogo pozbyć. — Na ten testament cychają wszyscy — Termiński intryguje, pracuje Aniela, płaszczy się Jasiek... Stary może, jak mówi Samuel, wszystkich oszukuje i trzyma na sznureczku obietnicami; co robi, nikt nie wie.

— Jakże wygląda Kasztelanica?

— O! stary już bardzo, zwiędły, wymęczony, ale ję okropnie i myśli tylko o sobie. Wszystko u niego co do minuty i sekundy obrachowane; w domu jak w zegarku, stół przewyborny — zresztą, pod państwem czuć skąpstwo. W koło aż strach, porozstawiane sieci, otwarte oczy, rozpostarte ręce... oczekiwanie śmierci ohydne... zabijają go oczyma. Pan Samuel na to patrzy i powiada, że dalej rady nie da; zapewnia on, że Kasztelanica bogaty bardzo, że miliony gdzieś leżą u

niego, co rok rosnące, ale jeśli się nie dopilnujemy....

— A jakże się możemy dopilnować, kiedy do niego dostąpić nawet niepodobna?

— Jak? otóż posłuchaj co mi mówił pan Samuel, a zrobisz potem co zechcesz, boś ty głowa i poradzić musisz jakoś. Tam, jak stryj powiada, potrzeba kogoś bardzo zręcznego, uczonego, co by potrafił Kasztelaniciowi się podobać, przywiązać go do siebie — choć to bardzo trudno — co by oko miał nieustanne na intrygi i poświęcił się dla rodziny... Inaczej wiesz co być może? panna Aniela, niepocziwe i nieznośne stworzenie, powoli nieochybnie starca opanuje; ona i Termiński razem się zwiążą, gotowi starego ożenić... gotowa mieć dzieci, a naówczas nam się i złamany szeląg nie dostanie.

Wzdrygnął się pan Hieronim.

— E! — rzekł z niechęcią i oburzeniem, to są brudy, w których złota szukaćbym nie chciał dla moich dzieci! Ubogi jestem, ale małoż uboższych od nas? Przyznam ci się, że to wszystko trąci mi niepocziwą intrygą i podstępem, do których mieszać się nie mam ochoty. Niech bierze po nim kto chce...

— Zmiłuj się mój drogi — powoli biorąc go za rękę odpowiedziała żona — zrobisz sobie jak zechcesz, ja cię do niczego namawiać nie myślę; ale że to nie o nas jednych chodzi, ale o wszystkich Zawilskich i Pobiałów, co mogą iść do spadku po Kasztelanicu, przynajmniej się z nimi poradź, powiedz im co pan Samuel polecił, i poczniesz sobie jak zechcesz...

— Widzisz, moja droga Kostnisiu — rzekł po namyśle mąż — nie chciałbym już nawet całkiem ocierać się więcej o tę kałużę. Ubodzyśmy; da Bóg co daremnika z tego spadku — ha! to dobrze! a wezmą go obcy — niechaj sobie biorą! Te miliony mi nie pachną. Nikt nie wie pochodzenia tej ogromnej fortuny Kasztelanica; kto zgadnie jak to przyszło? — nie chciałbym tknąć grosza źle pozyskanego; boję się tego dla dzieci.

— Mój ty drogi pocziwcze — ściskając go zawołała

żona ze łzami — mówisz święcie, to prawda... ale! te dzieci! te dzieci... co ich czeka?

— Cóż ich czekać może? praca tylko — odpowiedział pan Hieronim. — Nie trwożmy się zbytecznie; patrzałem długo na świat, mój Aniele, i wielem się na nim dopatrzył rzeczy, które się może śmieszne wydają wszystkim, a dla mnie są świętą prawdą.

— Na przykład?

— Powiem ci naprzód, złota Kostusiu moja — że majątek doprawdy to rzecz tak imaginacyjna, jak wiele dóbr, za którymi się ubiega człowiek.

Biedna kobieta z za łez się rozśmiała.

— Ej! Hieronimku — rzekła — coś mi wyglądasz na tego lisa, o którym to jest bajka, co się jej nasze chłopcy uczą.

— Nie kochanie; posłuchaj mnie tylko uważnie. Niema granicy bogactwa żadnej: każdy jeszcze przed sobą ma coś do nabycia. Każdemu zawsze mało. — Ubóstwo poczyną się dopiero gdy dusza przez nie cierpi — i ciało więdnije, gdy dzieciom brak wychowania i chleba. Myśmy jeszcze nie ze wszystkim ubodzy.

— A! możnaż być uboższym?

— Można, serce. Naszych chłopców wychować po-
dołamy choć nie świetnie, a bądź pewna że najprostsze wychowanie bywa czasem najlepsze; zmusza do pracy. Dziewczęta będą nam pomocne w domu... i — zobaczysz Kostusiu! damy sobie rady z pomocą Bożą.

— Ale czyż takbyś chciał chłopców wychować, jak teraz możesz?

— I tu się z tobą nie zgadzam, Kostusiu — powtórzył pan Hieronim — i wychowanie to także rzecz, której nie pojmujemy jasno. Dajmy im głowy otwarte, serca nie zepsute, z domu wiarę na wyprawę i dobry przykład jako wzór — resztę zrobi Bóg. Wiesz Kostusiu kochana, że z wielkich owych starań koło dzieci, z troskliwych o nie zabiegów, najczęściej nic się nie rodzi prócz zawodu. Patrz co pan Samuel robił z Rotmistrzem, a wielu wielkich ludzi o suchym chleba kawałku,

w prostej szkółce, od bakalarza pierwsze światło odebrali — sami potem to nasionko rozwijając.... Serce pocziwe, talent od Boga dany, więcej znaczą niż wszelkie starania ludzkie.

— Niech i tak będzie — odpowiedziała żona z westchnieniem — ty to wiesz lepiej; ja nad tem tak mądrze nie myślałam. Ale powiedz mi jak damy rady chłopcom choćby najskromniej? ich jest dwóch!

— Oddamy do szkół, a jeśli im nie starczy na wychowanie to co mam, prosić nikogo nie myślę: pójdę służyć.

— Ty! służyć!

— Ja! ja! cóż to dziwnego — odpowiedział pan Hieronim — to tylko bieda — dodał ciszej — że wszyscy wiedzą iż z połowy wsi zszedłem na trzech chłopków, a nikt nie wie ile mi pracy ta ruina kosztowała. Nie mogę inaczej służyć jak za rządcę, za ekonoma, bo to tylko znam lepiej — a któż mnie weźmie wiedząc że m swoje utracił?

Żona zamilkła; w cichości przeszli kroków kilka.

— Jakoś to będzie — przerwał pan Hieronim rozweselając się — na chłopców mi więcej nie potrzeba do powiatowej szkoły jak tysiąc złotych; jużby chyba Bóg nie łaskaw, żebym tego nie miał.

— Ale my, z czegoż się utrzymamy?

— O! zachciałaś! chleba nam starczy, wody jest dosyć... tylko mi ciebie żal, że ty się zabiedujesz.

— Myśl ty o sobie i dzieciach; jam w ubóstwie wychowana i do ubóstwa przywykła, jam do tego nie od dziś przygotowana.

— No! to bądźże spokojna; ja także sobie rady dam.

I uściskali się ze łzami w oczach, ale z pocziwą nadzieją w sercu.

— No! a cóż będzie z poleceniem pana Samuela? — spytała po chwili Hieronimowa.

— Trzeba pomyśleć — musimy o tem oznajmić familii, kiedy nam to poruczono; ale komu? — rzekł namyślając się pan Hieronim.

— Wszystkim to trzeba powiedzieć — zawołała żona.

— Tak, to się łatwo mówi — odezwał się mąż — ale niewiele z naszych krewnych bliżej znamy; do kogo tu się udać? Czy samemu czas tracić na przejażdżki? teraz? pod żniwa? to niepodobna! Nie radbym się do tego mieszać — oznajmić jednym, drugim nie mówić, źle; wszystkich zebrać ani myśleć; nie widzę rady, potrzeba namysłu.

Wspomnieliśmy już że jedna wioska była dziedzictwem Antoniego, ojca Hieronima i Pawła; że w niej z dwóch równych sched w początku, Paweł teraz posiadał znacznie większą, a Hieronim został tylko na trzech chłopkach i dwudziestu morgach łąnu. Jak się to stało, Bóg jeden wiedział, (Bóg co zsyła niepowodzenia, zawody i straty; każdym dotknięciem mając na celu wyższe dobro człowieka). Hieronim nie miał żadnej wady charakteru, żadnego nałogu, nie przyczynił się w niczem do swojego nieszczęścia; przecieź stracił większą część tego co miał początkowo. Paweł przeciwnie, z żoną zalotną, sam trochę hulaka, gospodarz nieosobliwy, nadewszystko próżniak, rósł w mienie sposobem niepojętym i niezasłużonym. (Są na świecie rzeczy, które się inaczej tłómaczyć nie dają tylko wolą Bożą, wolą opatrzną, która w pozornie złem, ma na celu istotne dobro). Ciekawa to przecie historia tej straty majątku, o której tylkośmy uapomknęli.

Hieronim i Paweł wzięli równe działki, schedy zrobili po bratersku, z tą różnicą, że starszy wziął dwór i zabudowanie ojcowskie, których młodszy chętnie odstąpił za młynek i stawek, dający około tysiąca złotych rocznego dochodu, prawda, że wziął też i utrzymanie grobli, które go kosztować miało. Ale Hieronim był dobrym bratem, kochał Pawła, poświęcał się ochotniej niż inny i nie myśląc się żenić jeszcze, całkiem był dla niego wylany. Osiadł on w początku na połowie, która pozornie zdawała się być lepszą nawet, bo miała ów staw i młynek, miała sianożęcie gruntowe, pola których nigdy nie zalewało, choć trochę piaskowe to prawda. (Nazywano to dla pomalowania wyśmieritym bromoszem). Wziął też lasu część zaszczerdzoną, dalszą

i bagnistą, a znawcy winszowali mu dobrego działu. Na swojej schedzie miał piętnaście tysięcy sum duchownych i długów prywatnych, kilka tysięcy siostry Tekli i pensyjkę rodziców. Tak tedy gospodarzyć poczęli oba. Hieronim pracował od rana do wieczora, świata się wyrzekł z dobrej woli, bo bawić się nie lubił — czasem tylko z fuzją i psem wyszedł, i to była cała jego rozrywka, a i to szło mu na korzyść, bo swoje lasy, sianożęcia i sterty obchodził. Brat Paweł starał się o żonę, kochał, jeździł na wieczory i szydził trochę z poczciwego Hieronima, mówiąc:

— Co, ty chcesz z ziemi złoto wykopywać? będziesz je jadł czy co? Gospodaruj jak ja, dość będzie z ciebie. — Hieronim odpowiadał nawzajem choć łagodniej:

— Mój drogi, porzuć baliki i wieczorki, pracuj ze mną; wyjdziemy z długów, poženim się, a grosz zebrany zda się.

Ale oba jak poczęli tak szli dalej. Tymczasem panna Pawłowi nasunęła się na oczy owa piękność, która miała zostać jego żoną.

W ogólności, nie życzyłbym nikomu żenić się z okrzyczaną pięknością — piękność ma roje kochanków zwykłe; jednemu oddając rękę ma zapasy żalną, ma gotową prowizję smutków i westchnień po tych, którym musiała odmówić, nie mogąc wybrać więcej nad jednego; przywykła do hałasów i uwielbień, do pochlebstw i nadskakiwań nie łatwo się ich wyrzeka; zachciewa jej się w świat, na kwstę po nowe oklaski i daj Boże, by tylko — po oklaski. Często zaczyna się najniwiniej, a kończy łzami i wstydem.

Pan Paweł, że to był człowiek namiętny i ślepy, wcale na to wszystko nie zważał, żeniąc się z panną Julią Mizuer. Ojciec jej, przybysz jakiś do kraju, w czasach kiedy to się jeszcze łatwo było wyszlachcić, byle kto surdut nosił — z kupca gdzieś tam w większem mieście, został za długi sklepowe właścicielem schedy w eksdywizji wielkiego pana. Staremu uprzykrzyło się siedzieć za stołem i wyniósł się na wieś, sprzedawszy handel, przez co samo został szlachcicem.

Jedyna jego córka, panna Julja, była śliczną dziewczką, a że młodsze latka spędziła w mieście, że zawczasu oczkami strzelać się nauczyła, zalotną była prawie nim cel zalotów zrozumiała. Nie ubogi, nie bogaty, posądzany o ukryte kapitały, stary Mizner chwycił za poly pierwszego lepszego osiadłego obywatela, żeby się córki niepokojącej go z domu pozbyć. Jeździli za nią i bogatsi, swatali się liczni, ale jakoś stary znawca obwąchał zięcia najdogodniejszego, i żywo wydał za Pawła córkę, wśród rozpoczętych tryumfów ubraną w czepek zawczasu.

Pan Paweł był szczęśliwy, bo nic dalej nie widział; szczęśliwi byli państwo Antoniościwo starzy, choć im córka kupca niezbyt przypadła do smaku, ale rachowali na sukcesję tajemniczej szkatułki, więcej niż na ową część w ziemi niewielką. Tandem, ledwie córkę ciężką do pilnowania z domu wypchnął, stary Mizner, który dotąd był skureczony, zbiedzony, starzał się i kaszlał, odprostował się nagle, orzeźwiał cudownie i — ożenił się z upatrzoną wdówką.

Wdowa także rachowała na szkatułkę, a w rok potem panna Julja miała siostrzyczkę śliczną, której dano imię Róży. Pan Paweł strasznie nos spuścił na kwintę, bo posag żcny zmniejszył się do dwudziestu tysięcy, z których połowa miała być wypłacona po śmierci, a druga połowa po zmartwychwstaniu, jak mawiał nieboszczyk Józef Zawilski. Żona mu została ze swą pięknością, z gorącym pragnieniem coraz nowych zabaw i z córką, którą im Bóg dał rychło. W prędkę się po tych zawodach pocieszywszy, szedł dalej pan Paweł po świecie, tak wesoło i nieopatrznie jak przedtem. Jednakże wiodło mu się jak z płatka. Spojrzmy tymczasem co się działo z Hieronimem.

Hieronim pracował ciężko, ale zaraz pierwszego roku woda groblę mu uniosła i miał wielki na nią wydatek, pożyczył, zrobił nową śluzę i nasyp, a o dług, na przyszłość rachując, nie bardzo się obawiał. Następnego roku grad palnął po zbożach i wybił je do szczeretu, tak że paszy nawet nie wiele zebrano; u pa-

na Pawła też sama burza nieco tylko oziminę przetrzepała, grad był jakoś rzadszy i z deszczem, a że ceny trafiły się wysokie, wziął dobrego grosza i bratu na nasienie coś odstąpił po niemniejszych. Po gradzie przyszedł pomorek na bydło w jesieni — zasiewy były niedobre, znów nieurodzaj; mówiono że Paweł sprzedał bratu coś stęchłego. W przeciągu pięciu lat klęsk, które omijały pana Pawła, Hieronim przyszedł do tego, że mu już długi kością w gardle stanęły.

— Ha! — pomyślał sobie — kiedy taka wola Boża, lepiej mieć mniej a czyste.

Jakoś się zeszli z Pawłem.

— Słuchaj Pawełku — rzekł — ty masz podobno kapitalik, mów szczerze, bo to nie chodzi o pożyczanie.

— A mam — rzekł brat z uwagą wpatrując się w Hieronima.

— Kup u mnie połowę mojej połowy.

— Czemu nie?

— I stawek i młynek.

— Chętnie, byleś wziął i groblę.

— Pogadamy.

— Pogadamy!

W tydzień robota była skończona, ale pan Paweł wziął więcej trochę niż połowę, przejął na siebie posag siostry i Hieronima zostawił na nie spełna dziecięciu chatach. Gdy przyszło się rozplacać, żeby przy czystem zostać, jak chciał Hieronim, pokazało się że kilku dłużnikom podolać nie było można, bo ich się jakoś przyzbierało. — Kosztów sprzedaży i procentów nie liczył, kwitków drobnych nie rachował, myśląc je zbyć intratą, a że, gdy gruchnęło o sprzedaży, wszyscy się rzucili odbierać swoje, został z kilkuset rublami na stepłowy papier wniesionemi.

Paweł zaś, jak tylko posagu siostry wziął na siebie spłatę, ruszył zaraz do państwa Zmurów do Rohoży, o mało się nie utopiwszy na przepławach; exwojskowskiemu szwagrowi starał się przypochlebić — polując z nim i pijąc kilka tygodni; siostrę chwycił za serce

czułością, odmalował swój stan ciężki, swoje ubóstwo, obowiązki względem żyjących rodziców i wytargował się tak, że go pokwitowano razem z Hieronimem z posagu, którego jak sam mówił, nie był w stanie zapłacić chyba za lat kilkanaście.

Hieronimowi z tej wspaniałomyślności pana Zmury ani grosz nie wpłynął, cała ta robota nawet była zakrytą przed nim. Gdyby to nawet i doszło do niego wówczas, nie byłby się może upominał o swoją część darowizny, bo poczynal powtórę najodważniej gospodarstwo na dziesięciu chatach, z dłużkiem znowu, i nie wychodząc z trybu zwykłego, w trzy lata potem przez nieurodzaje, przez szachrajstwa ludzi co z nim do czynienia mieli, przez proces jakiś z sąsiadem, który pod pozorem że jego chatki więcej dotykał, sam za brata i za siebie podejmować musiał — tak podupadł, że sam się zaofiarował znowu chat siedm sprzedać bratu, zostawując sobie tylko trzech najzamożniejszych i najulubieńszych gospodarzy.

Ale teraz już brat Paweł nie był tak skory do nabycia, wiedział że mu tam nikt pod bok wejść nie zechce; skwierczał, pisał i ledwie dał się uprosić, że na wpół darmo wziął resztę, a długi braterskie spłacić się zobowiązał. Pan Hieronim jeszcze nie myśląc się żenić, został z trzema chatami, wesół i szczęśliwy, znowu pracując zapamiętale, bo praca była jego życia potrzebą.

Wtenczas to dopiero zobaczył swoją Kostusię, a miłość ich musiała być gwałtowna, kiedy oboje ubodzy pobrali się, nieobawiając podwójnego niedostatku, a pan Hieronim nie przeląkł się nawet wielkich obowiązków jakie brał na siebie, nic prawie nad pracę swoją niemając do podziału z żoną, na przyszłość, dla spodziewanych dzieci!

A! to też niezrażony niczem, na pracę swą rachował jeszcze, niechcąc uwierzyć, że do niej nieodbitym pomocnikiem musi być los.... musi być trochę tego co zowią szczęściem, a co w istocie jest rozumnem zrządzeniem Bożem.

Stosunki Pawła z Hieronimem, po tych wszystkich przejściach, przy nierównem położeniu, a tak bliskiem sąsiedztwie, nie mogły być zbyt przyjazne; bo kogoż nie poróżnią w końcu interesa, nieustanne spieranie się i ludzie łaskawie pośredniczący? Hieronim był najczulszym bratem, składał wszystkie winy na Pawłową, a Pawłowa w istocie uboższego krewnego i żony jego cierpieć nie mogła. Dlaczego? nie wiem; może iż w naturze kobiet bardzo pięknych, przywykłych do czci, jest coś, co nie cierpi obok żadnej wyższości. Czula ją Julja w Konstancji i nienawidziła bratowej męża. Jej ubóstwo, rozsądek, dobroć i miłość jaką miała u ludzi, zwiększały coraz wstręt początkowy. Im bardziej też ubożał Hieronim, tem go więcej Julja niecierpiała, utrzymując, że im czyni wstyd swoją pracą, upadkiem, suknią nawet!! Paweł nieustannem klektaniem żony może nie przekonany, ale zniechęcony, choć nie zupełnie z nim zerwał, ale bardzo dla niego zobojeźniał.

Od niejakiego nawet czasu nie widywali się z sobą, z powodu jakiegoś bydła zajętego w szkodzie przez Hieronima, za które Paweł zniszczywszy niem zboże, zapłacić musiał.

Pomimo to, wiadano doskonale w jednym dworze co się w drugim działo, bo ludzie ciekawi dla przypochlebiania się donosili Pawłowi o Hieronimie, Hieronimowi o Pawle; wiadano też dokąd i po co jeździła pani Hieronimowa, a Paweł ruszał ramionami dziwiąc się, iż Hieronim na to pozwolił; sama zaś Jejmość niecierpliwila się oczekując powrotu bratowej. Z czem jednak wróciła, jak była przyjęta, ludzie donieść nie mogli, bo zawiedziona matka strapienie swoje zachowała w głębokiej tajemnicy, pokrywając je twarzą wesołą.

— Juściż — odezwała się, ciągnąc dalej rozmowę którąśmy dla tych objaśnień przerwali, pani Hieronimowa — naprzódby potrzeba może o tem Pawłowi powiedzieć.

— Pawłowi! — powtórzył mąż — zapewne, ale jego

Jejmość i on śmiać się z nas będą tylko i sprawiedliwie, żeśmy z kwitkiem od Kasztelanica wrócili.

— Nie zupełnie z kwitkiem, kiedy tak ważną dla całej rodziny wiadomość przywiozłam.

— Powiem ci najszczerzej, moja duszko, odparł mąż, wszystko to tak mi przykre, tak czuję w tem nowe kłopoty i strapienia, taki to we mnie wstręt wzbudza, tak mi się nie chce leżeć w to błoto, że wolałbym zamilczeć i zapomnieć. —

— Bardzo dobrze, gdyby to tylko o nas szło — prze-rwała kobieta — ale zaczekajże i zastanów się, ja jestem posłem w interesie całej rodziny. My możemy się sobie wyrzec, ale drugim drogi nie tamujemy: niech wiedzą i niech myślą.

— A! zapewne! i pan Samuel i drudzy mogliby nam nawet milczenie mieć za złe; zatem powiemy Pawłowi, a on niech resztę bierze na siebie. Ja jestem ubogi, czasu do tracenia nie mam; oni niech sobie głowy łamią kiedy mają ochotę.

— Więc chodźmy do Pawłostwa — rzekła Hieronimowa korzystając z okoliczności, bo oddawna pragnęła braci pogodzić, choćby ofiarą upokorzeń jakie tam zawsze doznawała od Julji, usiłującą bratową zepchnąć jak najniżej, wyszydzić i boleśnie ukąsić. Konstancja zносиła to z uśmiechem i słodyczą ubogich, którzy przywykli do spychania, pocieszają się wewnętrznem uczuciem, że nie zasłużyli na nie. Obawiała się też mieć na sumieniu, że jest powodem waśni między braćmi.

— Nie — odpowiedział stanowczo Hieronim — nie duszko, noga już tam moja nie postanie — nie umięją szanować ciebie i naszego ubóstwa; nie mogę żyć z niemi, żal mi ich; nie mam nienawiści, nie mam gniewu, ale unikać ich muszę. Napiszę do Pawła, przyjdzie do nas.

Po głosie poznała żona, że namawiać byłoby próżno i milcząc powrócili z dziećmi do domku, a gdy świecę zapaliła starsza córka, usiadł zaraz Hieronim i do brata wzywając go karteczkę napisał. Posłano

z nią dziewczynkę z piekarni, a tymczasem małżonkowie zajęli się swoim gospodarstwem, w którym zawsze jest co robić pozostałego od wczora, pilnego dzisiaj, lub przewidzianego na jutro. Gospodarstwo jest tym mitologicznym kamieniem, który na górę wtooczony, na dół opada nieustannie; a mythus ów pewnie nic innego nie oznacza nad pracę naszą wiejską, co się bez końca odradza.

W dobre pół godziny zjawił się i pan Paweł, wiedziony nadewszystko ciekawością. Był to podłyśiały, już nie zbyt młody mężczyzna, dobrego wzrostu, zdrów, silny, na którego twarzy malowały się na ogólnem tle głupoty, chytrej trochę, jakieś nieodgadnione uczucia i myśli człowieka, co nad wszystko lubi się bawić. Widać tam było wykluwające się pretensje do tonu i wyższości i pewność siebie, trochę dumy, trochę zarozumienia, a uczeń Lavatera byłby może wysledził i chciwości odrobinę. Ubrany był acz po wiejsku, porządniej jednak i staranniej od brata; słomkowy jego kapelusz rodem był z miasta, rękawiczki jeszcze nie dawne, uchodzić mogły za glansowane, kij udawał trzcinę, galka zarywała na rzeźbę.

Żona musiała mu mocno zazdrościć, że jej duma nie dozwalała pójść także z nim razem i dowiedzieć się o upokorzeniu Hieronimowej, którego była prawie pewną — przykazała tylko powracać panu Pawłowi jak najprędzej i nie po drodze z nowinek nie zgubić.

Paweł wszedł nie robiąc ceremonii; ledwie się głową skłonił bratowej i siadł nie proszony, oglądając się z wyrazem twarzy, który dobitnie mówił: — O! mój Boże! cóż to za hołota! i to mój rodzony brat!

Dzieci odpędzane od ogrodu stryja, zobaczywszy go uciekły; wszedł Hieronim, podali sobie ręce zimno.

— Cóż tam? żona twoja powróciła? — spytał rozsiadając się pan Paweł.

— Wróciła, i z tego powodu właśnie wezwałem ciebie — odpowiedział młodszy. — Przypatrywała się i nasluchiwała co tam się dzieje u Kasztelanica. Pan Samuel polecił jej o tem oznajmić familii, a choć ja

wcale nie myślę, żeby się nam na co ta wiadomość przydała, muszę spełnić jego żądanie.

— Ale naprzód, pozwól się spytać — żywo przerwał Paweł — czy wam pomógł stryj Kasztelanic?

— Nie — odparł Hieronim spuszczać oczy — Paweł uśmiechnął się nieznacznie.

— Ale nie o to idzie — mówił dalej młodszy — pan Samuel, jak wiesz zapewne, bawi tam od dawna z Rotmistrzem, stara się o pomoc jaką dla niego i darmo. Kasztelanic nieużyty dla nikogo i im nie uczynić nie chce, wszystkich razem odsyłając do testamentu.

— Powiedzże mi, ale istotnie tak bardzo bogaty? bo tu różne wieści chodzą? — spytał Paweł.

— Cóż chcesz? wiesz że ma z parę tysięcy dusz, że nigdy podobno intraty nie przeżywa, że nikomu grosza nie daje, że na nic nie traci, łatwo wnieść co mieć musi.

— A to tam miliony! miliony pleśnieć powinny! — żywo i z uśmiechem pożądlivym, zawołał starszy.

— Być może, ale najpewniej nie dla nas, choć Kasztelanic ludzi nas testamentem. Posłuchaj tylko Kasztelanicem włada faworyt kamerdyner, faworyta panna Aniela, kandydat na faworyta Jasiek; wszyscy nań czyhają, opasali go strażą i czynią dla krewnych nawet nieprzystępnym. Samuel nic poradzić nie może, Jaś podobno o sobie tylko myśli.

— O! to urwisy te Józefowicze, jak tatko! — nierozmyślnie zawołał pan Paweł — takie to musi być dobre jak szwagierek pan Sobocki, którego dziś bez sądu na szubienicę prowadzićby można

— Co chcesz, mój kochany Pawle, każdy podobno najwięcej o sobie myśli. — Pan Samuel więc żąda, ażeby się familia zebrała, naradziła i kogoś mu w pomoc przysłała, sprytnego, aby Kasztelanicowi umiał się podobać, a uchowaj Boże śmierci na niego, nie dał pochwycić nam z przed nosa spadku. Ja się w to wszystko mieszać nie chcę i nie mogę; wiesz jak nas jest wiele, trzebaby od wrót do wrót rozpocząć piel-

grzymkę, ja na to czasu nie mam; róbcie co się wam zdaje.

— No! ależ w tem i twój interes równie jak nasz. Uśmiechnął się gorzko pan Hieronim.

— Ja nie przywykłem do powodzenia i nie wierzę w szczęście — rzekł ciszej — wy, jeśli się wam zdaje, że co z tego być może, róbcie.

— W istocie, należy poradzić się i namysleć! — odparł Paweł wstając. — Ale jakże twoją żonę przyjęli? — sp;tał.

— Bardzo grzecznie i przyzwoicie, niema co powiedzieć.

— Prosiła go o co?

— Zdaje mi się że nie — krótko i sucho, zadając sobie gwałt by skłamać, odpowiedział Hieronim. — Dość tam zobaczyć co się dzieje, ażeby dać pokój.

Pan Paweł urwał, widząc że się nic nie dopyta i bracia rozstali się grzecznie ale zimno.

VII.

W progu domku Julja niecierpliwie oczekiwała na męża.

Domek to był podobny wszystkim tego rodzaju — z tą tylko różnicą, że dawna piękność Berdyczowska, która chciała dowieść, że ma gust, zepsuła go poprawiając i zdobiąc. Zniżono mu dach, co go zeszcpecilo, dano grube i otyłe słupy do ganku z romaniką, mającą minę ogromnej tablicy na szyld przeznaczonej; okna powycinano większe, tak że prawie do ziemi dochodziły, a dziedziniec wyklombiono najniefortunniej, i choć świnie po nim chodziły większą część roku, gęsi bardzo często nań zaglądały, a kury nigdy z niego nie-ustępywały, choć śmiecie rzucano tuż pod krzaki, a pomyje wylewano na środek gazonu, przez co wyparzone mu ogromną łysinę, chciano przecież, by to

miało minę nowożytną, pańską, zaczęto coś, niedokończono i porzucono.

W ganku czekała Jejmość — ale gdzież była sławiona jej piękność, której dotąd jeszcze wyrzec się nie myślała!! Niestety! jedne jeszcze tylko oczy pana Pawła taką ją mogły widzieć jaką niegdyś była; inni widzieli tylko otyłą, słuszną, białą, świeżą ale rozlaną kobietę, której drobna twarzyczka, skutkiem gwałtownych uczuć zapewne, dziwnie się zmieniła i powykrecała. Oczy miały sinawe obwódki, rumieniec zakrawał na trąd, włosy porzadziały, a resztę wdzięków ledwie sznury gorseta w przyzwoitej mierze utrzymać mogły. Minka jej mówiła wyraźnie, że była w domu absolutną panią. Obok siedziała córka jedynaczka, rozpieszczona i popsute dziecko, już podobno piętnastoletnia (jeśli nie więcej) z wyciągniętymi nóżkami, z zawróconą główką, ziewająca, stękająca i znudzona. Matka troskliwie się ku swemu robaczkowi raz wraz zwracając, patrzyła tylko, by jej nawet muszka nie przeleciała nad czołem.

Dziewczę to nie było piękne, ale w myśli rodziców nie przypuszczano nawet, by idealnie cudną i urodliwą nie była; — świeże jednak, powabne młodością, podobać się mogło. Ale nie była to piękność matki — rysy miała pospolite, zeszpecone skrzywieniem, pieśczołami i jakimś humorkiem złym, który potrzebowała pokazywać. Panna Pawłówna miała imię... zapominałam, że naprzód wytłómaczyć muszę, jak się jej dostało, przyszła na świat w sam dzień imienia ojca, na Ś. Piotr i Paweł; matka była cierpiąca, dziecię słabe bardzo, chrzest więc odbył się pośpiesznie, bez porady pani Julji, i nikt nie uważał jakie imię dać ksiądz nowo-narodzonemu dziecięciu. Proboszcz postaremu od Piotra nazwał ją Petronellą. Gdy matka wyzdrowiała, niesłychanie się tem zmartwiła, bo marzyła dla niej o pięknie, wyszukanem, niepospolitem imieniu, a Piotrusia wydała jej się nazwą stosowniejszą garderobianio, nie przyszłej dziedzicze Horoszek. Nieśmiało zmieniać patrona, przerobiła sobie Petronellę

na jakąś Petrę z francuskiego romansu, i odtąd chodziła panna pod sentymentalnym Petry tytułem.

Obok Petry siedziała stara... panna (bo widocznie na pierwszy rzut oka poznać w niej było można starą pannę) — mogąca mieć lat więcej czterdziestu — skóra i kości — żółta, sztywna jak szpilka, ostra jak igła ze spiczastym noskiem, z oczyma nadzwyczaj wytrzeszczonemi, nad którymi brew zbyt bujnie wyrosła, kształciła dwa łuki wcale nie do zazdrości. Twarz jej pomarszczona, z wyschnuowanemi usty, z wyprężoną postawą, przy stroju wymuszonym, w którym wstążek jasnych było siła różnej barwy, wyglądała jak trup zarzucony w trumnie kwiatami. Coś było pocieszenie donkiszockiego w tym towarzyszu Petry, mającym minę starej aktorki małego teatru, ruch, postawę i przesadzoną skromność. Imię tej istoty było Hiacynta (przez H w środku koniecznie) Samińska, a powołaniem jej nauczycielstwo; zdawało się jej bowiem, że umiała po francusku i grała na fortepianie, a w istocie mówiła po francusku jak niegrzeczni wyrażają się Francuzi „*comme une vache espagnole*“, grała jak pijany organista. Opinia jednak o sobie podnosiła drobne talenta i kto jej nie chwalił, temu zaprzeczała znajomości rzeczy, a że państwu obojgu potrafiła wmówić swój rozum i talenta, łatwo jej było narzucić im swe zdanie. Musimy tu powiedzieć króciutkie *Curriculum vitae* panny Hiacynty, które poniekąd jej fizyognomją tłómaczy. Była ona córką aptekarza, który jak Mizner, z apteki przeskoczył na wieś, stracił co miał i zostawił ją sierotą bez żadnego funduszu. Jakaś krewna zaprzęгла ją do trupy wędrujących aktorów, w której jednak nie pobyła długo, ale wiele skorzystała na całe życie: pozostał jej bowiem akcent tragiczny choćby o szklankę wody prosiła, wyrażenie petetyczności pełne, sentymentalność wielka i maniera karykaturowa. Ta przesada właśnie, ton jej napuszony i wielkie słowa, którymi rzuciła w najprostszych życia okolicznościach, w oczach tych co nigdy prawdziwie dobrego towarzystwa nie widzieli, wydawały się czemś wyższem i bar-

dzo pięknem. Oślepiła państwa Pawłów, a poznawszy, co nie było trudno, kto rej wodzi w domu, i umiejąc dziwnie pochlebiać matce, a dogadzać córcę, została ulubienicą i powiernicą obu. Sam pan Paweł bardzo ją szanował; wreszcie przyjęcie guwernantki wielce mu pochlebiało, stawiając dom jego na wyższej stopie. Chwalono się też nią nieustannie, choć Petra nic się od niej nie nauczyła, bo zwykle rozmawiały z sobą tylko o świecie, o losach, o miłości i o zdradzieckich kochankach, a lekcje życia zastępowały naukę języków i muzyki. Jednakże muszę być szczerym, dodam iż Petra grała kilka mazurków bez taktu i stukwała kilka walców — nad Straussa i Rajczaka nie posunęła się wyżej.

Takie towarzystwo zastał pan Paweł w ganku.

— A cóż? a co? a co? — spytała wszystkie podbiegając ku niemu, matka, córka i przyjaciółka.

— Historja, — odparł pan Paweł — ale niech panna Hiacynta pójdzie z łaski swojej trochę się przejść z Petrą...

— Cóż to? czy mam już opłakiwać stratę drogiej mi pańskiej ufności? — spytała ostrym, szczypiącym głosem, mizdrząc się i krygując stara panna, równie ciekawa jak złośliwa.

— Ale nie! — rzekł pan Paweł rubasznie — tylko wolalbym... to jest... zdaje mi się... i dokończył wskazując na córkę, że przy niej mówić by nie chciał, ale go niezrozumiano.

— Mówże bo Pawle! — niecierpliwie przerwała żona — Pecią jest w wieku, w którym wszystko słyszeć może...

— Już??? — spytał ojciec trochę zdziwiony.

— Na co to te dziwactwa; mów, przecież pani Hieronimowa nic takiego nie przywiozła z sobą, coby nas mogło zgorszyć.

Pan Paweł jął się tedy westchnawszy opowiadać o Kasztelanicy, pannie Anieli, i o wszystkim co się tego domu tyczyło. — Julja słuchała uważnie, panna

Hiacyntha ruszyła ramionami z słodko-kwaśnym uśmiechem, a Pecia naiwnie pytać poczęła:

— Jakto? mówią że Kasztelanie taki stary, a jeszcze się przecie kocha... I czy się ożeni?

— Moje dziecko — odpowiedział pan Paweł — nie rozprawiaj o tem — to jakoś dla ciebie nie przystoi.

Hiacyntha coś szepnęła wychowanicy i obie się serdecznie rozśmiały.

Julja wysłuchawszy nowinek, chwyciła się nadziei dalekich, bardzo gorąco i żywo.

— A to niema co myśleć — zawołała — pan Sammel ma zupełną słuszość — trzeba radzić prędzej... tam muszą być miliony... Choćbyśmy się wszyscy podzielić mieli, zawsze piękna może być gratka. Stary ma około dziewięćdziesięciu lat, nie pożyje już długo, może umrzeć lada chwila. Ale proszę cię Pawle, czy wszyscy muszą należeć do tego spadku? czy nie byłoby sposobu żebyśmy my go wzięli sami?

— Na to niema innego sposobu — odparł śmiejąc się pan Paweł — chyba starego z Petrą ożenić.

Wielkim krzykiem odpowiedziano mu na to słowa.

— Ale proszę cię — żywo kończyła Julja — czyż i dzieci Józefa i dzieci Sammela, i Piotra koniecznie brać mają?

— Zupełnie równo, niezawodnie, byłoby było co brać. A nawet Pobiałowie.

— Jakto, i Pobiałowie jeszcze?

— Ja myślę, zresztą, nie wiem.

— A już chyba to być nie może; wszak i tak majątek się rozdzieli na cztery głowy, a nasza scheda pójdzie na dwie.

— Może na trzy...

— Zmiluj się, to i Żmurowie brać mają?

— Tak mi się coś zdaje.

— Porachujmyż czy to zachodu warto — zastanowiła się córka kupca z właściwą pochodzeniu swojemu rachunkowością; — mówicie że ma dwa tysiące dusz, to warto dwa miliony, a w gotówce...

— Mówią że i w gotówce sporo mieć powinien, ale wiele, nikt nie wie.

— No! przypuszczam że tylko połowę tego co w ziemi, to czyni trzy, a ruchomości drogie, niech będzie razem cztery miliony — co przy dzisiejszej cenie majątków bardzo być może... więc po milionie na schedę. Sliczna rzecz! Na nasby zawsze górą po trzykroć wypadło... Petra poszłaby za jakiego hrabiego.

— Klasnęła w ręce. — Jutro rano zaraz jedź Pawle, zbierajcie się, radźcie i myślcie, bo zobaczycie, ze staremi nie żartować: gotów się z tą panną Anielą ożenić i jej wszystko zapisać. Żywo! żywo!

Pan Paweł w głowę się poskrobał.

— Ale do kogoż jechać? poradzę się najbliższych naszych, pojedą do Tekli...

— A im to na co wcześniej mówić? — podchwyciła żona.

— No? to komuż?

— Jedź lepiej do pana Piotra, to człowiek i rozumny, i bogaty i stosunkowy.

— Co do rozzumu i stosunków — wszak i Pobiątom go nie brakuje?

— Ale się to może bez nich obejdzie — zawołała Julja — niech pan Piotr pomiarkuje, czy im potrzeba dać znać — on głową familii dzisiaj...

— Juściż dla mnie ojciec pierwszy, a naprzód wypada mi pojechać do niego.

— A! zapewne, ale pozwól sobie powiedzieć, on trochę zdziecinniał. Jedź jednak rybko, żeby nie nychbić; od niego jadąc do pana Piotra, mozesz po drodze kiedy chcesz do Żmurów wstąpić, nie im nie mówiąc; u pana Piotra wszystko się to ułoży, tylko czasu nie traćcie.

Zamyśliła się Julja wzięwszy w boki.

— Słuchaj Pawełku — rzekła — gdyby to tak wiedzieć można pewnie, że to na nas spadnie... ty mówisz, że Hieronim nie wiele o to dba i nie bardzo w to wierzy, Żmura także łatwy do interesu, możobyśmy

od nich mogli nabyć ustępstwo. Ot! cały milion by nam przyszedł.

Pan Paweł milczał, ale trafna ta rada bardzo mu się podobała.

— Ba! ba! — rzekł — moja duszko, śliczna myśl twoja, ale któż to wie czy nas to nie minie, a zresztą, potemby może zbyt na nas krzyczeli żeśmy się cudzem z bogacili...

— Jakto cudzem? albożbyś nie nabył?

— Tak, ale zawsze...

— A! na to ryzyko! — odpowiedziała — gdyby tylko dobrze wiedzieć, że nas nie minie! Ale co to wcześniej mówić, na wierzbie gruszki — dodała — potem o tem.

Panna Hiacynta powoli zbliżyła się wyszczerzając swe czarne ząbki.

— Losu tajemnice są nieodgadnione — odezwała się melancholijnie — jednych podnosi drugich strąca ze szczytów, ale nazwałabym go sprawiedliwym, gdyby państwu zgotował dolę świetniejszą i temu aniołowi przyszłość na jaką zasługuje! Choćby wyroczeni losu się poradzić...

— A! prawda! pociągnij nam kabałę! — zawołała Julia — wróćmy do pokoju.

Weszli wewnątrz domku, który doskonale odpowiadał wyobrażeniu, jakie o nim z pierwszego na powierzchni wejścia powziąć było można; wszędzie niesmaczny występ, nieumiejętna chęć ozdobienia, a rzeczywiście dosyć opuszczone i brudno. Były tu i zwierciadła w złotych ramach pyłem przysute, i na konsolkach fraszki pootłukane a brzydkie, i firanki nafrenzlowane, i fortepian Cziszaka z Krzemieńca, i woskowana posadzka, na której wosk nieboszczyk pyłem śmiertelnym się przykrył.

Cały wieczór zszedł na rozmowie pełnej projektów i marzeń, które z kolei wysnuwała pani, Petra i Hiacynta, ofiarująca się na zawsze pozostać przy swej uczennicy, jako kapłanka przyjaźni.

Pan Paweł najmniej mówił, ale myślał najwięcej

i postanowił, zdawszy gospodarstwo jak to często czynił na żonę, a raczej na łaskę Bożą, zaraz nazajutrz wyruszyć do ojca, mieszkającego w bliskim miasteczku, potem przez Rohoże do pana Piotra, do Zrębów, dla narady o interesie. Miliouy Kasztelanica ogromnie mu już po głowie chodziły, a że chciwości dość otworzyć maleńkie przejście, aby się całą rzeką wylała, już się chwycił myśli objęcia całego spadku bez podziału, marzył, że Hieronima lada czem zaspokoi, z siostrą za fraszkę się ułoży, dzieci Józefa pozbędzie się małym datkiem, że Piotr może nie potrzebować od losu tego uśmiechu, Rotmistrz, kawaler, dożywotnią się pensją ograniczy, a on wszystko zagarnie. Był to projekt olbrzymi, ale któż kiedy między suem a jawą takich marzeń nie miewał?

Julja ze swej strony roiła dla córki świetne losy, dla siebie stosunki z pierwszymi domami, życie w stolicy i za granicą, o którym tylko słyszała jak o jakimś szczęściu mistycznym, a w ostatku zakochanie się w niej jakiegoś udzielnego niemieckiego książątka, których tyle z miękkimi nader sercami po świecie chodzi i t. d. i t. d. Petra także z milionami podawała rękę jakiemuś księciu, który w jej śnie miał czarne wąsiki, bródkę hiszpańską i lornetkę w oku.

Co się tyczy panny Hiacynthy, ta wprost spodziewała się od swej uczennicy jakich tysiąca dukatów posagnąć, i nie wątpiła, że z niemi dostałaby sobie męża, nie nazbyt już młodego, nieco łysiego, wszakże mocnej kompleksji, a bardzo uczuciowego i umiającego uczucia swe wyrażać w stylu kwiecistym... Ale któż przeliczy marzenia, które, jak w piękny wieczór jesienny jedwabne nici pajęczce, snują się tysiącami po głowach ludzkich, czepiając wszystkich uczuć i nadziei, zeschłych często łodyg i listków??

W domku tylko Hieronimostwa nie było tych marzeń, bo i one od ubóstwa stronią; rzeczywistość nadto się tam czuć dotkliwie daje, by wierzone w sny, które zawiodły ilekroć omamić usiłowały. Hieronimowa wzdychała nad dziećmi, ojciec rachował swoją intratkę, by

synów do szkół oddać — dziewczęta tylko i chłopaki, pospawszy się uradowane powrotem matki, szczebiotały przez sen weselem młodości, która jeszcze nie zna strachu przyszłości, co później ma truć życie.

Nazajutrz raniutko całe towarzystwo Pawłów siedziało przy stole zastawionym do kawy, a najtyczanka trzema guindoszami zaprzężona już stała przed gankiem, bo pan Paweł, gnany i naglony przez żonę, musiał się wybrać w tę podróż w interesie familijnym! Wyjeżdżał już namarszczony, zamyślony, niespokojny, tak go to gryzło wcześniej, że się z tylą osobami dzielić będzie musiał, choć daleko było do tego, żeby miano się jeszcze o co troszczyć.

Żona w dosyć brudnym szlafroku, rozparta w szerokim krześle, dawała mu ostatecznie instrukcje, a żółta panna Hiacynta uśmiechała się, kiedy niekiedy rzucając słówko pełne patetyczności i wyszukanego wdzięku.

Petra ziewała zmęczona zapewne nocnem marzeniem.

Ruszył się wreszcie pan Paweł uściskawszy żonę, w czoło pocałowawszy córkę i wedle starej metody, której się jeszcze trzymają na Polesiu, złożywszy pocałunek na kościstej łapce panny Hiacynty.

Zognany słowy, wejrzeniami i życzeniami dziarsko ruszył z dziedzińca i znikł w obłokach kurzawy.

VIII.

Przez cały ciąg drogi do miasteczka, które około trzech mil było odległe, pan Paweł ani spojrzał na gospodarstwa sąsiadów, ani ich kóp liczył, ani na ich popar ramionami ruszał, ani na siano opóźnione i poczerniałe szydersko się uśmiechał, bo silnie był jedyną myślą zajęty: liczeniem spadku, szukaniem sposobu na odepchnienie od niego ulubieńców Kasztelanica, i na przywłaszczenie go sobie wyłącznie.

Nareszcie ukazały się wieże miasteczka, szeroka,

błyszcząca rzeka co je obłewa, zielone łąki po których płynęła, strome brzegi Styrowe i szare domki żyjących w tej ruinie ludzi. Mało u nas miasteczek coby gruzami nie uciskały serca; każde z nich prawie jak drobne chłopię w szerokiej podziurawionej kapocie ojcowskiej wygląda; — i obszernie mu w gruzach, na cmentarzyskach i zwalisku. Takim było i to miasteczko, o którym mowa... Sterczały nad niem wieże bez wierzchołków, kościoły bez krzyżów, dzwonnice bez głosu, klasztory bez dachów, groby bez poszanowania i ołtarze bez świętości. Czas co wszystko kruszy — przeszedł i podeptał zamki, świątynie, domy; została kupa ruin nieforemnych. Wśród białych, szarych i czerwonych ścian murów okopconych od pożaru, świeższe, żółte domki poziome świeciły tu i owdzie; przy nich klatki i szałas, obok poważnych ruin karłowate i do kretowisk podobne. Środkiem zamiast ulic ciągnęły się po świeżym deszczu szerokie czarnego błota strumienie. — Śmutny to był widok!! ale gdzież na świecie niema ruin, a któraż ruina wesół? — w każdej z nich mieszka śmierć.

Cegłami zamku i kościołów wysłane były kałuże smrodliwe, resztki pustek stały gdzie niegdzie w ulicach, jak trupy, wylupionemi próżnemi patrząc okuami, jak umarły zdrewniałem jeszcze patrzy na świat okiem. Nigdzie nie widać było poszanowania pamiątki, nigdzie nieczucia dla przeszłości; waliła się ona do koła, powolnie, pomijana obojętnie, rzekłbyś, że ją czarownik jakiś ukrył oczom i sercu.

Pau Paweł przejeżdżał ulicą otoczoną domostwy żydowskiemi drewnianemi, chatkami co się do murów poczepiały, budkami z tarcic, sklepikami z łada kilku desek zbiteymi. Dwa czy trzy razy pominał długie mury klasztorne. powyłupywane, obrosłe korzeniami, zzieleniałe i porysowane od uliczników — nareszcie stanął przed dworkiem w ustronnej uliczce, skromnym, bo od czoła tylko czworo okien i jedno drzwi mającym. Było to mieszkanie państwa Antoniostwa i ojca jego i matki. Domek stał na uboczu, miał małeńki ogródek, ciasny

przed sobą przejazd, a w tyle stajenkę, wozownię i drwalnię. Tu bliżej kościoła i cmentarza państwo Zawilscy dożywali swego wieku, spokojnie. — Spokojnie? niewiem, zaraz to zobaczymy.

Ledwie wysiadł pan Paweł, z serwetą w rękę matka, z serwetą pod brodę zatknietą wybiegł w ganek ojciec, oboje mu radzi i z widocznem weselem na twarzach, z weselem ludzi osamotnionych.

— A witajże Pawełku! a cóż to ci się stało żeś nas przecie odwiedził?

I uchwyciwszy go zaraz, wprowadzili do izdebki maleńkiej, ubogiej, ale białej i czystej, na której środku skromnie zasłany prostym obrusikiem domowej roboty stoliczek, obiad dwojgu starym podany unosił. Był tam w fajansowej wazce bulion z fasolką, sztuka mięsa biała do chrzann, makaron zapiekany i na pieczyście gęś staruszka, co się poddeptała chodząc po podwórku, aż ją poderznąć musiano nie w porę. Kości jej świadczyły, że niewinnie śmierć poniosła, bo sterczały wyżej mięsa.

Na ścianach izdebki była historja Józefa sprawiedliwego, przez jakiegoś nieznanego artystę, bardzo szczęśliwie, bo bardzo naiwnie wykoutrefektowana, była Genowefa Brabantska i cesarz Aleksander.

Okienka małe wychodziły w sadek i na ulicę; przez drzwiczki otwarte widać było pokoik jejmości, a pokój jejmości rozdzielony kuchnią od bawialnego, mieścił się naprzeciwno.

Pan Antoni, starzec siwy ale krzepki, z wąsem szpakowatym, podstrzyżonym równo z ustami, z okiem szarem, żywym jeszcze, ubrany był w pikowy żupan i kontusz czarny, z lekkiego pól sukienka, dobrze już wytarty; nie chudy, nie otyły, raczej kościsty, miał minę zdrową choć cerę nieco żółtą; gęste marszczki twarz mu poorwały, a oczy obwijala siatka fałdów gesto koło nich poplątana. Gdy mówił miał zwyczaj brwi wysoko podnosić i słuchacza za guzik lub kłapę przytrzymywać, a nogą potupywać. Zresztą, wszystko w nim znamionowało starego szlachcica, choćby nawet ogro-

mnego herbowego pierścienia z krwawnikiem nie nosił na piątym palcu. Jejmość w białym czepcu, pikowej spodniczce i takimże kabaciku, po staremu przykryta tylko była na ramiona rzuconym płaszczykiem z zielonej kitajki. Znać w niej było jeśli nie wysokie pochodzenie, bo dystynkcji w rysach nie miała, to powagę dowodzącą, że się wysoko z sobą nosiła. Słuszną, suchą, prosta i sztywną, z długą szyją, z głową w tył zarzuconą, z ust, których warga dolna naprzód się wysuwała, godnie widać umiała dźwigać swoje ubóstwo, chociaż z domu Judzka, co często bardzo powtarzała.

W pierwszej chwili, gdy zobaczyli Pawła zgodzili się rodzice na czułe powitanie, ale zaledwie wszedł, zwykle spory pod pretekstem sztukimięsa wszczęły się natychmiast.

— Kochany Pawelku — rzekł pan Antoni całując go w głowę — siadaj i zjadaj, co na placu to nieprzypacieli: sztukamięsa dobra — przybyłeś na nią w samą porę.

— Zacznij od bulionu? będzie jeszcze dla ciebie — przerwała matka.

— Do czego mu bulion, gorąco tak... aby kawał mięsa.

— Dla czegoż niema zacząć od bulionu kiedy jest — stale powtórzyła matka.

— A kiedy ja wiem, że nie lubi bulionu — odparł ojciec tupiąc nogą.

— To kompozycja jegomości, żeby na swoim postawić — zawołała jejmość perzając się — wiecznie bo się musisz sprzeciwiać.

— Kochana Kaziu — przerwał ojciec — gdybyś ty przypadkiem była zaprosiła go na sztukemięsa, byłabyś utrzymywała, że od niej zacząć najzdrowiej, bo w skwar oblewać się bulionem, niewiedzieć do czego; ale że ja to powiedziałem...

— Jegomość mi życie trujesz tą swoją sprzecnością!

— W Pani mi go też nie słodzisz swoim charakterem.

Paweł tymczasem, choć przywykły do tej wojny

trzydziestoletniej, nie wiedział co z sobą począć, nie śmiejąc ani usiąść, ani się brać do bulionu i sztuki mięsa.

Państwo Antoniostwo stali naprzeciw siebie i kłótnia ciągnęła się dalej, coraz bardziej rozgrzewając.

— WPan mi stanąłeś kością w gardle ze swoim uporem.

— WPani mi obrzydłaś ze swoją manją kobiecą kłótni nieustannej.

— Dziękuję za ten komplement.

— A to i ja.

— Kara Pana Boga z tą kobietą!

— Nasłanie z tym starym gderą.

Pomiarkowali się przecie, że nie w porę zachwycił ich ten wybuch, i obrócili się do Pawła, który stał na mękach, głodny, pożerając oczyma tylko bulion i sztukę mięsa.

— Niech sobie je co sam chce.

— Niech je co chce.

Odezwali się jednocześnie.

— Siadaj Pawelku, i mów nam o sobie, o żonie, o Peci, o Hieronimie, co się tam u was dzieje?

— Mów — mów dodał ojciec; nie zawadzi ci co poradzić w gospodarstwie, ja stary wyga, a ty nie tęgi gospodarz podobno; opowiedzno mi co tam u ciebie?

Paweł wziął się do makaronu jeszcze nie będącego w sporze, co jakoś pogodziło małżonków, a razem do opowiadania o Kasztelanicy, o odwiedzinach Hieronimowej w Strumieniu, o powieści pana Samuela i wszyskiem co się dotyczyło tego interesu.

Pan Antoni przysunął się aż do niego, żeby słyszeć lepiej, tabaki zażywał, na żonę z ukosa poglądał, nogą potupywał; widać było na licu jego radość, którą w starości skrzepłej lada nadzieja obudza.

Jejmość milcząco słuchała, z powagą ręce założwszy na piersiach; miała nawet skłonność przeczyć tym nadziejom, widząc że mąż się ich chwycił, a razem dla tego, że spadek nie pochodził z Judzkich, ale

z Zawilskich, co ją niejako upokarzało — wszakże wstrzymała się.

Gdy pan Paweł skończył, razem się prawie ozwali oboje:

— Na wierzbie gruszki! — szepnęła Jejmość.

— Chwała Bogu, będziecie bogaci! — rzekł pan Antoni.

— Nie spuszczaście się na to! — dodała matka.

— Jakbym widział, że to ich nie minie! — przerwał ojciec i zaraz odwrócił się ruszając ramionami do żony. — Co? Jejmości i to już nie w smak?

— A jakże mi ma smakować, że się Paweł, zamiast pilnować gospodarstwa, durzy takimi banialukami?

— Dla czegoż to Jejmość banialukami zowiesz? — podchwycił ojciec — chyba już znowu mnie na przekórę?

— Ale panie Antoni, to jasno, że się Kasztelanie ożeni, a jeśli co zapisze komu, to żonie lub zausznikom; tak bywa zawsze. W końcu go jeszcze okradną.

— Choćby i okradli, juściż ma dwa tysiące dusz, tych mu nie wezmą.

— Wymogą zapisy.

— Waćpani chcesz wszystko widzieć najgorzej.

— Waćpan całe życie bałamucileś się niedorzecznościami i takeśmy stracili majątek.

Nie było dla pana Antoniego dotkliwszej i przykrejszej wymówki, nad przypisywanie mu straty majątku; porwał się na te słowa jak oparzony, poskoczył, uderzył się w piersi i zawołał:

— Na rany Chrystusowe! cóżem ja stracił? com stracił? czy Jejmościne kiepskie pięćdziesiąt tysięcy? Zostawiłem dzieciom wieś i mam chleba kawałek na starość, gdybyś mi go Jejmość piolunem nie zaprawiała...

Nie mogąc dotrwać, Jejmość także powstała, ruszyła ramionami:

— Ja Waści nie przegadam, zostańcież się sobie z Pawłem; ja jednak miałam iść do Horodniczynej, to pójdę, zejść ci z oczu, bo z sobą do ładu nie trafim.

Ruszyła się staruszka, ale gdy wychodziła, pan Antoni, klóćąc się jeszcze z nią we drzwiach, najtroskliwiej wyniósł parasolik i posłał za Jejmością dziewczynę dla bezpieczeństwa od psów sąsiedzkich.

Zostali się z synem, który korzystając z okoliczności przysunął sobie sztukę - mięsa, a pan Antoni, któremu do gawędy nie często tak szczęśliwa trafiła się gratka, chwycił syna, przysunął się do niego i począł długi traktat, przypuszczając wszystko co się tylko przypuszczać mogło i rozwiązując z góry trudności ile ich było.

Stańło na tem żeby pan Paweł jechał do stryja Piotra i ostatecznie z nim się jeszcze naradził, dla obmyślenia kogo wypadnie posłać do Strumienia w pomoc panu Samuelowi. O dzieciach Józefa ani mowy nie było przy wyliczaniu rodziny. Michał będący w wojsku stał ze swoim pułkiem w Orenburskiej gubernii. Jaś znajdował się u źródła i dobrze go pilnował, a mąż Antoniny, Sobocki, za najniebezpieczniejszego uważany był sprzymierzeńca; nadmienił o nim Paweł, a ojciec usta mu zamknął.

— O Sobockim — rzekł — ani słowa! to łotr z pod ciemnej gwiazdy, oberwaniec z pod szubienicy: kara Boża spokrewniła z nami tego mechesiuła. Waćpan nie masz pojęcia jaki to człowiek; większego już łotra nie wyobrażam sobie: birbant, hulaka, wisielec i matacz! matacz! Przytem Jasiek musi już z nim być w zmowie, bo i to podobno dobra sztuczka...

Ledwie tych wyrazów domawiał, gdy na progu ukazała się blada, przystojna, zmęczonych rysów twarzy, zsiniałych oczów, skromnie ubrana młoda kobieta. Wyraz jej opowiadał dobitnie niespokojów pełne, ciężkie, wrzawliwe życie. Była to właśnie pani Sobocka, która stryjenkę, panią Antoniową, przyszła odwiedzić.

Blondynka, miłych i niedawno jeszcze pięknych rysów, walką nieustanną, doznaniem gwałtownymi uczuciami, chorobą może, tak miała znużoną twarz, jak gdyby o dziesięć przynajmniej lat starszą była niż w istocie. Wstyd stał się z tego czoła o które odbi-

jały się codziennie wszelkiego rodzaju bezwstydy mę-
żowskie; ruchy straciły bojaźliwy wdzięk niewieści,
w boju przybrała postać mężką, i okryła się czemś
szorstkiem, niemiłym, gwałtownem. Każdy jej ruch,
spojrzenie, wyraz dowodził, że nie przywykłą była
spotykać ani przyjaznego wejrzenia, ani łagodnego
słowa; w każdym szukała nieprzyjaciela, i zaczepki.

Otworzyła drzwi nagle, spojrzała śmiało i skinęła
głową ojcu i synowi.

— Jak się masz Pawle? — spytała — a ty tu co
robisz?

— Tylko com przyjechał do ojca.

— Tak, pocziwe Pawlisko odwiedził nas — rzekł
łykając i ukośnie nań rzucając wejrzenie ojciec, prze-
lękniiony jeszcze czy go nie podsłuchiwała Antosia, choć
wiedział jak z mężem była; ale kłótnia kłótnią, a męża
się broni zawsze, choćby był największy łotr tak jak
się tuli choć bolącą część ciała swego.

— Długo tu bawisz? — zapytała Antosia.

— Tylko przenocuje! — rzekł Paweł.

— A nie będziesz-że u nas? — spytała prosząc.

— Nie wiem doprawdy — odparł zmieszany trochę
Paweł — krótko bardzo bawię, w domu gorące gospo-
darstwo.

— To źle że wy o nas zapominacie! — śmiało ku
niemu przystępując, ale zniżonym głosem odezwała się
kobieta. — Mój mąż wiecie jaki... cierpię i za to że
stronicie odemnie, możebyście potrafili podnieść go po-
dając mu rękę. A przytem zdałby się wam jako przy-
jaciół.... bo niebezpieczny wrogiem! o wiercie mi!
wiercie!

Stary ojciec przerwał jej prosząc aby zamilkła.

— No! no! cicho! sza! nie gawiej się i nie strasz,
przyjdziemy do was z Pawłem, przyjdziemy!

— Czekam was z herbatą. — A stryjenki niema?

— Wyszła tylko co do Horodniczynej.

— No, to i ja tam zabiegnę — ale na herbatę cze-
kam. ! To męża, do sądu poślę z nowiną. Będzie wam
rad, bardzo rad.

To mówiąc pocałowała w ramię stryja, uśmiechnęła się Pawłowi, który na rękę jej złożył dowód przywiązania do dawnych zwyczajów — i wyszła.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie.

— A co? — zapytał ojciec — złapała nas! gotowa była słyszeć!

— E! nie!

— O! nie ręcz.... trzeba do nich pójść, trzeba pójść, to darmo; choć to okropny człowiek ale musim go oszczędzać. Dowiemy się też może co on myśli o Kasztelanicu, może się co zgada. — Jeśli się on do tego wmięsza, o! to kaszy narobi! Jego w interesie papierowym nie zjemy; to najślawniejszy kruczkotwórca i matacz, jaki jest pod słońcem.

Długo jeszcze trwała rozmowa między ojcem a synem, aż gdy się miało ku wieczorowi, za powrotem Jejmości, z którą natychmiast w progu skłócił się pan Antoni o Horodniczynę, wybrali się na wieczór do państwa Sobockich.

Soboccy mieszkali na trzeciej uliczce, tak że do nich przez całe miasteczko przechodzić było potrzeba, ale wieczór trafił się piękny i piesza przechadzka nie straszła państwa Antoniewstwa, którzy z ukochanym synem radzi się byli pokazać w miasteczku.

IX.

Jeśli kto nie lubi wielkiego miasta dziwi się tym co w niem żyją, można się przynajmniej o to upodobać nie posprzeczać; ale w małym miasteczku, jestem pewien, żyją tylko ludzie za ciężkie grzechy swoje, czyściec odbywając na ziemi.

Wystawcie sobie zbiegowisko wszystkich mierności, wszelakich żądz i pragnień, wszystkich nędz i wszelakiej chciwości; mrowisko ludzi, których nie wiele różnią fizjognomię moralne i cielesne, pełne ruchu jedno-

stajnego i bez celu, pełne wrzawy o słomkę, raczej, bezmyślnej a codziennie jednej — zawiści, ile niedostatków, kłótni ile nudy, nieprzyjaźni ile znajomych; a to wszystko obleczone brudnymi ścianami lichych domków, zamknięte nliczkami ciasnemi, wśród wyziewów błota, wśród smrodliwego żydowstwa, wśród gawiedzi głodnej, czyhającej na pastwę z papierem i piórem w rękę, chciwej razem i dumnej, gotowej sprzedać się za grosz, ale w dodatku wymagającej szacunku na który nie zasługuje.

Każdy ruch, każde słowo człowieka rozchodzi się tu jak w próżni echo szerokie; wszyscy się znają, wszyscy na siebie patrzą, nie można być chwili samotnym, ani tęsknym, ani wesolym, żeby twego uczucia nie wzięto na tortury dla dowiedzenia się czemn.

Takie życie może być udziałem tych tylko, co albo chcą cierpliwość swą podnieść do wysokiego stopnia, lub całkiem ją utracić. — Państwo Antoniewstwo żyli przecie w tym skwarze i ścisku; ale starzy, nie wiele dotyczyli tych co ich otaczali, zresztą, kłótnia ciągała z sobą nad wszystko ich zajmowała. Nie bez tego, żeby i oni nie byli śledzeni, i nie zarobili sobie najniemniej na nieprzyjaciół, bo pierwszy z nich był już pan Sobocki.

Ciekawą tę postać musimy bliżej dać poznać czytelnikom, nim do domku jego wejdziemy. Sobocki, jużśmy nadmienili, był jak odgłos powszechny twierdził, synem wychrzty podobno; ojciec jego, pijaczyna i łotr na małą stopę, całe życie strawił na przesładowaniu tych z których łona wyszedł, był bowiem kwartalnym w miasteczku i niepospolicie żydom doknaczał, zdzierając ich i niepokojąc. Człowiek ten żadnego nie mając pojęcia o wychowaniu, dać go swojemu dziecku nie mógł. Było ich kilkoro rodzeństwa ale ze wszystkich sprytem i żywością odznaczał się Mateuszek. W istocie, natura obdarzyła go nadzwyczajną bystrością pojęcia, ale mu nie dała, żeby ten dar dla ludzi użytecznym uczynić mogło. Owszem, Mateuszek za raną nie miał serca i nie go w nim nie wyrobiło

później; oddany prędko sam sobie, nie kierowany przez nikogo prócz losu, umocnił się w dziwnem pojęciu świata i życia ze strony najgorszej, w bezwstydy i zupełnem zaparciu wszelkiego szlachetniejszego uczucia. Sumienie tak w nim twardym snem spało, że nawet nie domyślał się, jak dalece zszedł z drogi lepszej. Ubogiem dzieckiem w szkołach, wyrostkiem w domu, nareszcie chłopakiem sporym w kancelarji, zastanawiał wszystkich niezwykłym sprytem, pochlebiającą uniżonością dla starszych (dla słabszych bowiem miał tylko szyderstwo i korzystał bez litości z prawa mocniejszego) — gotowością na wszelkie posługi, byleby za nie mógł coś zyskać.

Serce jego nietknięte nigdy, bo i rodziców stracił wcześniej i ubodzy krewni matki nie dali mu dobrego przykładu, stwardniało zupełnie i na wieki; wybuchnęły namiętności, rozjaśniał rozum praktyczny, uczucie nie wyrosło już zwiędłe przed rozkwitnieniem i zgniecione na zawsze. Dzieckiem, całem jego usiłowaniem było wydzierać zabawki, wyłudzać oszukaństwem przysmaki lub dręczyć tych co się na nim pomścić nie mogli; męczyzną zachował ten sam tryb w dalszem życiu, zmieniając tylko sferę działania. Nic go nie kosztował podstęp, zdrada, niewdzięczność, spodlenie, byleby z nich miał korzystać jaką, byleby mu się opłacily. Pragnienie wzniesienia się nie tyle w nim wypływało z ambicji, co z nienasyconej żądzy pieniędzy, tych narzędzi nasycenia. Namiętny był bowiem dziko, gwałtownie, głodny jak zwierzę, a że w ubogiem życiu nie wiele mógł szkosztować, pragnął potężnie wszystkiego.

Wdrapawszy się do kancelarji odarty, niemal boso, i posługując wszystkim w początku, doszedł do naczelnika wydziału muóstwem podłości, dla których zliczenia potrzeba by odrzucić wstręt jaki wzbudzają. Począł od cichego donoszenia na swych towarzyszków, spychał ich kolejną z miejsc, które po nich odziedziczał; wszędzie za pieniądze robił co żądano, a sobie podobnych i muiej może winnych wystawiał na sztych, by zgubić jeśli mu zawadzali, zastraszyć jeśli mu byli po-

trzebni. W sprawach zrozpaczonych nie było nad niego, bo znał wszystkich co pieniądze brali i z nimi na współ robił interesa; ale biada temu co się dostał w jego szpony. Nie kończyło się na jednym datku: za nim szły dodatki, strachy dla wyłudzenia coraz więcej, niespodziane koszta nadzwyczajne, niebezpieczeństwa mniemane, których uniknienie sownie się opłacało, usta które zamykać było potrzeba, księgi których nie można było otworzyć, chyba złotym kluczem, i t. d. i t. d., a klient płacił bez końca, póki tylko darty być mógł. Bywały interesa, które przez całe lata podsycaly pustą zawsze kieszeń pana Matusza, a kilkun złotych nie wartaly; ale umysł jego bogaty w coraz nowe idee, znajdował w nich co chwila inną stronę do wyciskania soków pożywnych.

Szydził potem niemiłosiernie, przy butelce z towarzyszymi, z tych których odzierał; czasem się z nich w oczy naśmiewał, pewien, że i na drugi raz bez niego się nie obejdą, a o pomoc swoją targował się tak bezwstydnie, tak ciężko, jak o najpocziwszą pracę. Postępował tak nie tylko z bogatym, ale z najuboższym nawet, bo nie miał i nie pojmował litości, a szlachtę co w łapciach o żebranym niemal chlebie przychodziła po swe dowody rodowitości, darł najniemiłosierniej, gubiąc potem, bo całemi latami w rękę ich papierów nie wziął, za każdym o nie dowiadywaniem się, każąc płacić na nowo, a dokumentami zaklejając szyby na zimę. Pod pozorem wydobywania potrzebnych papierów brał od tych nieszczęśliwych summy bajeczne, które szły na najniegodziwszą hulankę.

Jeśli sam nie mógł tych korzyści ciągnąć z kogo, rad był przynajmniej podsunąć drugiemu sposób odarcia klienta, i dobry koleżka znosił towarzyszom i znajomym wszystkie wieści, które mogły ich kieszenie podsycić, zostawiając sobie albo podział dochodu, lub w potrzebie wydanie potajemnej roboty przed starszą.

Dość też było spojrzeć na niego, by w nim napiętnowaną podłość i wygasłe uczucia a rozbujane namięt-

ności wyczytać. Rysy jego twarzy, postawa, ruch miały coś tak bezwstydnego, że w nieznanym nawet wzbudzał obawę i ohydę. Mały, suchy, blady, poszpecony ospą, nieustannie kaszlący, z włosom na łbie, który nigdy przeczesać się nie dawał, z usty do uśmiechu szyderskiego wykręconemi, wyglądał jak nosobienie złości i zawiści, chciwości i rozpusty. Przywykły do mrugania i znaków potajemnych, któremi w obec klientów znośił się z towarzyszami i ofiary swych szachrajstw w pole wywodził, przymrużał często jedno oko, a usta w przeciwną stronę pociągał z ohydny grymasem.

Z wyższymi od siebie uniżony był do upodlenia, ze słabszymi dumny do impertynencji, a każdy którego się nie obawiał i z którego nic wiać nie mógł, był dlań niższym i nieprzyjacielem.

Życie pana Mateusza upływało po większej części za stołem kancelaryjskim lub w cukierniach, kawiarniach, winiarniach, i najbrudniejszych *jankach* miasteczka; najmniej w domu. Wódka i karty zdawały się głównym celem jego życia — resztę miał za niepotrzebny dodatek. Spełniając powierzchownie obrzędy religijne dla oka zwierzchników: uczucia wiary nie miał najmniejszego i do swej podłości wyrobił sobie potrzebne ateuszostwo. Dziwnem się może wydawać, że takiego łotra cierpiano; ale nie zawsze oddalić można kogo się chce, a pan Mateusz tak się umiał starszym podlizywać, tak im posługiwał, tak czynił się potrzebnym, tak udawał doskonale przed niemi cichego baranka, że się niczego nie domyślając, bronić go byli gotowi.

W domu od dawna nie było już pokoju i zgody — z żoną kłótnia nieustanna, swary do bitw dochodzące — dla niej i dla dziecka zarówno był obojętny; przychodził późno, wychodził rano i rzadko w dzień zajrzał, chyba że miał powód do bójki, której nie tylko nie unikał, ale się szukać jej zdawał. Biedna kobieta była męczennicą; ale to życie psując ją i oswajając ze wszelką szkaradą, wyrabiało w niej siły do oporu,

gwałtowność charakteru, mężstwo nadniewieście, w ostatku już potrzebę namiętności i walki.

Gdy po za domem lały się strumieniem ruble na karty i wino, w domu często grosza na mięso nie było, a za każdy zaciągniony dłużek znieść musiała srogie wymówki.

Soboccy mieszkali w maleńkim domku, będącym już własnością kancelisty, na ustronnej uliczce w końcu miasta; otaczał go lichy sadek i dziedziczny brudny a ciasny. Sień, podwórze, wszystko tu mówiło o nieładzie wewnętrznym — brudno było, opuszczono, zaniedbano. Dworek miał tylko okienek czworo, a że osiadł w ziemię, wchodziło się do sieni jak do lochu po kilku chwiejących wschodkach. Na ten raz, mając przyjmować krewnych żony, których posadzał, że nim trochę pogardzali, pan Sobocki postanowił wystąpić i wystąpił.

Poprzyimiatano, powylepiano na prędce odrapane ściany, co było widocznie świeżą robotą, wysypano ścieżkę piaskiem i oświecono pokój, w którym zwykle stos papierów zalegał jeden stolik, a zrzucony płaszcz drugi. Teraz serwety okrywały oblaźle z polatury meble, firanki otrzęsione były z pyłu, a ogromny samowar zawczasu wrzał w kącie. Pożyczono brakujących przyborów herbacianych u pana Sekretarza i innych towarzyszków pana Mateusza; to też łyżeczki były różnego kalibru i cery, szklanki rozmaitych wzrostów i tuszy, a taca nad wszelkie podobieństwo do prawdy nowiuteńka. Do występu należały sucharki i grzanki przyniesione z cukierni i sześć butelek szampańskiego, — bez którego jak wiadomo, nie ma parady i przyjęcia — stojących w kominie i świecących białemi główkami. Pan Mateusz czekając na gości w wice-mundurze, z rękami w kieszeni, to znów ogryzając zapal czywie paznogie (był to jego nałóg gdy czekał lub niecierpliwił się i gniewał — a czasem ogryzał je aż do krwi), chodził żywo po izdebce.

— Zobaczysz — mówił do żony krzątającej się w drugim pokoju i układającej ciasteczka — że goto-

wi jeszcze nie przyjść choć się czekać kazali. To dumna ta twoja *familia*! gołe a pyszne! do mnie, do piszczyka nie bardzo im się chce. E! żeby mi no Pan Bóg dał w moje łapki ich wzięść kiedy, toby skakali! oj! oj! dusiłbym, dusił jak cytrynę... Ale poczekajmy; nie bez tego żeby nie wyrósł im jakiś interes, przyjdzie kreska na Matyska, dopiero zobaczymy!!

— Ale poczekajże! bądź cierpliwy, jeszcze przyjdą, dali słowo!

— Przyjdą, nie przyjdą! — zawołał Mateusz gryząc do krwi palce — to mi wszystko jedno! i rzucił klątwę której powtórzyć niepodobna, tak była szkaradną.

— Idą! idą! — wpadła służąca zadyszana — idą!

— A przecie idą — rzekł rumieniąc się i spiesząc do drzwi, ale w progu wstrzymał się i żonę idącą nie puścił. — Czekaj — nie wychodź przeciwko nim; cóż to za figury! trzeba umieć swoją godność utrzymać; ktoby powiedział, że mi wielką łaskę robią!

— Ale mój Mateuszu, to stary stryj i stryjenka!

— Choćby i dziadunio, to nie pójdziesz! — wrzasnął zamykając jej drzwi przed nosem.

Kobieta zaczerwieniła się cała i njęła w boki.

— Słuchaj! — rzekła groźnie — gdyby nie to, że nie chcę teraz kłótni robić, postawiłabym na swoim i zrobiłabym jak chcę — ale ci tego nie daruję!

— Strasznie się też ciebie boję! — odparł szydząc Sobocki i drzwi puścił. — Idź zresztą kiedy ci się tak zachciało, ale ja krokiem się nie ruszę.

Goście już byli w sieni; Antosia zaraz wybiegła naprzeciw nich, a mąż jej został w pokoju, cały zapierzony i nadęty chodząc żywo; gdy się ukazali w progu Antoniostwo, powitał ich dość kwaśno, niegrzecznym prawie ukłonem i z miną urazy rzekł:

— Przecież państwo łaskawi na nasz domek ubogi — prosimy, prosimy... niech też państwo siadają.

Antosia, widząc to, cała była czerwona z gniewu i bóleści.

— Niesprawiedliwy Waćpan jesteś — rzekł powoli stary zbliżając się grzecznie do gospodarza, gdy ten coraz się cofał, chmurny i nasrożony — często my tu bywamy, ale Jegomości w domu nie zastać!

— Co Pan chce! my schniemy za pracą! człowiek nie ma wolnego momentu — zawołał Sobocki nieco udobruchany.

— Ha! każdy musi pracować! — odezwał się pan Paweł.

— Ale nad naszą robotę nie ma, szelma jestem, ani gorszej, ani paskudniejszej; wolałbym jak turemnicy ulicę zamiatać! — rozgadał się ze zwykłemi żalami pan Mateusz. — Siedź za stołem cały boży dzień, ślęcz, kawęcz, a często kawatka chleba braknie, jak Boga kocham.

— Tego to nie widać u pana — rzekł postrzegłszy w kącie szampana pan Antoni, i wskazując wyraźną sprzeczność mowy i uczynku.

Zarumienił się Sobocki, z trochę dumy i machnął ręką.

— Kiedy się — rzekł z powagą — takich gości przyjmuje, człowiek chętnie ostatnie odda; wiem ja jak kogo traktować!

— Ale mój Mości Dobrodzieju — odparł pan Antoni, dosłownie biorąc żale poprzedzające — tuś zupełnie chybił. Do czego to dla nas; na co ten koszt! czy tośmy nie swoi?

Zaperzył się znowu kancelista, rozgniewany że go z własnej winy zepchnięto na tak niski szczebel, gdy właśnie chciał grać rolę inną, i zakrywając sobą wino szampańskie, zawołał do żony:

— A cóż herbata? dawajcież herbatę!

Goście usiedli, rozmowa się przerwała, a tuż i pan Sekretarz, zaproszony w dodatku do swoich łyżeczek ktoś jeszcze z urzędników, weszli patetycznie zacierając czuby i z wysoka stawiając nogi. Te figury, jeden czerwono-nosy wielki drągał, drugi małeńki do szczura podobny człowieczek, usiadły obok Zawilskich i powszechniejsza wytoczyła się rozprawa o powiatowych

i gubernialnych wypadkach, zmianach urzędników, przejeździe gubernatorów i t. p.

Służąca już gotowa z herbatą, wniosła nareszcie ten napój w różnokalibrowych naczynkach, a za nią sama Antosia ciasta, rum i śmietankę. Jadło ożywiło i skleiło jakoś niespojne w początku towarzystwo, tylko Sobocki zły zawsze i nadęty chodził i mruczał, z ukosa poglądając na stryja i Pawła.

Godzina tak zesła, a że urzędnicy byli tylko wezwani dla parady, i czasu nie mieli, wnet po herbacie odkorkowano szampana, ponalewano go w pożyczane kieliszki i poczęło się oblewanie tym trunkiem nieodzownym każdej ucztę. Poczem dygnitarze, zaszczytując swoją bytnością Sobockiego, który ich aż za bramę śmiejąc się i dworując przeprowadzał, odeszli, a familia została sam na sam.

Teraz Pan Mateusz, wsparty odwiedzinami wysokich figur sądowych, jeszcze bardziej z góry poglądał na swoich krewnych. Pan Paweł bardzo chciał się dopytać, czy przez Jasia niema szwagier jakich wiadomości tyczących się Kasztelanica, i czy tam nie zamierzają co około niego, ale rozmowa nie mogła wpaść na ten przedmiot, a sam jej, dla wielu przyczyn, w tę stronę kierować nie mógł, bo się obawiał domyslności Sobockiego.

Trwało to do dziewiątej godziny; rozmawiano o wszystkim, wreszcie coś ktoś szepnął z przypadku o Kasztelanicu, podobno Antosia, i Sobocki ucha nastawiwszy wśród pokoju stanął.

— A! Kasztelanic! — rzekł — i to ciekawa figura! a mnie aż żal tego Jaska że on tam przy nim wisząc, schuie! — to słyszę sknera nadzwyczajny!

— Podobno! podobno! my go prawie nie znamy — przedcedził przez zęby Pan Paweł.

— Już ja to wiem dobrze — mówił chodząc wielkimi krokami po izbie gospodarz — skąpiec, a co dziw, mówią że w interesach źle — źle.

— Któż panu to mówił?

— Jaś!

Ojciec i syn spojrzeli po sobie znacząco — to widoczne kłamstwo Jasia o Kasztelanicu, lub zmowa z Sobockim, nie było bez znaczenia i odkrywało jakieś na dal zamiary.

— Majątek znaczny — dodał Sobocki — ale podatków nawet regularnie nie wnoszą! Jakkolwiek bądź, to zawsze ztamtąd coś na moją żonę kapnąć musi i powinno! — dorzucił mierząc badającym wejrzeniem stryja i pana Pawła.

— A jakże! — rzekł spuszcżając oczy na tabakierkę pan Antoni — oczywiście, jeśli tam faworyci wprzód nie myślą i nie zatachłują co jest.

— Faworyci? kto? juściż nie Jaś, bo to dobre cielátko.

— A! uchwaj Boże, żebym go posądzał — przerwał stary podchwytyjąc się — ale panna Aniela i ten kamerdynier Termiński.

— Ta! żebym ja wiedział — rzekł stając i poczynając gryźć palce znowu, z wejrzeniem żmii na swoich gości — żebym ja wiedział, że mnie się to na co zda, że tak wezmę naprzykład jaką wieś porządną i ten psi chleb będę mógł porzucić, tobym ja dał rady faworytom! Panna Aniela — poczał wygadywać się pod wpływem szampana — to tutejsza podobno mieszcżanka; ciotka jej Robowa tutaj mieszka; możnaby ją o co pociągnąć do sądu, oddać pod nadzór, do miasta sprowadzić i nie pozwolić wyjeżdżać; staryby o niej zapomniął. Co się tycze Termińskiego, to albo zagraniczny człowiek... albo odnodworec... jeśli za paszportem, możnaby dla jakiej nieformalności odesłać go na miejsce pierwszego pobytu, a z odnodworcem też łatwo. Ot! — dodał klaskając usta i mrugając okiem a krzywiąc usta — na wszystko są sposoby!

I widać jak był dumny ze swego sprytu, bo spojrział po zdumionych gościach, jakby do nich mówił: — A co? myślicie żem nie chwata? zjadłbym ja was wszystkich w kaszy!

Na starym panu Antonim i Pawle wyrazy te zrobiły zarówno przykre wrażenie; dreszcz im przebiegł

po plecach, ale pokryli śmiechem niezręcznym prze-
strach i gorycz, której doznali; zdawali się tylko po-
dziwiać wysoki talent pana Sobockiego. Ten się poczy-
nał rozgadywać bez miary.

— Co to? na wszystko jest sposób byle głowa —
rzekł siadając i rozwaliwszy się z dumą na krześle. —
Nie takie to my interesa robili nieraz! Ale mnie się
to na nic nie przyda! Taka już dola moja, żeby ciężko
pracować i w niedostatku zginąć.

— Przyjmże dobrą radę od stryja — wystąpił pan
Antoni — ta praca cię widać tak męczy, że ją sobie
często wynagradzasz zbytkiem — bądź oszczędniejszy. —
Ot i dziś, po co było tracić na szampana?

— Djabli ich bierz te kilkanaście rubli — krzyknął
zacierając czuprynę Sobocki — co to, ja fortunę bym
z nich zrobił?

— Ziarnko do ziarnka.

— U mnie tak — dodał pan Mateusz — albo wiele,
albo nic — co mam sobie jeszcze żałować?

Oczy mu zabłyśły krwawo i straszno; stojąca za
nim żona wzdrygnęła się i westchnęła, on ciągnął
dalej:

— Pal djabli kutwienie, aby wesoło przebyć chwilę...
u mnie ręce a głowa to moja fortuna!

Rozmarzony począł dziwnie bredzić. — Znać było
w tej rozprężonej napojem myśli, łachmany codzien-
nych marzeń, dzikich, samolubnych, zwierzęcych i
strasznych, bo żadnym nie wstrzymanych hamulcem.

Stary, który słuchał smutnie tych wynurzeń, spn-
ścił głowę na piersi, a Paweł, nie wiedząc co począć,
czy śmiać się czy potakiwać, siedział jak na mękach.
Pani Antoniowa, wyprostowana, jeszcze bardziej niż
kiedy wzgardliwa, zdawała się okiem wyrzucać mężo-
wi, że ich tu przyprowadził; w tem spojrziała na An-
tosię stojącą za krzesłem Mateusza i w blasku świec
postrzegła dwie łzy, które biedna kobieta usiłowała
pokryć uśmiechem wymuszonym — ujrzała to i wzdry-
gnęła się.

Godzina dziesiąta wybiła, wszyscy się żegnać ruszyli.

— A pan ztąd do domu? — spytał Sobocki Pawła.

— Ja, nie wiem, może jeszcze zajrzę do siostry.

— A! do Rohoży.

— Tak jest.

— Proszę się Tekli kłaniać odemnie — dodała szybko Antosia, zapobiegając żeby się mąż więcej nie wygadywał.

Sobocki uklonił się poważnie, wszyscy wyszli.

Za bramą dopiero, dobrze podszedłszy ulicą, pan Antoni odwróciwszy się i nikogo nie widząc za sobą, odezwał się:

— O! cóż to za los tej biednej Antosi! i co to za człowiek!

Nikt nie odpowiedział. — Módlmy się za nią — dodał starzec — oni źle skończą! ten człowiek mnie przeraża....

Pani Antoniowa choć rada się była z mężem posprzeczać, nie miała się o co zaczepić; nikt też przeczyć nie mógł, zamyśleni poszli powolnie przez puste uliczki do domu.

Po za niemi u Sobockich, głuchy hałas słyszać było.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM II.

I.

Ażoby się puścić w drogę ku Rohoży, jak zamierzał pan Paweł, potrzeba było bardzo pilnego interesu lub wielkiego przywiązania. Paweł ani jednego ani drugiego nie miał na głowie ni w sercu; postanowił jednak skierować swą podróż do Zrębów, pana Piotra Zawilskiego (jednego ze stryjów swoich) na Rohoży, dla zobaczenia się z siostrą i pomiarkowania ze staun majątkowego Żmury, o łatwości z jaką mu przyjdzie układać się z nim, jeśliby spadek po Kasztelanicu pewniejszym się okazał. Coraz bowiem silniej rozwijała się w nim ta myśl spekulowania na dziedzictwie po stryju i posiadzenia go w znacznej części, jeżeli nie w całości... Myśl tak podżegana chciwością gdy raz w swe szpony chwyci serce człowieka, uio łatwo mu się z nich wyrzeć; opiera się jej długo zawstydzony, w końcu ulega bezsiluy. Tak było z panem Pawłem, którego pierwsze z bratem i siostrą układy pomyślnie, do dalszych tego rodzaju zaprawiły próbek.

Miljony Kasztelanica ponętnie przed oczyma jego się przesuwaly, a wśród marzeń o nich, niekiedy tylko straszna postać Sobockiego z piórem za uchem, ogryzającego paznogie i gwałtownie dopominającego się swej schedy, dreszczem go przejmowała. Wszyscy mu się zdawali do układów łatwi, prócz tego ubóstwem i rozpustą rozdrażnionego człowieka, który gotów był po trupach iść do pieniędzy, aby je jutro najbrudniej prze-
trwonąć.

W takich najróżnorodniejszych myślach o całej rodzinie swojej, której charakter, skłonności, potrzeby i usposobienia rozbiierał pan Paweł — przebywał. on powoli szkaradną ku Rohoży drogę... Wkrótce z gościńca lichego i krętego zmieniła się ona w coś, co w języku nie ma nazwiska. Chyba barzą wyłożone szerokie pasy amerykańskich puszczy dać mogą wyobrażenie o kraju i drodze, jakie w tej chwili przejeżdżał nasz podróżny. Było to coś wspaniałego jak pustynia, mówiącego do duszy wielkiem milczeniem przestrzeni niezaludnionych, dzikiego i smutnego jak śmierć.

Okolica przybrała pozór nieskończonego smętarza, a krzyże w niej bez wsi i siedzib same tylko rozdroży strzegąc, z podrzuconemi u stóp kupami chrustu, oznajmującami mogiły, jeszcze więcej piętnowały jej fizjognomię żalobną.

Jechać było potrzeba wertepami niesłychanemi lub jednym niemal brodem, który na chwilkę przerwany, zuów się ciągnął stajami, milami, przeżynając to błota niezmierzone okiem, to lasy wyniszczone i smętne. Nigdzie wsi, nigdzie chaty, nigdzie karczemki nad drogą, długą jak oczekiwanie; żaden głos nie przerywa ciszy, żadna istota prócz kruka i wiewiórki nie ukaże się podróżnemu. Kraj niezamieszkały, opuszczony, nieplodny, wyklęty, poetyczniejszej wyobraźni przypominałby był przechadzki Danta z Wirgilim.

Kilka razy błdził pan Paweł, pomimo że znał te drogi, bo łatwo się było puścić inną brodni gałęzią, inną ścieżynką; wreszcie na nocleg przyciągnął późnym wieczorem do jednej karczyny, która jego podróż na dwoje dzieląc, mogła służyć za miejsce wytchnienia w tej utrapionej drodze.

Stała ona przy wsi Samą zwanej, w rozległych błotach i lasach zaszytej, nad wielkiem jeziorem, na piaszczystem wybrzeżu. Ztąd jeszcze do Rohoży było takich samych jak z miasteczka mil sześć, ale daleko gorszej i przepaściściej jeszcze drogi. Sama, ze swemi chatami ciemnymi na piasku rozrzuconemi, z wysokimi krzyżami, cerkiewką czarną, ogromną karczmą, oko-

lona lasami, oddzielona od ludzi, wydawała się jak osada dzikich i miała coś jej pozoru. Lud nawet tutaj inne miał obyczaje, inny strój, inną fizjognomię — w kobietach nderzały ubiory głów na wysokich łubach opięte, dymem okopcone i czarne, włosy rozczochrane i odzież dziwnie niechlujna; — mężczyźni mieli smutne twarze wygnańców, kottuny, i jakby im tu ciężar życia gorzej niż gdzieindziej dolegał, spuszczała obrzmienione nim głowy.

Trzeba było tego spokoju i bezpieczeństwa, jakie w naszym kraju panuje, gdzie lud rzadko nadzwyczaj do rozbojów się rzuca, żeby bezpiecznie zanocować wśród takiej osady. Ale od wieków, pomimo ubóstwa wieśniaków żyjących ze sprzedaży wianów, suchej ryby, kół i grzybów — owoców, lasu i wody — nikt tu nie słyszał o napadzie, nikt nie poskarżył o kradzież. Nocą, sam jeden mogłeś przebywać te puszcze zakłete i chyba wilcze jasne oczy nastraszyłyby cię w drodze.

Karczma na uboczu trochę stojąca, niegdyś porządna, ale teraz cała zajęta przez żydów, bo raz w rok ledwie tu kto zajechał, przedstawiała znany bardzo obraz izraelskiego pomieszkania. Nie brakło ani starych żydów, ani młodych bachurów, ani belfera blade-go i naucznego, ani brndów i rupieci, które tak malowniczą a tak niewygodną karczmę naszą czynią. Zdziwił się pan Paweł, postrzegłszy w progu sieni na podwórzu siedzącego podróżnego, którego wózek widać było w głębi zajazdu... a przypatrzwszy mu się bacznie, wesoło uderzył się po bokach.

— A! to dziadunio! — zawołał uśmiechając się.

Tak nazwany dziadunio, był to sobie krzepki, czerstwy, okrągłej twarzy, rumianego lica, siwiuteńkich już włosów starszek, w szaraczkowej kapocie, w takichże spodniach i bntach kozłowych do kolan. Miał w rękukij prosty dębowy, a podpasany był skórzanym pasem z kaletką. Twarz jego miała szczególny, oryginalny wyraz rubasznej odwagi, spokoju i wesela, coś podobnego do starego Demokryta lub do bajecznego Diogenesa, którego postać wieki powoli tworzyły. Nim się

przywitają, bo oto już wstaje stary i śmieje się kiwając głową do pana Pawła wołając: — Góra z górą się nie zejdzie... my powiedzmy słówko o dziaduniu.

Był to pan Dymitr Palucki, niegdyś dworak Księżnej pani Wojewodzicowej Mściśławskiej, stary jak grzyb człowiek, a żwawy i zdrów jak młodzieniec; nie darmo go dziaduniem zwano, bo był rodzonym bratem Zawilskiej Kasztelanowej, Panów Zawilskich matki. Człowiek ten z dzieciństwa miał coś w sobie dziwakowatego, i starość go z tego nie wyleczyła. Chciano z niego zrobić porządnego obywatela, to jest dać mu majątek, urząd, zajęcie, ką, tytuł — ale się to nigdy do niego nie przyjęło. Służył trochę wojskowo w brygadzie wielko-polskiej, zwano go nawet Panem Namiestnikiem, bo kilka tygodni urząd ten sprawował; ale to było pierwsze i ostatnie jego zobowiązanie się. Postrzegłszy że Pan Hetman wojska używa do spraw sejmikowych, zakręcił nosem i podał się o abszyt. Resztę życia zupełnie niezależny spędził najoryginalniej w świecie. Z większego majątku, który niewiedzieć jak stracił, została mu się sumka nie wielka, ulokowana u Potockich na piątym procencie, z której żył nic u nikogo nie prosząc, a że nadzwyczaj mało dla siebie potrzebował, bo się najprostszymi rzeczami obchodził, jeszcze mu z niej starczyło i na ciche dobre uczynki — które rozdzielał na pozór kapryśnie i najdziwaczniej. Nie mając domu, kąta i stałego przyparzyska nigdzie, mieszkiwał często w miasteczku, w klasztorze, najzwyczaj z zakonnikami chór i jutrznie odprawując i kontentując się refektarskiem jadłem, lub u krewnych Zawilskich i Pobiałów.

Lubiono go wszędzie, bo był wesół i niezawadny, nie potrzebował wiele, a że dziwaczył, to mu i dla wieku jego i dla wielkiej a znacznej pocziwości wybaczano. Długi czas przeżywszy w Rusi, nabył zwyczaju powtarzania przysłowiów ludu, z którymi bardzo mu było do twarzy, a miał ich zawsze pełne kieszenie.

- Weredyk niepohamowany, palił w oczy każdemu gorzką prawdę, byle się nadarzyła zręczność, a gdy się kto pogniewał, śmiejąc się i ruszając ramionami, kończył zawsze jednym: Koli moje ne w ład, to ja z swoim nazad ¹⁾).

Zresztą, nie mogąc nigdzie długo miejsca zagrzać, żeby mu gdzie najlepiej było, po niejakiem czasie wyruszał dalej i jechał gdzie go oczy uiosły. Do tych nieustannych podróży miał jednego silnego szkape, wózek zielono malowany i łomoczek — nie więcej.

Sługi nie potrzebował dowodząc zawsze, że my im, nie oni nam posługują, i mimo wieku doskonale się bez niego obchodził.

— Góra z górą! — zawołał wstając — a wszak to Pan Paweł! I gdzieżeś ty się u licha puścił, chłopcze, za ptasiem mlekiem, śpiewajacem drzewem, wodą żywiącą, czy zaklętą księżniczką? a to.... czasu żniw! Dobre pijanici i krapla ²⁾ — rad jestem że cię choć tu spotkałem.

— A! kochanego dziadunia — powtórzył Pan Paweł rozstawując ręce do uścisku. — Ale cóż tu dziadunio robi?

— Zachciałeś — choćby hirsze, aby insze ³⁾, ja się to już tak całe życie włóczę; a ty?

— A ja! — z uiejakiem wahaniem, odparł pan Paweł, widocznie zbierając się na niegotową odpowiedź.... ja — jadę do siostry.

— Jać to i bez ciebie wiem — rzekł Pan Dymitr — bo gdzieindziej nie prowadzi ta droga, tylko do Kohoży i do piekła — ale po co? Chleb iż, a prawdę riż ⁴⁾).

Tu właśnie był sęk, bo o projektach, ile ich było, wcale nie miał ochoty mówić pan Paweł, zmieszał się jak nieprzywykły do matactwa i śmiejąc się odparł powoli:

¹⁾ Kiedy moje nie w smak, to ja z swoim nazad.

²⁾ Dobrą pijakowi i kropelka.

³⁾ Choćby gorzej byle inaczej.

⁴⁾ Chleb jedz, prawdę rznij.

— Ot, stęskniłem się do nich, a że w domu nie tak bardzo byłem zajęty — wybrałem się.

Dziadunio głową potrząsał i palcem na nosie pogroził panu Pawłowi.

— O, że kłamiesz to kłamiesz duszeńko! — rzekł śmiejąc się także — ale — jak sobi chcesz. Koli moje ne w ład, to ja z swoim nazad. Pytać się więcej nie będę; powiem ci tylko serdeńko, że kiedy kto nie może powiedzieć co myśli, to albo źle myśli i wstyda się, albo niedowierza.... Ale Bóg z tobą. — A jakże tam zdrowie twoje, żonki, dziecka waszego i pocziwego mego Hieronima (Hieronim był ulubieńcem starego, i do niego z całej rodziny najwięcej przywiązał się Dymitr). — Jak zdrowie Hieronima i jego drobiu.... a Antoniostwo czy zawsze koty drą? Siadaj i gadaj, a nie kłam kiedy możesz.

Pan Paweł zarumieniony usiadł obok starego na kłodzie, kazał koniom do karczmy zajść i wesola rozpoczęła się gawędka.

— A Dziadunio zkąd?

— Oczewiście z Rohoży; z kądże się tędy jedzie? Siedziałem u nich długo — sim lit i pamiatit¹⁾.

— Co! zapewne ze trzy dni! — rozśmiał się Paweł.

— A gdzie tam! kilka tygodni czy coś — uareszcie sumienie mnie ruszyło, że ich tak długo objadam, wyjechałem hde oczy nesut²⁾. Ale to powiem Waszeczci, droga zaklęta.....

— E! Dziadunio już do każdej przywykł, bo w jego życiu więcej podobno podróży niż pobytu; nigdzie długo miejsca nie zagrzeje....

— No! to prawda kochanku — tri dni zachodu, a deń prazniku³⁾, ale to tak całe życie ludzkie mospaneknu; więcej zachodu niż prazników, a i po tych to cię jeszcze głowa boli! No, mówno jak się

¹⁾ Siedm lat w pamięci niema.

²⁾ Gdzie oczy poniosą.

³⁾ Trzy dni przygotowań, a jeden dzień święta.

tam macie? jak się wam powodzi, i o kochanym Hieronimie.

— Wszyscy dzięki Bogu zdrowi, ojciec, matka, moi, i Hieronim także.

— Ale jak tam temu biedakowi się powodzi, bo to coś oni jak to małżeństwo — Ożenysia, ne żury-sia, pijde ty rukoju; żonka pijde za bor-szczom, a ty za mukoju ¹⁾). Niebożęta ubodzy bardzo, a dzieci kupa.

— Prawda! nie wiemy czemu to przypisać — obojętniej odrzekł Paweł — równeśmy schedy wzięli, a pan Hieronim dziś o trzech chłopkach, a o czworgu dzieci. I nie wiedzieć jak, boć nie przehulał i pracował; jam sobie prędzej trochę pozwolił, żona mnie też nie bardzo zbogaciła, a dziś on stracił, ja we dwoje prawie przyrobiłem.

— Pribud szczastje, rozum bude ²⁾ — odparł stary wzdychając — ty masz, on niema szczęścia — ot cały sekret.... Ale Bóg go może pocieszyć, bo wart.... Ciężkież to życie nie jemu jednemu, wszystkim; ubóstwo nie tak straszne jak się zdaje.... Wowk ne takij łychij, jak straszny ³⁾), toż i z ubóstwem, mój Pawle.

— Zastanę siostkę? — spytał Paweł chcąc rozmowę odwrócić.

— Ba! a gdzieżby się podziała — z Rohoży jedna tylko droga i tę oni nie często przebywają. Siedzą w domu cicho i dość im siebie, a Generałowa bawi ich opowiadaniem, które nawet dzieci na pamięć umieją.

Tak gawędząc do późna z Dziaduniem, weselej niż się spodziewał przebył wieczór pan Paweł; — stary go macał z różnych stron, żeby się coś o celu podróży podejrzanym dowiedzieć.

¹⁾ Ożeń się, nie turbuj się, pójdzie ci ręka; żona pójdzie za kwasem, a ty za mąką.

²⁾ Przybądź szczęście, rozum będzie.

³⁾ Wilk nie tak zły, jak straszny.

— Mój Pawełku — rzekł nakoniec, wejrzenie rzucając nań znaczące — a co słyhać o Kasztelanicu? Wszak to tam miała być Hieronimowa?

Tem pytaniem z nagłą rzuconem tak się zmieszał pan Paweł, że się aż zarumienił; widoczne to na twarzy niedouczzonego jeszcze spekulanta stropienie, nie uszło oka starca; ruszył ramionami, szepnął po cichu do siebie, pewnie jakieś przysłowie i począł dalej:

— Nie słyszałeś, czy jeździła, i z czem powróciła? Mnie się coś zdaje — ne bude z toj kozy mięsa ¹⁾.

Utaić się nie było podobna; zresztą, byłby się stary gdzieindziej dowiedział, i pan Paweł rad nie rad, wiele rzeczy z lekka tylko natracając, powiedział po trosze jak było.

Stary patrzył na niego jak w tęczę, myślał, zachmurzył się, gdy przyszło do poselstwa pana Samuela, o którym nadmienić wypadło.

— Hody — rzekł wże wse znaju ²⁾, nawet po co ty się telepiesz po brodach do Rohoży. Ne bude z toj kuźni hroszy ³⁾, kochanku... ty już coś spekulujesz!! i myślisz... Za tym Boże, chto koho zmoże ⁴⁾. Ale wy wiele was jest, nie znacie Kasztelanica, jak ja go od dzieciństwa znam... wiem ja lepiej od was całe jego życie! Myślicie go ułować, a on was wszystkich szuka! Nadijajw sia Did na obid, ta poszow spaty ne iwszy ⁵⁾; nie rachujcie na jego skarby, bo się oszukacie.

Pan Paweł stanął osłupiały i zmieszany, stary się rozśmiał:

— Kto sije, toj sia nadyje ⁶⁾ — dodał — jak sobie chcecie, a co mnie do tego? Widzę przez skórę, że są projekta, ale daremne.

¹⁾ Z tej kozy mięsa nie będzie.

²⁾ Dosyć, wszystko wiem.

³⁾ Nie będzie z tej kuźni pieniędzy.

⁴⁾ Za tym Bóg, kto kogo zniósł.

⁵⁾ Spodziewał się dziad obiadu, poszedł spać nie jadłszy.

⁶⁾ Kto siewa, ten się spodziewa.

— Ale Dziaduniu — przerwał po namyśle pan Paweł — co tu się taić; naturalnie, że każdy z nas chciałby mieć więcej, mnie i Hieronimowi by się zdało — to nic dziwnego!

— A nadewszystko waszeci! nieprawdaż? Oj! oj! Panie Pawle, waści Bóg stworzył na spekulacje, ale to nieciekawy chleb! I nie twojej głowy na to potrzeba. Kołyś ne pyroh, ne pyrożysia ¹⁾). Tobie widzę się marzy wcześniej z siostrą się ułożyć i zbyć ją pism swędem, bratu zatkać gębę byle czem; zresztą familji siako tako, a samemu zgarnąć ile można...

— Ale Dziaduniu! — zaprotestował mocno pomieszany pan Paweł.

— Co to za ale! Czy to ja Waści nie znam? A z Hieronimem o posag Teklusi, jak to było? On ci go zapłacił nieborak, a tyś się z niego sianem wykrecił, nieprawdaż? Koły nie wykinuw, to wypchaw ²⁾), a jemu zawsze krzywda!

Pan Paweł oczy spuścił.

— A! to moje szczęście! — odparł powoli.

— Pamiętajno tylko Waszec na to, że skupy zbieraje, a czort kałytku szyje ³⁾). Jest prawda i drugie przysłowie: że skupy ne głupy ⁴⁾ ba! ale jest i trzecie; Za tym Boże kto koho zmoże! które raczej grozi niż pociesza; i czwarte: Ot tobi Hapko knysz ⁵⁾), które święty Piotr powie może nie jednemu na tantym świecie, jak się będzie dobijał do raju.

— Ale zkądże u Boga — przestraszony zawołał Paweł — o moich myślach, które mi w głowie nie postaly, może pan Dymitr tak wiedzieć?

— A! wże Pan ⁶⁾ — podchwycił stary śmiejąc się — w Wulo! zkąd! ot! żartowałem kiedy chcesz,

¹⁾ Kiedyś nie pirog, nie udawaj piroga.

²⁾ Nie wyrzucił, ale wypchnął (nie kijem, to pałką).

³⁾ Skupy zbiera, djabeł worek szyje.

⁴⁾ Skupy nie głupi.

⁵⁾ Ot tobie Hapko knysz.

⁶⁾ Już pan.

i po wszystkim — nie posądzam cię wcale żebyś ty był — brat sobi rad ¹⁾).

Paweł z zaperzenia i gniewu niemal przeszedł w zamyslenie, ale pozostał chmurny i niespokojny.

Dziadunio zmienił rozmowę; widać było jednak z jego wzroku i pofałdowanego czoła, że się czegoś namyślał, jakby chciał rozbić mgłę, którą miał przed sobą. Już po wieczery pan Paweł, którego to niepokoiło z czym się stary Dymitr wygadał, jakby mimowolnie że lepiej nad wszystkich zna przeszłe życie Kasztelanica, usiłował na próżno zwrócić ku temu przedmiotowi obojętną rozmowę, ale na pierwszy wyraz, który mógł do niej prowadzić, Dziadunio z uśmiechem przenikliwym mu przerwał:

— Widzę kochanku, że chciałbyś co wiedzieć o Kasztelanicu? Oj! panie Pawle. Kołys ne pip, ne ubirajsia w rizy ²⁾ — co tobie porywać się na niego! żaden z was nie da mu rady! za to ręczę. Myślicie jak sobie po nim skórę zabezpieczyć, ale nie wasza to głowa zrobić! Jedź Waś do pana Piotra, poradź się z nim, to uczciwy człowiek i głowa dobra; niech on wezwie co lepszego z naszych, nie mijając Pobiaków, bo i to krew nasza, a Tomasz tegi chłopiec — dopiero możecie co obmyśleć — choć i tak — Ne skuby poki nie złowisz ³⁾, wątpię żeby z tego co było. Waś sam i Hieronim poczciwy nic nie zrobicie; i Jegomość darmo sobie głowy nie łam spekulacjami! Kasztelanica nie znacie, on by was wszystkich sprzedał; długoby o tem mówić — i nie wszystko mam ochotę. — W dziesięciu go nie zmożecie ani siłą, ani chytrością, kiedy sobie co postanowi. Ot tak! a teraz spać! — dodał wstając i idąc do swojego wózka.

— Choc z ne pyszno, ale zatyszno ⁴⁾ — rzekł oglądając się po karczmie — dobranoc Waści! dobranoc.

¹⁾ Brat sobie rad.

²⁾ Kiedyś nie ksiądz, nie wkładaj sutany.

³⁾ Nie skab, aż złapiesz.

⁴⁾ Nie wspaniale, a wygodnie.

Życzenie to było próżne, bo panu Pawłowi słowa te nadto pomieszały szyk jego projektów, żeby mógł smaczno zasnąć.

Pan Dymitr układał się spać na swoim wózku Paweł w sianie, i tak krótką noc letnią przebyli. Naza-jutrz rano, po grzaniem piwku, stary sam sobie konia założył, drogę przeżegnał, kilką jeszcze przysłowiami Pawła pobłogosławił, i udał się w swoją stronę, zmierzając jak mówił, ku Horoszkom do Hieronima.

Nigdy pan Paweł z tym swoim krewnym bardzo serdecznie nie był, bo go to mocno dojmowało, że Hieronim w jego sercu pierwsze miał miejsce. Nimby przyszła owa zawołana sukcesja po Kasztelanicu, zdawałoby się myślał, i sumka Dymitra, którego posadzono, że ją powolną oszczędnością podwoić musiał, i liczono do czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy: panu Pawłowi rozłakomionemu na grosze już i tego żal było. Przeczował, że mu to Hieronim podchwycić może, i powoli jadąc dalej, zbity z rachuby na spadek Kasztelanica, układał sobie projekt prawnego poszukiwania funduszków po Dziaduniu, jako po rodzonym babki bracie, jeśliby je kto przed nim zagarnął.

Tak między dwoma sperandami kołysany, jechał dalej nie w najlepszym humorze nasz podróżny, coraz puściejszym jeśli być może krajem. Pola tylko były częstsze — ale jakie pola! piasek poprzesypany w zagony, rzadziutkiem zbożem porosły, nad drogą smutne dziewanny, gdzie niegdzie wśród zagonów stara sosna i barć na niej, pamiątka po wykarcozowanym lesie, a w dali czarnym pasem dokoła, puszcze i puszcze. Niekiedy wśród tych pól, wpadł wózek w rozjeżdżony dół i ciągnął się brodem pół mili, aż nareszcie w dali, wieczorem ukazało się Rohoże.

Oku znużonemu widokiem pustyni, każda osada wyda się piękną, bo oznajmuje ludzi — tej nie brakło na pewnym wdzięku i charakterze smutno-poważnym.

Dwór wyglądał już zdala ogromnym wieńcem zielonych drzew spleciony, z cerkwią trzy-kopulną, w tym stylu właściwym starym Wołynia i Ukrainy drewnia-

nym budowom tego rodzaju, któren tyle ma wdzięku; — z zabudowaniami szeroko i zamaszysto rozrzuconemi, po których znać było, że tu ani ziemi, ani drzewa nie brakło. Wieś ogromna sunęła się daleko po płaszczyźnie i nikła za drzewami, które ją maily. Środkiem widać było pływący strumień przez mokrą i kępiastą łąkę, pod dworem zebrany wielki staw trzciną i sitowiem zarosły. Smutne to było jak okolica, która do tego miejsca przygotowywała, ale poważne i wielkich rozmiarów.

Paweł wjechał nareszcie w wioskę i ciągnął się nią do nudzenia; była bowiem niezmiernie długa i rozsiadła się sobie wygodnie, dzieląc na kilka części porzucenemi wśród zabudowań niedogodnemi gruntu szmatami. Chaty były jak w Samej czarne, drewniane, z trąbami na dachach i plecionemi dymnikami, ale porządniejsze i większe. W pośrodku stała karczma, co w potrzebie objąć mogła połowę ludności. z bierwiu sosnowych sklecona, wyglądała z frontu na austerję, a w środku była po prostu brudną, jak wszystkie inne.

Nareszcie ukazał się i dwór, ze staroświeckimi jodłami wysadzonym ogrodem — drewniany, długi, niepozorny, a tak w drzewa zasłonięty, tak zaciszno stojący, iż wejrzawszy nań, od razu poczuć musiałeś spokój i ciszę, której mieszkający tu używali. Równie stary lamus, oficyna potężna i muóstwo różnych przybudówek otaczało go, jak dworzanie pana. Dziedzińiec wychodzący bokiem na staw tak był obszerny jak wszystko w Rohozach — ale około niego nieznać było starania o upiększenia — czysto tylko i bardzo po prostu. Stado psów różnego wieku, szerści i wzrostu, powitało przyjeżdżającego od bramy wiodąc do ganku, a że gość był rzadkiem zjawiskiem, co żyło wyskoczyło naprzeciw niemu ze wszystkich dworu kryjówek: gospodarz dysponujący roboczną, pani dysponująca wieczerzą, pani Pachniewiczowa z tabakierką w ręku i generałem na ustach, dzieci z biczycami i zabawkami, słudzy każdy z godłem swego zajęcia, jeden z talerzem, drugi z karafką, trzeci ze szczypcami od samowara, czwarty

z rondlem, a kuchty i dziewczęta z kurą nie oskubaną i żelazkiem od prasowania. Psy njadały zajadle wiodąc pana Pawła, a gdy wysiadł oskoczyły go powitaniem razem ze Żmurą, siostrą i dziećmi.

Żmura ex-kapitan od jazdy, służył bowiem w huzarach, był słusznego wzrostu i niedawno jeszcze mógł uchodzić za bardzo pięknego mężczyznę — ciemnej płci, włosów i oczu, ogorzały; w postawie, w ruchu, w głosie rozkazującym wydawał się z przywykaniem do służby, której ślady zostały w nim na zawsze; dom także dowodził, że miłość porządku wyniósł z wojska, bo nadzwyczajna czystość i ład panowały wszędzie. Włos porzadły na głowie, początki łysiny, zęby po drodze życia pogubione, odjęły mu wiele męskiego wdzięku, którym mógł dawniej się odznaczać; zostały wszakże przy resztkach młodości siły nią nie zużyte jeszcze, choć po huzarsku szastał niemi. Czarne jego oko nadzwyczaj błyszczące, brew często marszcząca się i ściągająca groźnie na pozór, nos orli z rozdetemi nozdrzami, tłómaczyły żywą w nim jeszcze grę uczucia i gwałtowne poruszenia duszy, co się hamować nie zwykła. Miał on sobie krótko z huzarską zrobioną tataratkę. Spodnie obcisłe i buty gospodarsko-mysliwskie, nie strojno ale czysto i opięto wyglądając. Wszystkim jego zmianom humoru i twarzy towarzyszyło niemiłosierne targanie, zwijanie i układanie wąsów, które ciągle miał w rękę, poprawując je co chwila. Po tych wąsach poznawali domowi co czuł, i jakich był usposobień pan Żmura; żona nawet, posłuszne i łagodne stworzenie, często do niego z prośbą przychodząc, wprzód na jego wąsy, niżeli w oczy mu spozierała. Stan ich był doskonałym zwierciadłem stanu duszy pana Kapitana.

Tekla była istotą łagodną, cichą, powolną, pracowitą, pełną uczucia i całą duszą kobietą. Piękne jeszcze niebieskie jej oczy błyszczały wśród owalu twarzy doskonałego zarysu, nosek i usta kształtne, całość tworzyły wdzięczną, uśmiechnioną łagodnie i miłą. Trochę znużenia, trochę w licu żółtości, przymknienie powiek, lekkie ust zaciśnienie, mówiły o wieku Tekli, której

kształtna kibić nie jeszcze ze swej dawnej nie straciła zgrabności.

Wyraz ogólny panujący fizjognomji jej był pełen niewyczerpanej cierpliwości i dobroci.

Wiele też obu tych cnót położenie jej wymagało. Pan Żmura, jednak, niegdyś pieszczoch losu, niezwykle do ulegania, przekonany, że wszystko przywidzieniom i kaprysom mężczyzny ugiąć się było powinno—wziął żonę umyślnie ubogą, bo wiedział może, iż inna życia by z nim nie zniosła, tak chwilami bywało ciężkie, tak często buchał z niego gniew bezprzyczynny, tak żelazna wola wywierata się bez względu na wrażenie, jakie czyniła na otaczających. Tekla kochała męża, a Bóg ją obdarzył skarbem wytrwania i łagodności niewyczerpanym; znosiła więc te chwile czarne z poddaniem się i pokorą dziecięcia. Nie próbując go poprawić nawet, usiłowała rozbroić dobrocią, i często się to jej udawało.

Matka rozpadająca się nad dziećmi, gospodyni w domu nie spracowana, pocieszała się pracą i przywiązaniem, gdy ją zbyt wzruszył i zmartwił jaki gniewny wybuch mężowski. Żmura najczęściej po tej burzy sam przeproszał żonę, łajał siebie, zaklinał się że raz ostatni tak poddał passji, ale nazajutrz robił toż samo. Najlepszym jednak dowodem nieszkodliwości tych wybuchów było, że go ludzie mimo popędliwości kochali i większa ich część życie by była dała za nią. Jak żywy do gniewu, tak był szparki do dobrego i nagradzał po królewsku; prawda, że niekiedy karał srodze, ale sprawiedliwie. Drżało co żyło na jego skinienie, lecz uśmiech rozpromieniał wszystkich. Życie Kapitana upływało nadzwyczaj jednostajnie, powolnie, ustronnie, wśród łowów, gospodarki, towarzystwa domowych, czasem rzadkiej rozrywki w karty, do których na szczęście, towarzyszków tu nie miał, bo grałby zapamiętale. Książkę rzadko wziął w rękę, bo i czasu na to nie stawało i ochoty mu brakło; bardzo znużony bawił się czasem kalendarzem, literaturą nieszkodliwą fabryki Berdyczowskiej.

Obok dwojga Żmurów, stała pani Generalowa Pachniewiczowa, siostra starsza gospodarza, wysoka, sucha, czarna, imponującego oblicza kobieta. Jej twarz opalona, pomarszczona, sfaldowana, oko oprawne w powiekę wypukłą, nos orli jak u brata, broda spiczasta i postawa generalska, nie potrzebowały komentarza o charakterze. Nieco tej gwałtowności, którą się brat odznaczał, miała i ona w udziale, ale u niej lepiej hamowana nie objawiała się nagłymi wybuchami; przerodziła się w upór tylko i chęć panowania. A że upór żelazny większe od gniewu skutki, stalej działając, wywiera, pani Generalowa nad bratem i co było w domu panowała — i za to ją uroczyście nienawidzono. Kwaśna, cierpka, zawsze wszystkiemu nie rada, podejrzliwa, gderliwa, dojadła bez miłosierdzia otaczającym, którzy je znosili jak plagę Egipską — ale że miała swą dobrą stronę czasem i gdy się jej kto zasłużył pokorą, pomagała silnie, byli tacy co umiejąc jej użyć, zdobyli się i na przywiązanie ku niej. Wieleż to charakterów podobnych, ciężkich w pożyciu a w gruncie dobrych, zatruwa życie, choć wzbudza szacunek? Taką właśnie była pani Generalowa, której panowanie w Rokoży byłoby nie do zniesienia, gdyby nie to, że serdecznie kochała dzieci, przywiązana była do rodziców, i wśród gderania, kłótni, wymówek, dąsów, każdemu pomagała na przekor drugim. Ona utrzymywała podczas częstych wycieczek z domu Kapitana, rygor i porządek między ludźmi, władała wielką częścią gospodarstwa kobiecego, które Tekla chętnie na ręce jej zdawała; oprócz tego w nieporozumieniach małżeńskich — do których Tekla nigdy sama powodu nie dała — Generalowa ułatwiała zgodę, wręcz bratu i bratowej mówiąc słowa prawdy, co jej dogadzało, bo mogła pogdować. — Sama w najściślejszej żyła przyjaźni z Teklą, którą kierowała, prostowała, nauczała nieustannie, nudziła bez miary, ale prawdziwie kochała przytem; z bratem, pomimo przywiązania i wdzięczności jakie miała dla niego, czasem przychodziło do okropnych kłótni. Przelamana Generalowa rozplakała się, to był

sygnał przeproszenia. Żmura zobaczywszy łyzy, klękał i prosił o przebaczenie, na czem się wszystko regularnie kończyło.

Pani Pachniewiczowa, której mąż niegdy major, potem podpułkownik w ulanach, wreszcie pułkownikiem zabity w kampanii tureckiej, stracił posag cały, — po jego śmierci ze swoją małą pensyjką wdową przyjechała do brata i u niego osiadła. Niemając dzieci, przybrała sobie braterskie, a w tem odludziu i ciszy, po sto razy opowiadając wypadki swojego życia, pewna była zawsze powolnego ucha towarzystwa, nadużywając w tem niekiedy jego cierpliwości.

Dwoje dzieci, stary kapelan, ksiądz Mosiewicz, niemal ślepy, który oddalonym o mil cztery najszkaradniej drogi od parafji, mszę w kapliczce odprawiał, resztę zaś czasu muzyką się zabawiał i dzieci na klawikorcie uczył — składali ostatek nielicznej gromadki.

Wszystko to ile ich było, wytoczyło się w ganek na powitanie gościa — tu wrzawa ludzi, hałas dzieci, szczekanie psów, śmiech donośny pana Żmury, razem otoczyły pana Pawła, który nie wiedział co z sobą począć, tak nagle przejście z ciszy pustynnej do gwaru tego odrzuciło go na chwilę.

Szczęściem, siostra przybiegła go pierwsza ucałować, Żmura ścisnął jego rękę, pani Generałowa podała mu swoje wychudłe palce do uroczystego przywitania, podług starej metody, a ksiądz Mosiewicz, wypytawszy się kto przyjechał, skłonił się z cichem — upadam do nóg!

Dzieci tymczasem chórem wołały; — Wujaszek! wujaszek! Tylko co Dziadunio wyjechał, a oto i wujaszek. Jak się masz wujaszku!

Wszyscy wtoczyli się wreszcie do pokoju, serdecznie witając i dziękując gościowi; bo Żmura i jego rodzina dla tych dróg szkaradnych i kraju co go od reszty świata oddzielił — niezmiernie rzadko widując ludzi, każdego przyjmował jak zbawcę od nudów i wszystkim był wdzięczen jak za łaskę, za odwiedzinę Rohoży.

Na ten raz jednak njrzał pan Paweł, nie bez niepokoju i zdziwienia pomimo wesołości na twarzy szwagra, jakiś przelotny cień nienkontentowania, na wstępie mu niezwykle... Co temu była za przyczyna, ani się śmiał domyślać; wziął to za chmurkę po burzy domowej, po sporze małżeńskim.

Z pierwszych słów jednak przekonał się zaraz, że Żmura coś osobiście czuł do niego, i zimniejszym okazywał się niż kiedy, z intencją wyraźną.

Rozmowa w początku toczyła się dosyć obojętna; aż gdy o wszystkich i o wszystko wypytywać poczęto, wypadło nadmienić i o Hieronimie, o podróży żony jego do Kasztelanica, o której zresztą już pan Żmura pokazał się wprzód uwiadomiony, ukośnie spojrzął na pana Pawła gospodarz i rzekł:

— Biedny Hieronim, biedny Hieronim!

To żalenie nie w smak poszło Pawłowi.

— Ale mówcież o Kasztelanicu — dodał Żmura — ja tam o wasze tę successję nie wiele dbam, choćby mi się także dla dzieci przydała; ale mi chodzi najbardziej o Hieronima, jemu to najgwałtowniej potrzebne.

Coraz bardziej tem nastającym ubolewaniem nad losem brata, uczuł się dotknięty pan Paweł, a widząc że to są pokryte jakieś wymówki, rzekł z cicha:

— Ale kochany szwagrze, cóżośmy temu winni, że Hieronim traci i traci?

— Alboż mówilem cośmy winni? — zapytał Żmura spoglądając na siostrę.

Generałowa zażyła tabaki, zacinając usta i z lekka potrząsając głową, a Tekla spuściła oczy.

— Mów o Kasztelanicu — rzekł Żmura — to ciekawa historia; cóż tam o nim słyhać?

Wszyscy się zsmęli; Paweł począł ostrożnie, ale gdy przyszło do majątku, wziął się na potrzebny fortel i niedowierzanie w wielką jego fortunę okazywać począł.

— Te successje — rzekł — to zwykle wielkie bańki mydlane; kłopotu może być wiele a korzyści mało; majątek na oko duży, ale kto tam wie dokładniej co

na nim jest. Skąpstwo nawet jego, co sobie nie zwykł na nie żałować dowodzi nie najlepszych interesów...

Żmura przerwał gorąco:

— E! to balaństwo bracie! Któż ci to tego nagadał? wszyscy wiedzą że to człowiek miljonowy i kapitalista!

— Świeżo przecie i Hieronimowa wróciła od niego z niczem, i Sobocki, którego żony brat tam siedzi, toż samo przedemną utrzymywał, że nie tak bogaty jak ludzie sądzą.

— Sobocki! — pokręcił głową Kapitan — jam nie bardzo tęgi do papieru i rachunku, bo wszelkie sprawy przywykłem szablą i słowem kończyć — ale na Sobockiego spojrzawszy czuję, że to szelma. — On ci to mówił nie bez celu... o! frant!

Pan Paweł uczuł, że się zarumienił.

— Puszczają fusa — dodał Żmura — samiby to sobie przywłaszczyli jakim sposobem, a nas uspili... nie wierz temu — lisy! lisy!

Nie można już było nie wspomnieć o panu Samuelu i jego żądaniu; zaczął więc Paweł i o tem, przyznając się już, po pierwszym niepowodzeniu w kłanstwie, że do niego jechał po radę.

— Róbcie sobie co chcecie — po namyśle odparł Kapitan — to do mnie nie należy; jam do waszej familji tylko przyczepiony, gdy będzie co brać, to mi dacie, a radzić wam, nie moja rzecz. — Teklusi, każ podawać samowar i pluźmy na te interesa. A teraz panie Pawle, mów mi co użales i jak u ciebie gospodarstwo idzie?

Wielki ciężar spadł z serca panu Pawłowi; widział bowiem ze wszystkiego, że tu jak zawsze łatwa będzie sprawa ze szwagrem, i zbył się rozmowy przykroj, w której że dosyć nieszczęśliwie pokłamywał, niedorozumiewał, a jeszcze go to kosztowało, bo był nieprzywykły; rad ją był jak najprędzej skończyć.

Pani Pachniewiczowa, którą bolało, że na tak długo od niej oderwaną została nwaga, odchrząknęła, po-

dała tabaczki przybyłemu i poczęła w bardzo oklepany sposób:

— W roku 1815, mój mąż, były generał... miał brać spadek po litewskim Pachniewicz, bogatym obywatelu w Mińskim... Otóż powiem Asińdziejowi.

— Nie wziął! — przerwał brat — to już Paweł słyszał.

— Jak to? czyż mu to opowiadałam? — zdziwiona i kwaśno spoglądając na obu spytała Generalowa, z wyrzutem bratu widocznym.

— A! czyż raz, kochana siostró.

— Widzę tedy, że pamięć tracę.

Nadeszła Tekla, poczynając rozporządzać herbatą, którą wnoszono; ale Generalowa nienkontentowana pomściła się na niej, odsuwając ją od pełnienia obowiązków gospodyni.

— Ty, moja kochana Teklusiu, lepiej zapewne jak ja potrafisz brata zabawić, a ja lepiej może urządzię herbatę...

— Samowar kipi! — przerwał brat nieustannie siostrę w ten sposób drażniący.

Odeszła wreszcie pani Pachniewiczowa, kwaśne i gniewne tylko na brata rzucając spojrzenie.

Reszta wieczora zeszła na rozmowie długiej o gospodarstwo, łowach, domu, dzieciach i familji. Żmura, jak to z początku już nważał pan Paweł, choć grzeczny, zimny był, a nawet szczypiący niekiedy. Wejście tylko Tekli zdawało się go wstrzymywać od jakiegoś wybuchu. — Generalowa po kilkakroć rozpoczynała swe opowiadania, o kampanji tureckiej, o pobycie w Tule, o spadku po Pachniewiczach Mińskich, o swej podróży do Odessy i t. d. i t. d. ale jej brat nigdy nie porządnie dokończyć nie dał, przypominając że to już słyszeli. Bawiono się tak do dziesiątej, a powtarzane ziewanie Kapitana, który zwykł był kłaść się o dziewiątej punktualnie jeśli w karty nie grał, rozespanie dzieci przyzwyczajonych do snu wczesnego i głośne „dobranoc“ księdza Mosiewicza, oznajmiły nieco

niespokojnemu Pawłowi, że czas pójść uaprzeciw, do wyznaczonego pokoju.

Po pożegnaniu, Żmura wziął za czapkę i przygotował się go odprowadzić.

— Tobie późno już, moje serce — odezwała się Tekla — ja bratu pokój jego pokażę.

— Nie — ty idź spać z dziećmi; ja na chwilę z nim pójdę, mamy z sobą do pomówienia.

— To jutroby może! — błagała żona chwytając męża za rękę.

— Lepiej dziś, jutro już będziemy wolni.

Wejrzeniem tylko usiłowała jeszcze uprosić męża, ale daremnie. Pan Paweł niespokojny poszedł z nim, oglądając się na biedną i widocznie niespokojną siostrę.

Takie jest nawyknięcie Poleszuków do ognia, że w pokoju pana Pawła, pomimo lata, zastali już w kominiu płonącą ogromną olchę. Żmura milezący stanął przy kominie i grzał się machinalnie, nałogowie, zdając się oczekiwać na rozejście ludzi. Gdy sługa się wyniósł, wyjrzał za nim, wyprostował się jak struna i poszedł do pana Pawła z twarzą, która gotowość do rozpoczęcia ważnej rozmowy zwiastowała.

— Wiesz mój Pawle — rzekł — że ja lubię wszystko kończyć po żołniersku; u mnie co w sercu to na języku, jestem gorączka.....

— No? ale coś możesz mieć do mnie? — z nieśmiałym wejrzeniem i uśmiechem rzekł Paweł, usiłując nie podlewać oliwy do ogniska.

— Miałem cię i mam jeszcze za uczciwego człowieka — ciągnął dalej Żmura — ale mi się musisz wytłómaczyć z tego, co zrobiłeś z Hieronimem.

— Ja? z Hieronimem? a cóżem ja mógł z nim zrobić?

— Posłuchaj naprzód, potem się wytłómaczysz. Wiesz że ci posag Tekli tak jak darował cały, bom z niego pokwitował, nic prawie nie wziąwszy... Czyś ty myślał że ja to dla ciebie tylko zrobiłem?

— A dla kogoż? — spytał Paweł zacinając się.

— Już ciż pozwól, że wybierając z dwóch, uczyniłbym to raczej dla uboższego z was, a jeśli nie, to przynajmniej dla obu. Hieronim ma dzieci czworo, a ty jedno, on swoje stracił, a tyś od niego większą część jego schedy nabył.

Pau Paweł się namarszczył.

— Mój bracie — rzekł — za twoją.... powolność, bardzo ci wdzięczen byłem i jestem, ale czyżeś mi mówił, że to uczyniłeś dla nas obu?

— Zdawało mi się, że tego i mówić nie potrzeba.

— A któż ci zresztą powiedział, że to sobie sam przywłaszczyl?

— A! u stu katów! tego mi nie zaprzeczysz! — gwałtownie zagrzmiął Żmura..... Dziadunio to wie najlepiej; rozmówcie się z nim, on mi to mówił.

— Ale czy Dziadunio wie, jakem ja od Hieronima nabył?

Oczy pawa Pawła z wielkiego strachu, zasłży mgłą fałszu — chciwość zagłuszała w nim sumienie; powoli, powoli uznawał niezbędną potrzebę wyklamania się, bo mu się chciało w dodatku za pocziwego uchodzić; czuł jeszcze że uim był być powinien.

— Jakto? jakżeś nabywał? — zapytał Żmura.

— Nabyłem drogo, i nie chcąc ani upokarzać Hieronima, ani się z nim przed światem chwalić (choć dziś muszę kiedy mi takie czynisz zarzuty) — potajemnie, nieznacznie wynagrodziłem go umyślnie, wyuagrodziłem sumiennie. Ale to wór dziurawy... traci i traci, a jaż temu co winien? — skromnie dokończył Paweł, i spuścił głowę źle udając smutek.

— A! jeśli tak! — przerwał Żmura gorąco — daruj! daruj! niech cię uściskam. Pocziwy jesteś i delikatny.... takich ludzi lubię! Hej! Tomek — zawołał do sługi nadchodzącego — szampana..... wypijemy twoje zdrowie Pawle i przepraszam cię za moje głupie niedowierzanie. Dziadunio wszystkiemu winien; pocziwe człeczysko, ale zgorzkł na starość i wszędzie widzi złe tylko!

Paweł rad, że się tak łatwo wykrecił, uśmiechnął się, przyrzekając w duchu, że nie prędko znów do Rohoży zawita.

— Czyż ty nie znasz jeszcze Dziadunia — odpowiedział — i Hieronima.... Jeden traci do ostatka, drugi plecie co mu ślina do gęby przyuiesie, a w dodatku oba mnie nie lubią; ale to długoby o tem mówić. — O! ja jeden wiem jak mi Hieronima żal — ale na to rady niema; to człowiek zginiony i dzieci pogubi.

— Cóż pije? w karty gra? buła czy próżnuje? waga bundus, kobieciarz, czy co u licha?

— Właśnie że nic z tego, ale jakiś w tem inkluz, że się go nic nie trzyma. Między nami mówiąc, coś musi być ukrytego.... gdybyś mu miljon dał, to je niewiedzieć jak straci.... wyraźny palec Boży, czy co....

— Szczerze bo mi go żal — westchnął Kapitan — no! pomyślimy o tem potem; daruj mi Pawle i twoje zdrowie!

Szampan wystrzelił głośno i główka Tekli ukazała się z za drzwi uchylonych.

— Oj! kochanie, już butelki!... będzie ci to szkodzić!

— Spać! spać! — zawołał Rotmistrz — dobranoc!

W tem pokazała się i pani Generalowa, straszna jak widmo, z rozpuszczonym siwym włosom i okularami w ręku, rezerwowy korpus Tekli.

— A! co to, to ślicznie!

— E! i pani tu!

— A! i ja tu.... nieboszczyk mój mąż....

— Pił także szampańskie — przerwał Żmura — co jest to jest, a butelkę wysuszym.

— A wiesz, że ci to na noc szkodzi.

— Tylko jedną — prosił Żmura — pod słowem!

— Dosyćby było pół! — odezwiała się Generalowa.

Żmura cierpiał, cierpiał, aż nareszcie wstał i poszedł ku drzwiom.

— A! idźcież baby do trzysta djabłów! — krzyknął — bo was powypędząć każę!

Tekla uciekła, Generałowa śmiało wystąpiła do boju, posuwając się w środek izby.

— A! to już tak!

— A kiedy tak, to co? — zapytał brat marszcząc się.

— To pójdę spać — urwała Pachniewiczowa — ale jutro się rozmówimy.

— O! jutro, jak sobie chcesz; tylko mi dziś daj pokój, dobranoc lubko, i drzwi zamykaj!

Kapitan trochę rozjątrzony, posłał zaraz po trzy jeszcze butelki, na złość babom, jak mówił i pili do drugiej wesoło, bo Paweł lubił hulankę, i nie mając już interesu na karku, zrecznie się do czasu wywinąwszy, chętnie placu dotrzymywał szwagrowi.

II.

W Roheży niedługo zabawił nasz podróżny; spieszył z poselstwem do stryja, ostatek nadziei swoich zawieśwszy do rozmówienia się z nim. Wmówił łatwo szwagrowi, że Hieronim wcale pokrzywdzony nie był. Dobroduszny i poczciwy Żmura wszystkiemu uwierzył, i poił zapamiętałe pana Pawła, usiłując go w ten sposób za chwilową swą żywość i podejrzenie przeprosić. Pawłowi zaś nie tyle jeszcze było pilno do Piotra, ile się obawiał Żmury, któremu śmiało w oczy spojrzeć ostatek niedopalonego wstydu nie dawał. Trzeciego więc dnia zaszła nejtyczanka, wśród opowiadania przy śniadaniu pani Generałowej o kampanji tureckiej, o Generale Dybiczu, i dziwnej śmierci jej męża, na próżno wszyscy usiłowali wstrzymać jeszcze gościa choćby na dzień jeden. Tekla żeby go widzieć, Żmura żeby go poić, Generałowa żeby mu opowiadać, bo domowi wszystko już słyszeli; pan Paweł wyżegnany najserdeczniej i wyprawiony z ogromnemi po staroświecku zapasami, które się nazajutrz popsuć miały, odjechał.

Do Zrębów pana Piotra było mil dziesięć; wyrachował sobie podróżny, że drugiego dnia ku wieczorowi tam stanie. Ale co innego tu było dojechać, a co innego do Rohoży. Nim zajedziemy do Zrębów i bliżej przypatrzym się panu Piotrowi Zawilskiemu, chcielibyśmy żeby czytelnicy nasi przypomnieli sobie cośmy im o nim w statystyce familji Zawilskich powiedzieli; jest to niezbędnie potrzebne do zrozumienia obrazu, który im mamy przedstawić. Pan Piotr, w skutek ożenienia i życia w wyższem towarzystwie, całkiem na innej był stopie. Jako stryja i powszechnie szanowanego ze swego charakteru człowieka, uależało go powitać, choć bliskiemu krewnemu, przebrawszy się we frak i o przyzwoitej godzinie. Pan Paweł w dodatku nieoswojony z państwem, jak je nazywał stryjowskiem, bał się go dosyć i okrutnie skrobał w głowę na samą myśl przebycia tam dni kilku. Dom to był nie w rodzaju tych do których przywykł uczęszczać, w nim muzyka, kwiaty, książki składały zabawę; rozmowa nawet chodziła ścieżkami, któremi trudno było za nią zdążyć panu Pawłowi, czuł z góry, że mu tam będzie ciężko i nudno. To też w miarę zbliżania się do Zrębów coraz posepniał podróżny, i nie ledwie miał ochotę się zawrócić. Jemu takie towarzystwo jak Żmury — kielich, hulka, poufała gawędka dobrze tłustością podlana. W potrzebie hołupiec na prędcę — w to graj! ale cicha, spokojna zabawa w pięknym salonie, wśród przedmiotów, których wdzięku i wartości pojąć nie mógł, była strasznie trudnem zadaniem.

Zręby stały w pośrodku dóbr państwa Piotrów, nad brzegiem spławnej rzeki, jednej z tych arteryj Wołynia, któremi płynie handel, pieniądze i życie. Była to rezydencja niemal wspaniała, murowany dom piętrowy, ogród nad brzegiem rzeki, pomysłu Miklera; w koło przepyszne budowy gospodarskie, młyny, browary, krupiarnie, owczarnie, murowane, nie tylko wygodne ale piękne.

Samotne miejsce było prześliczne, zdawało można je było wziąć za miasteczko, tak świeciło świeżemi murami,

tak pięknie błyszczał nad nim kościółek wdzięczny i kształtny, kapliczka i nowa wspaniała cerkiew na wzgórzu — kilka karczem, różne gospodarskie budynki, porozrzucane umiejętnie ubierały, wielkie dając wyobrażenie o smaku i troskliwości dziedziców. Długą ulicą w końcu której stał ów dwór, dojeżdżało się ku niemu; w prawo i w lewo, po za cienistemi kasztanami i lipami stały porządne domki oficjalistów i rezydentów, uśmiechnięte ogródkami kwiatowemi i tak ukryte w zieleni, jakby z przed oka uciekały umyślnie. Wielka murowana brama, na której leżały dwa w Polczy wyrobione z piaskowca lwy kolosalne, wiodła na dziedziniec pomarańczowemi drzewami, laurami, i granatami w lecie ostawiony. Wszystko aż do oficyn miało fizjonomję świeżą, czystą i wesolą; tu i owdzie przeglądała wyraźniej myśl upiększenia, dokonana zrećźnie i bez przesady.

Ganek jak zwykle podtrzymywały cztery olbrzymie kolumny, stanowiące facjatę pospolitą ale nie rażącą. Po za domem przesłiczny ogród, rozrostły i cienisty, na pochyłości ku rzece sadzony, sprowadzał aż ku jej wodom, kilka razy zakręcającym się wśród parku i tworzącym malownicze zakończenie. Po za rzeką widać było w całej swej krasie i przepychu, najpiękniejszy krajobraz Wołynia. Nie opodał od dworu, w jednym miejscu była wysepka szczęśliwie rzucona wśród wody, a do niej prowadził murowany wdzięcznego wzoru mostek, gdzie w pośród topoli, brzoź i złotych wierzb stał wysoki żelazny krzyż i ławka pod nim.

Taki to wszystko razem wzięte miało pozór dostatku i państwa, że pan Paweł, którego szlachecka zamożność drobno się strasznie i lichy wydawała przy Zrębach, uczuł nieco zazdrości a wielce zakłopotał jak się tu potrafi znaleźć. Był on parę razy u stryja, ale zawsze nie sam, w towarzystwie, na wielkich balach i zabawach, gdzie łatwo zginąć w tłumie; — teraz musiał się z nim i rodziną spotkać sam na sam, oko w oko.

Wprzód przebrawszy się w karczmie, gdzie się dowiedział, że wszyscy są w domu, nawet pan Stanisław już z Uniwersytetu na zawsze powrócił — Paweł, śmiało nadrabiając miną, kazał zajechać przed ganek i wszedł a raczej wpadł, udając zupełną pewność siebie, naprzód do kawiarni zamiast do salonu, potem już, gdy mu drzwi pokazano, z większą jeszcze fantazją i śmiałością otworzył drzwi do pokoju, w którym cała rodzina właśnie zgromadzona była za wielkim stołem przy owocach i herbacie.

Śliczny to był widok tego okrągłego stolika, w koło którego, wedle porównania Pisma Świętego, jak oliwki dojrzałe siedziały hoże dzieci przy poważnych rodzicach. Nic tu nie psuło miłego wrażenia, jakie czyniło to gronko rodziny, uśmiechnione szczęściem którego doznawało.

Pokój, którego okna wychodziły na ogród i rzekę, był skromny, ale miły, cały ubrany w kwiaty, pielęgnowane ręką kobiet, zastawiony krosienkami, zarzucony książkami i robotami. Dwa stoły, w dwóch przeciwnych jego końcach, kilkanaście krzeseł, dwie kanapy i dwa wielkie obrazy Suchodolskiego, wyobrażające Jana IIIgo pod Wiedniem i Władysława Jagiełłę pod Grünwaldem, zdobiły go tylko. Przy jednym z tych stołów, w chwili wejścia pana Pawła, siedzieli wszyscy. Na czele podstarzały już ale wspaniałej i narodowego typu twarzy mężczyzna, którego niebieskie oczy, słodczy pełne, usta kształtne i wyrazem dobroci namaszczone, wszystkie rysy regularne i pogodą jaśniejące, od razu za serce chwytały. Wysoki, silny, rumiany i zdrów, w siwych włosach zawczasie posrebrzonych, wyglądał jakby się przebrał, tak malinowy rumieniec zdrowia kwitł na jego policzkach, tak rzeźwo błyskało oko niezmarowanym życiem. Wyraz otwartości, wesela, pokoju, panował tej pięknej twarzy; rzekłbyś stary portret pradziadów, wyjęty z ramy i ożywiony czardzieja technieniem.

Obok równie piękna, bladawej ale marmurowej białości twarzy, pociągłych rysów, z piwnem okiem, spo-

zierać na świat jakoś tęskno i niespokojnie a łagodnie, siedziała czarno i skromnie ubrana kobieta, patrząc i napatrzeć się niemogąc ulubionych dzieci. Jej postać, wyraz, charakter miały coś idealnego — wszystko w niej wyjawiało namiętną matkę, co nie żyje tylko dziećmi, nie myśli tylko o nich. W spojrzeniu tęsknem, wdzięku pokornego słowa, czytałeś wielką, serdeczną, płonącą pobożność chrześciance.

Przy nich kwitły trzy córki prześliczne — różowe, usmiechnione, zręczne, wesolutkie a tak dziwnie dopełniające wdziękiem każdej właściwym obrazu całości, że się zdawało jakby je malarz wydumał, chcąc pokazać jedyną piękność w trzech jej objawach różnych, na wspólniej łodydze wykwitłych.

Staś, cienki, wysmukły blondynek, podobny do panienek, i jak panienska skromny, młody, ale z wybitniejszym piętnem woli na twarzy bardziej męskiej, to koło zamykał. Zaraz za nim, widocznie już obcy młody człowiek siedział z uszanowaniem nieoswojonego chłopaka, który się boi salonu i nie wie jak w nim usiąść.

Był to nbogi towarzysz uniwersytecki Stasia, Ksawery P..., którego Zawilski przybrał sobie za przyjaciela i przywiózł z sobą na wakacje. Nie było w tem najmniejszego niebezpieczeństwa dla sióstr Stasia, bo pan Ksawery miał pozór młodego niedźwiadka, niezgrabność starego pedanta, i zaprzątłony był sobą jak młodzik, który dźwigając swą przyszłość na ramionach, o niej tylko duma. Poczciwa jego fizjonomia, brzydka była jak maskaron bronzowy, ale się do niej łatwo było przyzwyczaić, bo wyrażała duszę szlachetną. Pauny się nim doskonale bawiły, chociaż od nich do swoich greckich książek uciekał, kierując się na hellonistę przebojem, i czytając właśnie djalo i Platona, z których najtrudniejszy w tej chwili głowę mu pilował.

Wśród śmiechu młodzieży nie posłyszano jak zatukotała bryczka pana Pawła, i postrzeżono go dopiero, gdy sztywny jak norymberska lalka, nakrochmalony jak stary kołnierzyk parałianego eleganta, wszedł,

nadymając się i pokrywając usilnie strach który go przejmował.

Pan Piotr pierwszy się zerwał, popatrzył chwilę i poznawszy go, zawołał:

— A! to Paweł! jakże się masz? jak się masz, kochany gościu?

Wszyscy się odwrócili, nie bez wyrazu lekkiego zniecierpliwienia, jak gdy wśród najswobodniejszej płynącej potokiem zabawy, wpadnie w nią nowy żywioł, którego towarzystwo przyswoić mnsi i wcielić, pracując by ten przybysz stał się jego własnością, co nie zawsze łatwo przychodzi. Żal było rozmowy — chłód wionął od pana Pawła, ale grzecznie i serdecznie go przyjęto. Wszyscy starali się jak najprędzej wprowadzić go na swój tor — na drogę, którą myśl ich biegła — ale tu znalazła się przeszkoda. Cały świat pojęć i myśli różnych ich dzielił — był to przychodzień z innego kraju, z innej strefy.

Pan Piotr, który to pierwszy postrzegł, a raczej się tego domyślił, odwiódł zaraz Pawła nieco na stronę od stolika, i stosowniejszą, pospolitą, oklepaną, szlachecką, nie potrzebującą żadnego wysiłku myśli, jął z nim wieść rozmowę.

Gronko dzieci i matka rozbiegli się w ogród, na ganek. Pan Ksawery poszedł do swego Platona, a Staś uczuł potrzebę połączyć się z ojcem i poznać bliżej stryjecznego brata, którego prawie nie widział.

Długo tak mówili nie wiedzieć o czem, bo Paweł nie śmiał *ex abrupto* poczynać o rzeczy, choć rad był skończyć i wyrwać się co najrychlej od stryja, który mu niezmiernie imponował, powagą swą i wyższością nie mile jakoś upokarzając, przywykłego do dawania sobie tonów w okolicy Horoszek.

Pan Piotr mówił o rzeczach obojętnych i wszelkim zaczepionym przedmiocie, z łatwością jaką mają ludzie do różnego rodzaju towarzystwa przywykli i giętkim obdarzeni umysłem; Staś żywo szeptał, jak chłopak, któremu nie braknie myśli ni słowa, w którym wszystko gra żywo i na wierzch się wyrывa — oba niezmiernie

uprzejmi. Po chwili i pani Piotrowa przyszła się do nich przyłączyć, a przy niej rozmowa nie zmieniła toku i wita się bitym szlakiem ogólników, po których połowa ludzi wygodnie się przechadzać lubi.

Gospodyni miała w tem cel pospieszając w pomoc mężowi — obdarzona wielkiem uczuciem, pragnęła zawsze w obec krewnych męzowskich pokazać się szczerze dla nich przyjazną, bo w istocie taką być chciała, a oziębłością najmniejszą obawiała się przykrócić mężowi.

Pan Paweł, obsypany grzecznościami bez liku, cały tak wieczór przesiedział dosyć zmęczony, uśmiechając się choć nudy go wyciągały na torturach, starając się utrzymać na wysokości rodziny pana Piotra, nie rozumiejąc prawie co w koło niego mówiono, obawiając się strzelić jakiego baka, pół słówkiem i minami wykrecając od wszelkiego stanowczego wyrokowania.

Szczerściem, udało mu się wyjść z tego obronną ręką, choć niepospolicie znużył się wysiłkiem, i gdy przyszedł do pięknych pokojów, które mu troskliwa Marja wyznaczyć kazała, rzucił się na łóżko jak po najcięższej pańszczyźnie. Dano mu na wieczór *Obrazy Chodźki*, spytawszy czy ma co czytać; wziął je niby chętnie, żeby okazać że czytuje, ale przyszedłszy do siebie, rzucił o stół, ani myśląc dotknąć, patrząc tylko osowiałym wzrokiem, jakby się pytał: Co u licha w książce być może?

Nazajutrz rano, jak kwiat rosą obmyty, świeży i orzeźwiony spoczynkiem, wszedł do niego stryj, z laską, która mu już towarzyszyła po całym gospodarstwie, i z serdeczną troskliwością począł go dopytywać jak się ma, jak spał, czy mu było wygodnie itp.

Pan Paweł na wszelki nieprzewidziany wypadek zrobił sobie ból głowy, wyrachowawszy, że go ten w wielu rzeczach będzie mógł wymówić, a bał się całego długiego dnia, który miał przed sobą, sądząc, że po szlachecku przyjdzie mu siedzieć cwioczkiem na kanapie od poranku do nocy. Pan Bóg go skarał za niepotrzebne kłamstwo, bo wpadłszy w dom pocziwych

ludzi, troskliwych o każdego, uprzedzających i grzecznych, musiał pokutować cały dzień za głowę swoją, na rosole zamiast barszczu; bez wina, i bez najsmaczniejszych potraw, które mu przed nosem obnoszono mijając go, dla swej choroby, z którą się z rana pochwalił.

Byli sam na sam. — Pan Piotr, który się od razu domyślał, że krewniak nie darmo go odwiedził i coś do niego mieć musiał, nymyślnie tak przyszedł, aby swobodniej mógł się wygadać. Rozpoczęła się tedy rozmowa; Paweł namienił o Kasztelanicy, powiedział co Samuel polecił Hieronimowej, oddał ukłony od ojca, i prosił o radę. Stary słuchał cierpliwie, ale bez najmniejszego zdziwienia, spuścił tylko oczy i myślał.

— Wiesz kochany panie Pawle — rzekł po chwili milczenia — smutne to są historie; wiedziałem o tem wszystkim wprost od mego kochanego Samuela, który nie spuszczać się widać na Hieronima, obszernie o tem w tych dniach pisał. Ale cóż tu radzić; mnie więcej trapi sposób życia Kasztelanica, jego rozwiązała i zimna starość — jego niepojęta bezbożność, i ten kał w którym żyje, niż to co utracić możemy... Dla nas tu chodzi o trochę mienia, dla niego o całą przyszłość.

Pan Paweł osłupiał, nic nie mogąc zrozumieć.

— O! to! — pomyślał w duchu — czy kazanie? czy co? a co nam do jego duszy? byle zostawił majątek...

Stary po chwili mówił dalej:

— I ja także, jak mój kochany Samuel, widzę potrzebę żeby się familja zbliżyła do niego, żeby go otoczyła troskliwością, przywiązaniem, dobrą radą, ale w innej myśli. Mnie ta resztką żywota w takiej rozpuszczie, w tych brzydkich nałogach, oburza i niepokoi...

— Djabł go wie co on plecie! — mówił ciągle w duchu pan Paweł — to chyba hypokryta i... — ale stryj mu myśl przerwał.

— Potrzeba go wyrwać z tej niewoli, w której gnije, potrzeba go koniecznie oswobodzić — nie dla naszego tylko, ale dla jego własnego dobra.

— Już to co się tyczy sposobu życia — rzekł nareszcie odważając się wystąpić Paweł — to mi się

zdaje, że kto do dziewięćdziesiąt lat tak przeżył, nie potrafi się już na starość przemienić. Ale szkoda, dla nas zwłaszcza ubogich, tego co słusznie na nas spaśćby powinno, a co nam trutnie i pochlebcy wyrwą.

Pan Piotr uśmiechnął się.

— Wiele widziałem na świecie — rzekł — ale mi się nie zdarzyło nigdy spotkać bogatego krewniaka, na którego spadek wcześniej ostrzą zęby, żeby figla swoim następcom nie wyrządził...

— Toby dla nas ubogich — z przyciskiem powtórnie wymówił Paweł — było bardzo ciężkie.

Pan Piotr zdawał się powoli wchodzić w nieprze-partą myśl bratanka.

— Zapewne — rzekł — i tego szkoda, co mieć możecie, zwłaszcza pocziwy Samuel, który się tak frasuje o los Rotmistrza. Samuel myśli widzę, że trzebaby się nam wszystkim zebrać, poradzić, kogoś wybrać i w pomoc mu wysłać. Bardzoby to dobrze było, ale powiedz mi czy można rodzinę zwoływać? Rozejdź się to między ludźmi, dojdzie do Kasztelanica, obrazi go i od nas jeszcze bardziej odepchnie; zausznicy wystawią mu to jako chciwość przedwczesną i zohydzą nas w jego oczach. Rodzina nasza tak rozrzucona, tak różnorodna... to niepodobna!

— Więc niech stryj sam poradzi.

— Nie jestem od tego, żeby nie pomówić o tem z krewnymi, ale ich zwoływać, konsylium robić takie, to do niczego nie prowadzi. Chciałbym tylko Samuela.

— Pan Samuel nie może wyjechać ze Strumienia, mówił to bratowej.

— A więc pomówimy z Pobiałami.

— Stryj więc uważa — zagadnął ścinając usta Paweł, że i oni... należeć będą...

— A powiedz — że mi jak należeć nie mają? — oburzył się pan Piotr. Jeśli to ma spadać na nas, to i na nich równem prawem. Nie pytam o pisane prawo, ale o to uczucie sprawiedliwości, które jest w sercu każdego człowieka! A gdyby na nas co spadło, odsą-

dzitłżebyś od tego, coby ci Bóg dał niezapracowane i daremne — siostrę twoją Teklę?

Pan Paweł się zmieszał.

— Ale to widzi stryj — dorzucił — zapewne, gdy jednak — prawo... bo żyjemy pod prawem!...

Zmarszczył się starzec poważny i ujął go za rękę.

— Mój Pawle — rzekł — bracia i siostry w prawie ludzkim mogą brać nierówno, bo w tym podziale wchodzi uwaga o społeczeństwo względem którego my mężczyźni mamy najcięższe obowiązki poświęcenia — ale to po rodzicach; a taki spadek, niespodziany dar Boży — możnaż inaczej podzielić jak równo? Dałoby ci spać snmienię?

Niedokończył. Paweł spuścił głowę, zawstydził się i poprawił.

— Ja też wcale nie jestem tej myśli — odrzekł śpiesznie — pytam tylko, by się upewnić, że to co ja czuję, prawo potwierdzić może.

— Prawo jest dla nieprawych — odparł pan Piotr — dla nas dość snmienia. Niech się do niego zwracają, komu Bóg nie wyrzył w sercu nieśmiertelnych praw swoich; ci biedni po ludzkie, pisane, nędzne i słabe niech się uciekają; my się bez nich w takich sprawach obejdziemy.

— Wezwać więc potrzeba Pobiałów — dławiąc się, cicho poddał Paweł — chcąc co rychlej rozmowę skończyć.

— To są ludzie zacni, poczciwi i rozumni — z niemi się zetkniemy i coś uradzim, żeby Pana Samuela uspokoić. Dzieci Józefa rady dać nie mogą, bo sami jej biedaki potrzebują; was wszystkich ty przedstawiasz; ja siebie i Samuela, a więc nam tylko Pobiałów brakować będzie. Posłuchaj, dziś piątek, zabawisz u mnie przez sobotę, ja poślę ich prosić na wieczorek, który damy w pasiece w niedzielę, gdzie i tak być mieli. W ten sposób cichuteńko się sprawim. Wszak musisz znać Pobiałów?

— Bardzo mało.

— Dwóch ich tylko, Tomasz i August przyjadą, bo

Józef biedaczysko nie rusza się z domu... ale tych dwóch dosyć będzie.

— Nie lepiejże, żebyśmy do nich pojechali? — spytał Paweł, któremu siedzenie w Zrębach nie bardzo się uśmiechało.

— Jak chcesz, ale to coś będzie widoczniej, a na cóż ścierać oczy i wzbudzać gadania? Pierzmy swoje brudy po kryjomu.

— Ja bo w tem nie brudnego nie widzę — zawołał Paweł.

— Ani ja, bobym w taką sprawę ręki nie umoczył — rzekł Piotr z uczuciem godności — ale powiem ci szczerze, zda mi się zawsze, że takie nienal podstępne ubieganie się za nędznym groszem, czegoś nie chwalebne, nie czyste....

Robię to dla Samuela, że mu nie odmawiam; zresztą pocieszam się tem, że jeśli starca od łajdaków i intrygantów, z rąk niepoczciwych wybawię, może go choć późno tknie sumienie i życie odmieni.

— W to trudno nawierzyć.

— Trudno, ale są przykłady; człek ku starości widzi jaśniej nagość życia, marność jego zabiegów i celów, tęsknota go ogarnie niezmierzona, nienasycona, u nią tylko lekarstwem.... Bóg.

Pau Paweł nie był wcale bezbożnik; chodził on i jeździł do kościoła, spowiadał się, pościł czasem i miał pozór katolika; ale nigdy nie czuł potrzeby oświecić się w wierze ani się wiele o to troszczył, jak tam drudzy z nią lub bez niej żyją. Był to człowiek z liczby u nas najpospolitszych, co obojętnością najwięcej grzeszą, nie będąc ani za, ani przeciw religii, a których właśnie nawrócenie najcięższe, bo do przeciwnika wiary, który u czemś przekonanie opiera, przemówić można argumentem, do obojętnego nie trafi niczem. Tu potrzeba łaski.

Zdziwił się Paweł słysząc pobożne wyrazy stryja, i całkiem pojąć ich nie mógł; dla niego praktyka życia

była rzeczą zupełnie od religii oddzielną — westchnął jednak dla akompaniamentu i zmiłkł.

Pan Piotr wstał.

— A zatem, zatrzymuję cię Pawle — u nas porządek dnia taki: o dwunastej się schodzimy wszyscy, potem o pół do drugiej obiad; po obiedzie wraca każdy do siebie, lub ma do wyboru przechadzkę, konia, billard, książkę, zajęcie jakie sobie obierze.... do herbaty. Od herbaty bowiem są cały wieczór razem do wieczery i rozejścia. Zatem wolny jesteś do południa... Chodź po ogrodzie, każ sobie podać konia, zaprządz, co ci się podoba, wszystko na twoje rozkazy, a jeśliby cię nazbyt głowa bolała, dysponuj żeby ci tu obiad przynieśli i nie wychodź. — Teraz spocznij, przysłę ci kilka książek do wyboru.

Po wyjściu pana Piotra, Paweł pozostał chwilę, nieumiejąc sobie zdać sprawy dokładnej z tego co słyszał. Z rozporządzenia dnia dosyć był rad, ale z interwallami nie wiedział co zrobić, bo czytać nie mógł.

— Licho mi nadało tu na trzy dni zostać! — mówił w duchu — to ciężka przeprawa! czem ci ludzie żyją! Jakby tu dłużej posiedzieć przyszło, przysięgam Bogu żebym zdechł.

O godzinie obiedniej Staś przybiegł po pana Pawła, a ten na wypadek wszelki zawsze jeszcze z bólem głowy wszedł do salonu gdzie go uprzejmie, z uzaleniem nad chorobą, przywitała pani Piotrowa, usiłując mu okazać jak pragnęła żeby mu w ich domu co najłepiej i najzdrowiej było; powitały panienki, które z powołania, jak wszystkie polki, będąc lekarkami, starały się namówić jedna na rumianek, druga na ocet, trzecia na wodę. Pan Paweł, którego głowa była zupełnie wolna, ale żołądek dopominał się posiłku po przejażdżce, był w wielkim kłopotcie, bo i przy obiedzie poczciwi krewni zbyt go pilnowali, tak że głodny wstał od stołu i doprawdy już poczynął chwytąć się za głowę.

Panny rozbiegły się do roboty, do gry. Staś także poszedł do swoich koni, a pani Piotrowa usiadłszy z

panem Pawłem — spojrzawszy za córkami, westchnęła i poczęła powoli zwykle swe żale na ciężkie teraźniejsze dla panien czasy. Słuchając bardzo uważnie, pan Paweł żadnej tu rady dać nie mógł; szczęściem pan Piotr przybył i uprowadził go z sobą dla obejrzenia gospodarstwa, stada i fabryk.

Tak jakoś przeszedł dzień do wieczora. Wieczorem wszyscy przeglądali albumy i ryciny, rysowali, grali, śpiewali, a pan Paweł nie mógł nic z tego zrozumieć i drugi uczeń świeżo z Uniwersytetu chory na Platona, stał także osowiały, myśląc zapewne o jakimś trudniejszym miejscu dialogów. Piątek jakoś się skończył, pozostawała sobota; ale choć coraz potężniej znudzony, Paweł tym kosztem się lepiej oswajał z domem, poznawał jego obyczaje, umiał już sobie dać radę. Poznawszy się na niebezpieczeństwie chwalenia z bólem głowy, nazajutrz zaręczył że jest zdrow, przyznał się że jest głodny i jadł za dwa dni, co bardzo pocieszyło wszystkich, podsuwających mu co było najlepszego i najsmaczniejszego.

W niedzielę miał być jak wiemy wieczorek w pasiece; wszystkie tego rodzaju zabawy biedna matka dla córek obmyśliwała, wabiąc ku nim ochoczą młodzież i ze zbytniej o ich los gorliwości, nieustannie przemysliwając tylko za kogoby je wydać. Dwadzieścia i dwa lata najstarszej nie wychodziły jej z pamięci; mówiła o nich przez sen (na jawie nigdy).

Wieczorek i podwieczorek dawano dla odmiany w pasiece, która była znacznie odległą od dworu i nad drugim brzegiem rzeki położoną, tak, że do niej najwygodniej wodą było płynąć. Brzeg miał być smolnemi beczkami oświecony aż do miejsca zabawy, które miało sławę jednego z najpiękniejszych w okolicy. Około południa zaczęli się zjeżdżać goście, i pierwszy prawie przybył pan August Pobiał z familją.

Prześliczna wiedeńska kareta, zaprzężona piątką siwoszów w czarnych angielskich szorach, z wielkim smakiem ubrani ludzie w wytwornej a nie bijącej w oczy liberji — przywieźli państwa Augustów.

Pan Paweł znów się bardzo zmieszał, podając rękę podżyłemu mężczyźnie, który wyglądał na arcyksięcia austriackiego, taki był majestatyczny, tak dumnie grzeczny, tak wielki pan mimo niezręcznie przybranej pokory. August, łysy już ale jeszcze piękny mężczyzna, mógł mieć blisko lat pięćdziesięciu, prezentował się wpaniale, ubrany był niezmiernie świeżo i wykwintnie, a ton który przybierał, przypominał uprzedzającą grzeczność wielkich panów, co na niej jak na jedwabnym sznurku z daleka od siebie wszystkich trzymają, zbliżyć się im nie dając i mówiąc co chwila: — Jestem grzeczny bo szanuję siebie, ale znaj kpie żeśmy sobie uierówui.

W rozmowie uśmiechniony nieco, pochlebny, nieustannie przypominający swoje małe mienie i położenie szlacheckie, jakby to wątpliwości podpadało, pan August poniżał się, by się podwyższyć, zaręczał by myślano, że nie mówi prawdy. Pani Augustowa nie miała tego pozoru co mąż; choć strojna, choć wyświeżona, ale wszystko to na niej leżało jakby cudze, jak pożyczone, a francuszczyzna z którą dla męża się odzywała, nie była w najlepszym gatunku. Można ją było porównać do tego co się między herbatami, nazywa u nas brodzką.

Mąż też troskliwy o czystość języka któremu hołdował, podszeptował jej nieustannie wyrażenia wyszukane, a ona je najdziwaczniej wykręcała. Mała, chuda, dosyć czarna i wcale nieładna a bardzo napuszczona, aby się dostroić do tonu męża, w ubiorze swym i mowie była jak w kajdanach. Co to całe życie udawać! całe życie kłamać! kłaść do ludzi twarz nie swoją, brać do nich mowę pożyczaną, łamać głowę by ich oszukać, i nie mieć nawet tej pociechy, żeby się to udawało!

Z niemi przyjechała tylko dziesięcioletnia córeczka i siostra Augusta, panna Domicella. Wspomnieliśmy już i o niej, i o jej tajemniczem, dobrowolnem wyrzeczeniu się zmiany stanu; tu tylko dodamy, że skromnie ubrana, strojna we wdzięk nieopisany, w jakiś ła-

godny smutek i wesołość smętną, szczególnym pociągą urokiem, gasząc na chwilę świeższe, ale mniej myślą głęboką, mniej geniuszu jakiegoś znamię nacechowane panny Piotrówny. Wśród nich wyglądała jak natchniona Korynna, którejby entuzjazm wieszczcy przelał się w cichy pieteczny smutek i omglone głęboką myślą marzenie. Z oczu jej, z ust, ze słowa i wejrzenia tryskała myśl promieniami, których ciepło czuli mimowolnie otaczający.

August i jego żona powitali Pawła jako krownego, nadzwyczaj uprzejmie, może aż nadto grzecznie, ale wcale nie przybliżając się do niego; jednak parafianina naszego, który wszelką oznakę brał za dobrą monetę, grzeczność ta Pobiółów wielce chwyciła za serce.

Zaraz za niemi przyjechał śliczną nejtyczanką, czterema koźmi karemi, pan Tomasz Pobiół, ów wędrowiec i miły hulaka, bez którego nie było zabawy, nie było obiadu, tańca, wieczoru ani gry w sąsiedztwie. Tomasz był piękny w swoim rodzaju, jak siostra, ale więcej na nim wiek i namiętności znać było; twarz prześlicznych rysów straciła już świeżość, zwiędła i poczyniała nieznacznie ściągąć się i marszczyć; oko obwiodło się obwódką ciemniejszą, blask jego przygasł; tylko usta pozostały wdzięcznie i przyjacielsko uśmiechnięte.

Wytworniś, lekki, zgrabny, w ruchach był jeszcze tak młody, jakby ledwie trzydziestu lat dochodził. Za ledwie wpadł, ledwie się przywitał, rzucił kapelusz i rękawiczki — panny go zaraz obstąpiły, Staś go pochwycił, wszyscy obiegli, żeby układał, obmyślał, pomagał do urządzenia wieczornej zabawy. Pan Tomasz ochoczo wziął się do złożenia wielkiej rady z pięknymi panienkami, bo dla nich był zawsze niesłychanie grzeczny, a pani Piotrowa mimowolnie zaczęła myśleć o stopniu pokrewieństwa i zgodności roku 22 z rokiem niewiadomym pana Tomasza, bo już go po trosze z Józią swoją swatała iło razy ku niej się zbliżył, ucho matczyne, serce, oczy, biegły ku nim, by rozeznąć, odgadnąć co tam mówili ze sobą; usiłowała wybadać

stan ich serc z wejrzeń, ruchów, drżała, modliła się łączyła i rozpędzała.

O! biedne macierzyństwa, matek niepokoje!

Po Pobiłach sypnęli się inni goście; różno barwny ten tłum co przybywa na zawołanie do otwartego domu, często by wywieźć plotkę zabójczą, myśl zjadliwą, niechęć tylko i gniew za przyjazny uścisk dłoni. Młodzi i starzy, różnego stanu bracia szlachta zajęli salonyk w Zrębach, a że wieczór obiecywał się prześliczny, pogodny, baty zaszyły i nieczekając nocy a smolne beczki zachowując do oświecenia powrotu — wszyscy ruszyli do pasieki.

Pana Pawła zabrali z sobą Staś i Tomasz — reszta towarzystwa rozsiadła się na dywanami wysłanych łodziach i przy dźwięku umyślnie sprowadzonej muzyki, która powoli poprzedzała płynących, puścili się z biegiem wody.

Widok był zachwycający, bo rzeka wśród wzgórzów, na osłonionych niemi zielonych łakach płynąca, wiła się srebrnym pasem, i coraz to odsłaniała najprześliczniejsze widoki na dalekie budowy, dworki, kościółki, gaje, stawy i błonia. Im bardziej zbliżali się do pasieki, tem las więcej zaczął zalegać brzegi, aż w końcu opasał je cienistym sklepieniem.

W dali, w głębiach zieleni sunęły się wody czyste, a w nich przeglądały ponachylane brzozy, dęby i osiki. Leśne łąki, czyste jak trawnik parku, migwały koło płynących, to znów gąszcze ciemniejsze. Wśród tego tła, kilka łodzi strojnych w kobiety, w kwiaty, otoczonych muzyką rozlewającą się w czystym, spokojnem powietrzu letniego wieczora — tworzyło obraz uroczy.

Niestety! Pan Paweł się na nim nie poznał; on stękał i ziewał w głębi duszy, nie pojmując tego rodzaju przyjemności.

Wśród gaju ukazała się wreszcie pasieka — było to skromne nazwanie ogrodu, który sam pan Piotr założył i przyozdobił, a że przy nim mieściły się ule i chata starego Pawła pasiecznika, ochrzczono prześliczny

ten kątek mianem, które się nie dozwalało domyślać wdzięku, jaki się w niem ukrywał.

W istocie, natura tyle tu przygotowała, że trudno było się oprzeć chęci wspomnienia jej nieco; kilka kształtnych wzgórzów zielonych, odwiecznemi pokrytych dębami, strumień pośrodkiem płynący i wpadający do rzeki, piękne drzewa i dalekie widoki na sine przecięcia lasów, w pośród których z zieloną łąką szła rzeka widna w wielkiej odległości — to było przygotowanie. Ale z zielonych łąk porobiono trawniki, pod dębami zasadzono kwiaty i krzewy, rzeczkę przecięły mostki murowane i drewniane, szeroka altana słomą pokryta, sparta na słupach dębowych z kory nieobrzanych, chata prześlicznie w schodki, galeryjki i okapy szerokie ubrana, obrosła bluszczami i chmielem, stanowiły główne ozdoby.

Wszyscy co tu nie byli jeszcze jednogłośnie wykrzyknęli; zobaczywszy tę cudną ustron:

— A! jakże tu ładnie!

Pan Paweł nawet podniósł się na łódce, zagapił szukając piękności której nie widział, i o mało czółna nie wyrzucił, a w duszy rzekł tylko sobie: — Jeżeli stryjaszek na takie rzeczy traci majątek, niedaleko zajedzie! co to kosztować musiało!

W tem wysiadać poczęto i wszyscy biegiem, wesołym śmiechem rozsypując się po ścieżkach piaskiem wysypanych, po miękkich trawnikach, pospieszali ku altanie, pod którą trzy ładne gosposie miały rozdawać herbatę już przygotowaną.

Słońce zachodzące za lasem, gorącemi promieniami swemi ozlacało gdzie niegdzie ogród pasieki i pejzaż, w tej chwili rozkoszne fantazje Watteau przypominające. Brakło tylko tych Faunów i Hermesów, które francuzki mistrz stawiał w tego rodzaju utworach, a natomiast na wzgórzu wznosił się staraniem pani Piotrowej postawiony krzyż dębowy z korą, w górze wieńcem z tarniny opleciony, w dole wijącemi się różami okryty, pod nim była ławka kamienna — z niej widok na rzekę ginącą w oddaleniu. Ten krzyż przypo-

minał wśród wesela i zabawy Boga, przyszłość i cierpie nie macierzyńskiego żywota.

Nie będziemy opisywali wieczora, który upłynął wśród najweselszej zabawy. W ciągu niej ileż to razy serce Marji uderzyło za córkami, zwijającemi się w tańcu ochoczym, ile razy cicho pomodliła się żeby je Bóg wdziękiem i szczęściem obdarzył!

Młódzież była wesółą, czas prześliczny, humory wyborne, nikt nie mieszał zabawy. — Tomasz dowodził mężczyznami, Józia pannami komenderowała, Marja przewodniczyła odpoczywającym matkom, które z nią po cichu o losie dzieci gwarzyły, Staś swawolił jak świeżo z ławki uniwersyteckiej odwiązany ptaszek, czujący swobodę swoją, a studjujący Platona, pan Ksawery patrzył z panem Pawłem i nie pojmował, żeby się tak można zajmować gorąco tańcem, tak ochoczo trzpiotać, gdy wydanie Bizantyńskie Timajos peri psychas kosmo kai psychios leży przed człowiekiem i słodką wabi go trudnością jak zalotnem okiem, wyzywając wszystkich sił jego umysłu.

Jemu tak spieszno było przejść do Parmenidesa, jak innym do mazura, a Pawłowi do domu.

Pan Paweł chodził poważnie, nudził się uroczyście, ziewał, próbował sobie kogo wyszukać do pary; wybrany został przez grzeczną Józję do figury w mazurze, z okrutnym wystąpił holupcem, a nie mógł się wszakże w tej gorącej strefie zaklimatować. Był on jak koń którego pierwszy raz do powozu zaprzęgną. Nie mógł nie wprawdzie zarzucić towarzystwu, bo wszyscy okazywali mu greczność uprzedzającą, poufalską familijną (wyjawszy nadętego pana Augusta); pamiętano o nim ciągle, nie uchybiono mu w niczem, ale co krok otarł się o coś czego nie rozumiał, i znajdował ciągle wokoło siebie tak inne całe myśli, żądania, uczucia, przyjemności, iż zaczynał wątpić kto z dwojga lepiej i prawdziwiej określił sobie życie — on czy oni.

Jakoś w ustępach zabawy, pan Piotr z nim, Augustem i Tomaszem, którego na chwilę pannom wyrywano, zeszli się i siedli na ławie pod dębem. Tu

naturalnie wszczęła się rozmowa o Kasztelanicy; ale krzątania, gwar, muzyka, nie dały jej się rozwinąć, choć pan Paweł szczerze pragnął wszystko co najprędzej skończyć i jak świt ruszyć do domu, pana Tomasza pochwycyco do kontredansa, August poszedł na Ecarté, grę dystygowaną; nie było sposobu nie zrobić, trzeba się było zgodzić z wolą przeznaczenia i oswoić z perspektywą zostania dnia jednego jeszcze z Pobiłami i Piotrem w Zrębach.

Jak skoro zapadł wieczór i słońce znikło, natychmiast na znak dany przez Stasia, w około altany na dębach, na mostkach, zajaśniały tysiączne światła kolorowe.

Lampy zawieszone na drzewach, miały kształty owoców jakichś idealnych i wisiały jak owe złote i rubinowe jabłka w czarnoksiężkim Tysiąca nocy ogrodzie. Krzyż nawet ubrał się w białe światelka i odbijał w wodzie jasny, wielki, potężny, czysty, godłem zwycięstwa nad śmiercią, nad ciałem i cierpieniem.

Cała pasieka gorzała w tysiącach tych światel miśternie porozrzucanych, a gwiazdzista noc letnia przypatrywała się z góry tej uciechy chwilowej, po której wkrótce miały zostać żale, wspomnienia, i dymiące lamp knoty.

Około drugiej dano wieczerkę pod altanę; zaszły baty, usiadła muzyka nieznużona i całe towarzystwo parami poloneza idąc siadło powracać ku Zrębom. Brzegi rzeki ostawione były beczkami smolnemi i stosami łączywa, które doskonale oświecały wody, a nawet bliższe zarośla. Drzewa jak ze złota ulane rysowały się na ciemnem tle swemi pięknymi rodzimemi kształty, których ludzka nie tknęła ręka. Gdy wypłynęli z lasu, ukazał się dwór w Zrębach równie oświetlony i zdawał salonik otwarty pełen świec, oczekujący na gości.

Wielu jednak zaraz się rozjechało, wielu uczuło znużonych, zatrzymano ich na noc, i zabawa po skończeniu poloneza, który się zamknął w salonie, w ciszę i spoczynek przeszła.

Siedząc w swoim pokoiku, z książką do nabożeństwa i różańcem w ręku, długo, długo pocziwa matka przypominała swoich córek słowa, ruchy, uśmiechy, liczyła co kto do nich powiedział, jak kto był z niemi, potem modliła się, aż marzenie przerwało modlitwę... Pan Paweł poszedł spać tak rozziwiany, że nawet swojemu chłopcu, który chciał opowiadać zakulisowe przygotowania tych cudów, nie rzekłszy słowa, ledwie się doniósł do łóżka i jak zabity chrapnął.

Nazajutrz rano dosyć, wszyscy się zebrali w pokoju pana Pawła; pan August w rannym paltocie, Tomasz w węgierce, Piotr w codziennym swoim surducie z nieodstępną towarzyszką laską. August miał popielaty ranny kapelusz, laskę z przepyszną ze słoniowej kości gałką, rękawiczki duńskie i kamasze.

Siedli, a że wszyscy już wiedzieli o czem potrzeba było radzić, pan Piotr rozpoczął wykładem rzeczy, niejako treścią sprawy, która zajmować ich miała.

— Mało znacie wszyscy Kasztelanica, rzekł — choć i ja nie lepiej, ale od Samuela więcej wiem o nim niżeli panowie. Istotnie położenie jego zwrócić powinno uwagę całej familji, nie żebyśmy swobodę jego krepować chcieli, ale że istotnie dla niego samego jest groźne, gdyż i duszy.....

Pan Tomasz przerwał.

— Podobno już tej duszy nie poradzimy.

— Nie miło jest jednak — dodał dowcipnie pan August, który lubił dowcipować — kiedy tak bliskiego krewnego djabli biorą.

— Daj pokój żartom prezesie — (pan August był jakimś prezesem kiedyś) odezwał się pan Piotr. Razem tedy ze wszech miar radzić nam potrzeba. Ci co go otaczają, oprócz Samuela, który tam nie nie znaczy, są to pochlebcy i zansznicy, czyhają nań i podają mu rękę do wszystkiego złego. Biedny Samuel, któremu o los Rotmistrza chodzi i po prostu mówiąc o zagrożony spadek — wzywa nas w posiłek.

— Ale — jestli to istotnie spadek tak wielki? — zapytał August.

Pan Paweł chciał go już zmniejszyć i skrzywił się był nawet, robiąc w tym celu potrzebne preludium miną, gdy mu pan Piotr przerwał.

— O jednym tylko wiemy z pewnością, to jest o tem co ma w ziemi — dwa tysiące dusz wołyńskich, to najmniej półtrzecia miliona, po dzisiejszej cenie; długów ani grosza. Intraty się podobno w knfrze bez procentów kapitalizują; mówią o jakimś zamkniętym szczelnie pokoju, ale to wszystko rzeczy niepewne.

— Choćby tylko te półtrzecia milionka — przerwał pan August, dla nas biednej szlachty (było to upodobane wyrażenie prezesa) smaczna gratka; nieprawda panie Pawle?

— Ale dziadunio by na to powiedział — dodał pan Tomasz sławny buben za horami ¹⁾.

— Juściż majątek ziemski nie ulega wątpliwości.

— No! pozwalamy, pozwalamy! Concedo! z intencją dowcipu odparł pan August.

— I ja — szepnął pan Tomasz.

— I ja! — cicho a kwaśno dołożył Paweł, widząc że lepiej wiedzą o wszystkim niż myślał.

— Położenie Kasztelanica — mówił dalej pan Piotr, jest dziwne; stary kawaler...

— O! o starych kawalerach wara! — wyrzekł poważnie pan Tomasz, ja tu ich reprezentuję; ze mną mieć można do czynienia.

— Bądź spokojny, to nie twoja jeszcze kategoria, on ma lat dziewięćdziesiąt... słaby a truchlejący o życie i zdrowie, wiedzie z zegarkiem w rękę godzinę po godzinie, niańczony przez faworyta swego kamerdynera i... trzeba i to wyznaczyć ze wstydem, przez jakąś tam faworytę...

— Stary fanfaronuje! — dodał August.

— Zabytek to wieku, mości panowie — ciągnął dalej pan Piotr — wieku, w którym wszystkie wady i słabości liczyły się za przymioty, gdzie do dobrego tonu należało wbrew iść prawu bożemu i zwyczajom

¹⁾ Głośny bęben za górami.

pocziwym. Koniec końcem, jest tam ów kamerdyner, jakaś faworyta i podobno Jasiak, Józefa syn, który umiał stać się potrzebnym, tylko swój robiąc interes przy Kasztelanicy i o sobie pamiętając, zresztą, niewiele tam mogą wszyscy, bo Kasztelanica jest twardy i uparty, ale z dnia na dzień słabnąć musi, ulega coraz więcej i da się do reszty okiełznać. Pan Samuel, który sam reprezentuje familją, gwałtu woła o pomocnika, pocziwego a zdatnego człowieka, któryby ofiarował się na zniesienie wiele, a na wydzwignienie i Kasztelanica i naszej sprawy z rąk oprawców.

— Dixi! rzekł z westchnieniem kończąc pan Piotr.

— Słuchaw! — odpowiedział szybko pan August, bojąc się żeby go z ujmą godności, ktoś w radzie nie uprzedził, i widzę bardzo potrzebę posiłków dla pana Samuela, ale dajcież człowieka?

— To kwestja! jak mówi Shakspeare, o sukcesji także — dołożył pan Tomasz. Paweł spojrział po nich wzrokiem osowiałym.

— Potrzeba człowieka zdatnego, sprytnego i pocziwego, coby się poświęcił dla familji, zatem przywiązanego do niej. To warunki ciężkie, bo się potrzeba całkiem zaprzadź, oddać... Naprzód uczynić się pokornym, stać się Kasztelanicy potrzebnym, trochę mu dogadzać i pochlebiać, by się nie dać wypchnąć intrygantom, nie zrazić oziębłością.

— Djabła sprawa! — rzekł pan Tomasz — nie widzę na to kandydata.

— A ja go w tej chwili dopiero postrzegłem — rzekł pan August wstając.

— No któż? kto? — wszyscy spytali razem.

— A ty Tomasz!

— Co? ja? — wykrzyknął zmieszany — a! dajcież mi pokój! co sobie myślisz panie bracie? Sprytu daleko mniej niż potrzeba, a cierpliwości ani odrobiny.

— Czego ty z siebie nie zrobisz gdy zechcesz! — kręcąc głową dodał pan August.

Paweł mruczał w sposób potwierdzający, bo nie mógł inaczej, ale był całym rzeczy obrotem zniechę-

cony okrutnie; bał się żeby Pobiałowio na swoją korzyść nie opieczetowali starego, niedowierzający poczynił się już srożyć.

— Mój Augustcie — rzekł powoli Tomasz — ty wiesz że ja lubię swobodę, zabawy, grę, że jestem stary hulaka jednym słowem, a chcesz mnie pchnąć w tę otchłań, dlatego żeby twoje dzieci miały za to jakie pół miliona więcej.

Paweł w tym pöhnilionie, wyrzeczonym nawiasem, już zoczył rachunek i poczynął po cichu kontrolować nadzieje, czy nie były za wielkie i zbyt przesadzone kosztem reszty rodziny.

— A czemu i nie twoje też dzieci? — odparł brat.

— Bo ich nie ma i mieć nie będę — stanowczo rzekł pan Tomasz — żonić się nie myślę.

— To zmienić rachunek — pomyślał w duchu Paweł.

— Ale my cię ożenim! zawołał August.

— Ani ja, ani ty, ani on, ani my, ani wy, ani oni.

— No! ale przypuszczając poświęcenie zupełnie bezkorzystne, czyż ty i do tego nie jesteś zdolny? — zażytał August.

Pan Piotr milczał, ale nie zdawał się przeciwny.

— Zbyt już pochlebnie o takim szatawile sądzisz — dodał jakoś smutniej Tomasz — wprowadzić dosyć się nabrykało, czas by coś w życiu zrobić, ale na pocziwość nie czuję się na siłach... zresztą.

— Gdybyś przyjął tę misję — powolnie odezwał się Piotr — ręczę, że cała by ci rodzina była najwdzięczniejszą, bo nad ciebie nie mamy nikogo, pocziwszego i zdolniejszego.

— Ale dajcie mi pokój! to napaść! — zawołał Tomasz.

Paweł nie chcąc być ostatnim i narazić się na wypadek elekcji przyszłemu potentatowi — zawołał także:

— A któż tu jeśli nie pan! ja także nikogo nie widzę! Na honor! to jeden sposób!

— Jeszcze słowo a każę zaprzęgać i uciokać — krzyknął pan Tomasz — dajcież mi święty spokój! —

To napaść niepojęta! Zlitujcie się, mnie człowieka swobodnego jak ptak, lubiącego się włóczyć, zaprzadz do takiej roboty gdzie się zagryźć i zazięwać można — to nie litość! to barbarzyństwo!

— A no, to dajże zastępcę, wymyśl kogo innego. — rzekł razem Piotr i August, a Paweł zbliżył się także z niewyraźnem tych słów powtórzeniem na ustach.

— Gotów jestem razem z wami radzić, myśleć, ale podejmować się!...

— Dawaj zastępcę!

— Pozwólcież się namyśleć... mnie się zdaje, że Jasia wezwać, z Jasiem się rozmówić, on już tam jest.

— Pan Samuel byłby go wskazał, gdyby to się na co zdało — rzekł Piotr — on już zepsuty przez Kasztelanica i o sobie tylko myśleć może!

— To pewna — potwierdził pan Paweł — że na niego nie rachować nie można.

— No, to szukajcie panowie sami innych kandydatów; już ciżem ja nie jedynie na świecie.

Zadumali się wszyscy, ale po chwili pan August, usiłujący utrzymać się przy swoim, wyrzekł z powagą:

— Kochany bracie, na honor, *ma foi* — to nieuchronne; albo zdać się na wolą Bożą i stracić ten spadek, który jednakże jest rzeczą ładną, a ty tę stratę wszystkich na sumieniu mieć będziesz, albo się poświęcić dobrowolnie i ochotnie dla nas; bo jakkolwiek bądź to nie są żarty, to rzecz wielkiej wagi. Nie mamy nikogo jeśli ty nie przyjmiesz.

— To pewno! to pewno! — szeptał Paweł zły ale uśmiechający się. — Tomasz się zamyslił, wziął za kapelusze i wychodząc szybko odezwał:

— Jaby tam nie nie zrobił, a zmarłbym z tego więzienia i nudów; dajcie mi pokój i po wszystkim!

Pozostali ciągnęli dalej naradę, a pan August usiłował swój wniosek wymotywować i usiadł jak mowca, rozpartszy się, w ten sposób rzecz prowadząc:

— Widzę, że poczciwy Tomasz gotów się nawet na

mnie pogniewać, ale ja nad niego nie widzę nikogo. To człowiek z sercem i z głową, z gotowością do poświęceń największą. Jeśli nam odmówi, zgineliśmy, otwarcie to przepowiadam. Znam Tomasza od dzieciństwa; prawda, że się na świecie roztrzęsł, ale w nim jest fundament wielki. Jego roztargnienie ma pozór raczej dobrowolnego zadurzania się, niż potrzeby zabawy z temperamentu pochodzącej. — A tyż panie Pawle nie miałbyś nam tam kogo naraić?

— Ja? prawdziwie, nie widzę — z familji naszej znam po trosze prawie wszystkich, ale to nie lada zadanie. Rotmistrz pocziwy, do niczego, o mnie ani myśleć; mój brat Hieronim dobre człeczysko, ale to nie jego rzecz. Jaś sam o sobie myśli, Michał hulaka, Sobocki najniegodniejszy człowiek, pan Samuel sam nie wystarczy, a stryjowi Piotrowi niktby tego nie śmiał zaproponować.

— Mnieby można śmiało zaproponować, ale co innego — odpowiedział pan Piotr — oto pojechać, wziąć starca na ustęp, powiedzieć mu słowa prawdy i usiłować go namówić, dotknąć, oświecić — takie posłannictwo chętniebym przyjął.

— Toby była próba daremna! — rzekł pan August.

— Ale może ją samo sunienie nakazuje.

— Jeśli tak myślicie, czemuż nie? zróbcie dodał August.

— A nie pomogę ja, wówczas siądziemy wszyscy na pana Tomasza, musi nam dopomódz.

Ja go przez Domcię, która ma nad nim wielką władzę i przewagę, skłonię do tego — cicho dodał pan August.

Paweł zamilkł, co miał mówić, smutnie spuścił głowę, pozostał na boku, gęby już nie miał z czem otworzyć — wszystkie jego projekta stopniały jak śnieżek wiosenny.

— A zatem, plan taki! — odezwał się pan Piotr — ja jadę ze słowem prawdy i refleksji do starego; wiem że to nie pomoże i nie wiele na to rachuję, ale

ebowiązek, do którego się poczuwam spełnić; potem pan Tomasz niech rusza i pracuje.

To rzekłszy pan Piotr zabierał się do wyjścia.

— Zgoda! zgoda! — także biorąc kapelusz zawołał pan August — nie ma co przeciw temu powiedzieć, ani co lepszego wymyśleć, ale to wszystko razem czy się na co przyda? — ciszej po wyjściu pana Piotra zapytał Pawła.

— Nie wiem odparł cicho i skromnie, w duchu zgryziony i upokorzony, że tu nie nie stanowił i nie nie znaczył, Paweł.

— A jakże się waćpanu dobrodziejowi zdaje? — zapytał pan August...

— O ile wiem i domyślać się mogę, bytność stryja widzi mi się daremną.

— I ja tak myślę! — tajemniczo szepnął po cichu pan August. Tomasz to co innego!

Na tem rozeszła się pierwsza rada familijna, ale w ciągu dnia projekta różne były ciągle na stole, i kilkakroć jeszcze je rozbiegano; a że w istocie nad Tomaszem nie było nikogo co by się mógł podjąć ciężkiej misji przy Kasztelanicy, wszyscy naglili, żeby ją przyjął. On się silnie opierał, nie chcąc drogiej poświęcić swobody dla niepewnej posługi, a prawdę powiedziawszy nie wiele dbając i nie bardzo potrzebując tego spadku. Ale tak się nań nasadzili August, Piotr, pani Piotrowa, która w tem widziała córek swoich posagi, że ku wieczorowi choć posępny, już się nie sprzeciwiając milczał. Zauważali wszyscy, że oboje z siostrą usunęli się w kącik salonu i długo tam rozmawiali z sobą. — Tomasz był smutny nad swój zwyczaj i zamyślony.

Paweł dożywał ostatniego dnia pobytu w Zrębach, rad że z nich nazajutrz uciecze; ani go wesołość tego wieńca panienek, tej rodziny tak serdecznie połączonej, zgodnej, miłej i wdzięcznej, poruszyć i przywiązać mogła. Skwaszony domowem pożyciem swoim, przywykły do rozrywek innego rodzaju i tonu, chodził wśród tych nowych znajomości sztywny, nudny i znu-

dzony. Próżno go pan Piotr starał się rozbudzić, oswoić, przybliżyć; pracowały nad tem i panny, i Staś i pani Piotrowa — spełzły na uiczem poczeiwe ich zabiegi.

Niepospolite bo też kwasy zebrały się na dnie, niedawno jeszcze nadziejami przepelnionego serca pana Pawła — wyjeżdżał odmalowawszy sobie wcale inaczey sprawę spadkową, a gdzie zajrzał zbijano go z projektów, spędzano z drogi, począwszy od Sobockiego co go zastraszył, Żmury, który go powitał wymówką tem boleśniejszą że sprawiedliwą, aż do pana Piotra, który nie dając mu przewodniczyć, sam objął kierunek interesu, i panów Augusta i Tomasza, w jego oczach godzących już widocznie na pochwycenie sukcesji z jego krzywdą. Słowem, wszyscy przyczynili się do upokorzenia go, zepchnięcia w kąt i popsucia mu humoru, bo i dziadunio, spotkany na drodze, także go nie pocieszył.

Pożegnał więc wieczorem pana Piotra, jego rodzinę i Pobiałów, w zamiarze ruszenia prościejszą drogą, mijając Rohoże, wprost już do domu. Rozstano się z nim jak powitano, serdecznie, przyjacielsko, i tak go opatrzone na drogę jak w Rohoży. Pani Piotrowa pamiętała tak dalece o chmurnym kuzynku męża, że mu nawet wódki kolońskiej nalata wo flaszeczkę od bólu głowy, choć bigos daleko był potrzebniejszy od niej panu Pawłowi. Było też dość bułek, pieczystego, sucharków, bulionu, w bryce podróżnego. Staś i pan Piotr oświadczyli mu na wyjózdnem, że jadąc do Strumienia, do Kasztelanica, odwiedzą pana Pawła i Hieronima, ażeby młody wychodzący na świat krowniak poznał swoją rodzinę, a za co naturalnie Paweł jak najpokorniej dziękując, zawiązał sobio węzełek; ażeby w miasteczku knpić co potrzeba do kuchni i piwnicy, bo odwiedziuny te miały wkrótce nastąpić.

III.

Powrót pana Pawła do domu, jak cała droga, nie był bardzo wesoły. Trzeba się było wypowiadać przed żoną z uronionych nadziei, a Julja nie miała cierpliwości. Wstyd też było samemu sobie tylu zawodów.

Przejeżdżając mimo dworku Hieronima, postrzegł w ganku pan Paweł, Dziadunia Dymitra, siedzącego na ławeczce, kiwnął głową, bo mu to humor jeszcze gorzej popsuło i ruszył dalej.

Szczęściem żony w domu nie zastał, i od pierwszego ognia na przyjeźdnem był wolny, bo Jejmość na żądanie Petry, przez pannę Hiacynthę pilnie poparte, pojechała o milę na przegląd dywizji ułanów, nadwyczaj ustrojona, resztki także swej piękności wywołując na pokaz.

Pan Paweł nie poszedł do brata, brat nie przyszedł do niego, a nazajutrz dopiero przybyła Jejmość.

— A cóż Pawełku? spytała — dobrze ci poszło? Bo my tośmy się doskonale bawiły! Do mnie szczególnie przyczepił się jakiś major, ale bardzo miły człowiek, mówi nawet po francusku. Mówże no, co było z tobą?

— Niech ich tam wszyscy djabli wezmą! — odpowiedział z góry pan Paweł.

— A co? źle?

— Najgorzej.

— Ale możeż to być?

— Tak jest, nic nie zrobiłem dla nas. Już pokazuje się, że na tę successję wszyscy zęby ostrzą.

— Czy tak! a no! i my też spodziewam się, w kaszy się zjeść nie damy! — zawołała Jejmość czerwieniąc.

Panna Hiacyntha dodała:

— Co za chciwość tego złota! — i westchnęła czule, odgarniając suchą ręką przyprawne włosy, które szczególnie zasłaniały skroń pomarszczoną i zwiedłe policzki.

— No! ale gadajże co to jest?

— Ale cała historia! — odrzekł Paweł — chodźmy no do pokoju.

Jejmość weszła zdyszana i rzuciła się na najbliższą kanapę.

— Wiesz, że ztąd pojechałem do ojca, byłem zaproszony do Sobockich na herbatę, otóż i on pewny jestem, już coś z Jasiem machinuje; tachlnją, bo kłamią i mówią, że Kasztelanie nie jest tak bogaty jak się wydaje. To nie bez kozery.

— O! łajdaki! patrzajcie! chcieliby wszystko wziąć sami.

— Zdradziectwo czarne! — dodała zawsze coś swego wcisnąć pragnąca panna Hiacynta.

— To raz, ale to nic jeszcze. — Na drodze do Rohoży spotykam Dziadunia.

— A on tu jest podobno.

— Wiem, i zajechał do Hieronimów.

— Nie łaskaw coś na nas! — z przyciskiem wymówiła pani — ale chwała Bogu że omija, bo to gbur nieznosny... Ostatnią razą śmiał mi powiedzieć, że jestem stara...

— Można rzec stanowczo, — wtrąciła panna Hiacynta, — że to jest nieokrzesany starzec.

— Aż tu pan Dymitr na mnie.

— Za co?

— A! za Hieronima.

— Z jakiego powodu?

— Zechciałaś! że on ubogi, a ja bogatszy.

— A niech by nie tracił i z tą fładrą się nie żenił! — wykrzyknęła Julja.

— Z osobą bez żadnego wychowania i delikatności, która sama około drobiu chodzi! — szepnęła panna Hiacynta.

— W Rohoży, z temże do mnie Żmura, że ja z tego posagu Teklinego, co on mi darował — odstąpił chęć mówić — nie dałem połowy Hieronimowi, jako by to on nie zrobił dla mnie, ale dla nas obu.

— A! to już gałgan! — zakrzyknęła Julja poryw-
— czo słyszana to rzecz; a za cóż byś ty się trudził,

jeździł? Zyskał to zyskał i kwita; temu trutniowi i szeląga dać nie warto, bo jego kwoczka mu straci, żeby swoje dziatki w kokardy poupinać.

— Musiałem mu wreszcie wystawić, że ja i tak na tych traktatach z Hieronimem wiele straciłem z własnego, więcej niż...

— Co za niewdzięczność ludzi! jaka losu sprzeczność! — wykrzyknęła Hiacynta.

— Ale przybywam wreszcie do Zrębów. — O! o! tu po pańsku — pałace, bale, illuminacje, tańce, awantury; ale ludzie grzeczni — nawet bardzo grzeczni.

— To chytróść, żeby lepiej oszukać! — odezwała się żona.

— Ponętne sieci chciwości i zdrady! — znów echem wtórowała panna.

— Nie wchodzę w to, ale grzeczni. Nuż tedy do rady, i zaraz pan Piotr wszystko wziął w garść. A ja na boku zostałem. Zwołał Pobiałów. Pobiałowie sobie radzi zgarnąć i zaraz proponują Tomasza, żeby go posłać do Kasztelanica. O! uważaj tylko dobrze!

— Widocznie zmowa!

— Pan Tomasz niby to się wzdryga, niby nie chce, opiera, nie może — ale ja to wszystko widziałem... jak było — udawanie! — udawanie! figle! Tylko niewypadało mi nic mówić, nic — bo ja tam sam, a ich kupa, i przy nich siła, więc, sza — milczę.

— Dalejże co?

— Dalej, filut bo i pan Piotr, udaje kaznodzieję, prawi o duszy, a myśli pewnie o worku... gada trzy po trzy... i oświadcza, że naprzód sam pojedzie do Strumienia i spróbuje sił swoich na Kasztelanicu, a jeżeli go do lepszych sentymentów nie namówi... wówczas wystąpi pan Tomasz. Otóż uważasz... chce widocznie spróbować stary, czy jemu się nie uda co dla siebie, a ma trzy córki ogromne i syna. Zresztą on i tak pan, całą gębą pan.

— Nienasycona żądza złota! — westchnęła Hiacynta

— Co za dusze czarne, państwu chcą przeszkodzić!

— Niech ich tam djabli wezmą! — stuknęła pię-

ścią w stół — myślą, że my już tak głupi i dobroduszni, że się damy lada czem zbyć! O! o! nie! poczekacie ruski miesiąc — będzie potrzeba procesu, no! to proces!

Pan Paweł spojrzał na żonę i pomiarkował, że za daleko zajechał, chcąc zwalić winę swej nieszczęśliwej wyprawy na ludzi.

Gniewne jej usposobienie kazało mu się lękać, by za przybyciem obiecauem pana Piotra, Julja zbyt źle bogatego i wiele znaczącego u ludzi stryja, nie przyjęła; począł się więc cofać powoli.

— Juściż znowu — rzekł — tak dalece — bo widzisz moja duszko... oni nie są tak źli.

— A! ty ich już myślisz bronić, dobra duszo! porzuć to, porzuć — przerwała Julja, — ja ich wszystkich znam; ja wiem co to są bogaci krewni. Mój ojciec Mizner, miał krewnego, prawie że krewnego w Inflantach, bo się nazywał tak jak my, tylko że był baronem. Otóż jeździł raz aż do niego, do tych Inflant — prawda, że nie wiedział w jakim stopniu byli pokrewieństwa — ale co myślisz? wyprawili go z kwitkiem, jeszcze nawet co na podróż stracił ojciec, i tego mu nie wrócili, choć ten Mizner bogaty był jak *Kreza* (tak nieboszczyka Krezusa nazywała zwykle Julja).

— Prawdziwie — dodała w sposób komentarjusza, panna Hiacyntha — ci panowie to są bryły kamieni; rzekłbyś że złoto, które ich szczęście stanowi! natury im swojej zimnej i twardej udziela!!

Wyrzekłszy to poetyczne porównanie spojrzała zwycięzko, ale któż miał jej okazać potrzebne współczucie, gdy wszyscy tak byli zajęci sprawą familijną! Poszło więc i utonęło w zapomnieniu fali, szczytne formą i myślą porównanie guwernantki.

— W końcu — rzekł mąż — pan Piotr tak łaskaw, że przyrzekł nas wkrótce z synem odwiedzić; będzie tu w tym tygodniu jadąc do Strumienia. Powiedział mi nawet, że chce syna zaprezentować i polecić familji — to są jego własne słowa. — Już to że grzecz-

ny, to prawda. Synek, chłopiec jak z igły..... Kto to wie!

Spojrzał nieznacznie na Petrę; Panna Hiacynta uśmiechnęła się, palcem suchym i podobnym do gałązki chrustu pociągając po nosie śpiczastym. Petra udała że nie rozumie, ale roztrzpiotanie jej nagle dowodziło, że to nie popsło humoru dziewczęcia.

Julja zamyśliła się, spojrzała w zwierciadło — i kto wie jakie dumy, jakie myśli przeleciały przez głowę dawnej piękności, jeszcze w swoje wdzięki pokładającej wiarę.

— Ale to trzeba wystąpić — odezwała się trochę udobruchana — bo to państwo przywykło lichu wie do czego — kaszy im nie dać, ani pierogów.

— Właśnie o to i mnie głowa boli — ale niektóre rzeczy przywożłem z sobą.

— Prawdziwie, przyznać należy, iż pan jesteś nieporównanej prezencji umysłu — pochwaliła panna Hiacynta — ale czyś pan nie zapomniał gałki muszkatołowej, pieprzu i musztardy?

— Dlaczego? — spytał pan Paweł.

— Zaraz to panu wytłómaczę — z gestem pełnym pretensji zwracając uwagę na siebie, i sybilijnym poczynając głosem odezwała się guwernantka. Julja przywykła jej wierzyć, obróciła się uważnie i poczęła słuchać.

— Wiem to z pewnością, z największą pewnością — z przyciskiem wymówiła — że wielcy panowie, do których rzędu chce się liczyć pan Piotr, w swej kuchni, dla podbudzenia zmysłu zniszczonego rozpustą, potrzebują nieustannych przypraw mocnych, na których cały ich stół spoczywa.... Pieprze, gałki, musztardy, to ich chleb powszedni.

Pan Paweł oczy wytrzeszczył.

— Oni to łyżkami jedzą! — zawołała Hiacynta — to rzecz pewna!

— Ale, proszę pani — rzekł pan Paweł — ja tam kilka dni u nich siedziałem i na baliku jednym byłem, a tego nie uważałem.

— Pan byłeś zaprzątąiony, roztargniony, zgryziony; jego usta, iż tak rzekę i podniebienie, dzieliły preokupację ducha — tak! ducha! i nie dziwnego, że w tym stanie byłbyś pan zjadł cokolwiek podobało się im podać, i nicbyś nie wiedział.

Paweł, przypomniawszy sobie jakąś potrawkę z ostrym sosem i truflami, które starannie wypłukał, wiedząc przytem, że starej panny nie przekona, umilkł dając się skonwinkować. Postanowione więc zostało, że dla okazania swej znajomości zwyczajów wielkiego świata, dobrze pana Piotra opieprzyć wypadnie.

Julja tymczasem już się i domem i Petrą troszczyła, żeby się to wszystko jak najlepiej pokazać mogło, i nagle wśród zamyślenia głębokiego, padając na kanapę, parsknęła śmiechem.

Panna Hiacyntha palcem okulbaczyła nos i parsknęła także, niewiedząc jeszcze czego się śmieje.

— A! na myśl mi to przyszło — odezwała się Julia — wszak oni będą pewnie choć na chwilę i u Hieronimów — jak też ta nieznośna kwoczka da sobie radę. Bo to ani wie jak przyjąć, ugościć i da im kluski! cha! cha! oto będzie śliczne przyjęcie! Mrę do prawdy ze śmiechu! a! a jakżebym rada widzieć jej konfuzję!

Guwernantka uśmiechnęła się powtórnie.

— Istotnie — odezwała się — ci ludzie nie stworzeni do społeczności wyższej... mogą być wielce skłopotani... wypadłoby może dać im znać wcześniej.

— O! nie! nie! właśnie że nie! — podchwyciła Julia — sza! cicho! zobaczymy jak się stropią, o! to będzie przedziwne. Co oni im dadzą i jak oni ich napoją i nakarmią. — Zobaczycie że do nas przyślą po talerze i łyżeczki — po wszystko. — Ale że nie dam, to klnę się, dosyć miałam dla nich pobłażania... chcą być nam równi, zobaczymy!

Paweł milczał kwaśny, a dwie kobiety rozpoczęły długą naradę nad frankami, domem od dawna opuszczonym, ubiorem panny Petry, wystawą jej wdzięków i talentów, kuchnią pieprzną i tysiącem szczegó-

łów, bo niestety, zapowiedziane odwiedziny miały przypaść w ciągu tygodnia, a gdy tyle jest do zrobienia, czas tak leci. Wysłano tegoż dnia dwóch posłańców po robione kwiatki, po wstążki, tiule, po przyprawę do potraw i dla Petry. Głowy się tak paliły, że panna Hiacynta zajęła się zaraz robieniem sobie świeżego stroika, w którym jeszcze dziwniej miała być podobną do tych poczwar, które gotyccy rzeźbiarze rozrzucaли na sklepieniach i słupach starych katedr; Julja ścisnęła gorset, a Petra moczyła rączki żeby były bardzo białe.

IV.

W małym domku pana Hieronima, pod słomianą strzechą ubóstwa pocziwego, które się kłamanym nie chciało okrywać blaskiem, panował spokój przerywany chyba troską o to jutro, które zanadto chrześcijan dręczy. W tym niepokoju o chleb powszedni, jest w nas coś jeszcze pogańskiego człowieka.

Cóż tu brakło do zupełnego szczęścia, wśród zgody, pokoju, miłości, wśród hoźo i wesoło rozwijających się dzieci? chyba majątkości co by to jutro złocąc troskę o nie zsunęła z czoła rodziców. Hieronim rozumniejszy był w tem od żony, a nadewszystko odważniejszy; mało kto jak on potrafił by wytrwać nieugięty, niezłomny, niezniecierpliwiony tysiącem drobnych ukłuc losu, które się może srożej swą nieustannością czuć dają, niż wielkie klęski. Z uśmiechem przyjmował krzyże, pocieszał żonę i szedł pracować, a gdy biedna kobieta, co sobie nieustannie i swojemu zamiężpójściu przypisywała wszystkie biedy, spadające na Hieronima — płakała, on ją nieraz pocieszał i krzepił temi słowy:

— Spójrz na rozum chłopca, a zawstydzisz się. W obec Boga, taki on człowiek jak i my; czy on się trapi dziećmi, sobą? robi co może, i wesoło dźwiga brzemię,

jakie mu Bóg wyznaczył. Myślisz, że w innych stannach niema żądz, niema chuci i niepokoju jak u nas? mylisz się — każdy chce więcej, a do prawdziwego szczęścia wyżej potrzeba tylko patrzeć umysłem, a sercem niżej, by siebie najnieszczęśliwszym nie nazywać.

Pani Hieronimowa, przejęta czcią dla odwagi i charakteru męża, osuszala łzy i szła ze swojej strony pracować, wspierana i wyręczana przez piękną Zosię, która główką i ręką wyprzedzała rodziców, chcąc im ulżyć ciężaru, o którym więcej słyszała, niżeli go doświadczyła. Młodość nierychło, poczuwa chłód życia, bo żyje ciepłem które w sobie nosi.

Wszystko jeszcze uśmiechało się Zosi, która lichego dworku rodziców byłaby za pałac nie zamieniła. Od dziecka ona pojęła położenie swoje, ukochała je, i ochotnie poświęciła się na ofiarę rodzicom, postanawiając żyć dla nich, im służyć i nigdy o sobie nie myśleć. Proste to było ale anielskiej dobroci dziewczę, bo z piersi matki, z ust ojca wyssała naukę miłości i ofiary. Bóg też ją napiętnował wdziękiem i powagą uad lata; nieraz już pani Pawłowa, patrząc na nią i na swoją Petrę, rozżarzała się potajemnym gniewem, widząc jak przy prostocie jej i wdzięku gasła wychowanka wymownej panny Hiacynty, skrzywiona, kwaśna i zepsuta zawcześnie.

W cichym dworku Zosia była matką, sługą, siostrą, poradą i pomocnikiem — wszystkiem czego niedostawało rodzicom, i jedną tylko, ostatnią chwilę wieczorną miała na modlitwę, której dusza jej pragnęła jak pokarimu, bez której wiedła jak jej podobne kwiatki bez rosy poranku.

Kochali ją państwo Hieronimostwo jak pierworodne swe dziecko, ale poczciwa Zosia zawsze dowody łaski, uczucia, przywiązania zlewała na rodzeństwo, niechając innej nagrody dla siebie prócz uczucia, jakie w nią wlewało spełnienie tajnej swej myśli.

Od dwóch prawie tygodni bawił we dworku Hieronimostwa stary Dziadunio, a raz tylko poszedł do pań-

stwa Pawłów, co ich niezmiernie bolało. Wiedziała Julja o kapitaliku staruszka, pragnęła go bardzo przywabić i zniewolić, żeby go dla Petry zapisał; byłyby to posażek gotowy. Myśl ta jednak wcale im nie szła w wykonaniu. Stary nie tał się, że wołał Hieronimów, najdłużej zawsze w ich domku bawił, z nim gospodarzył, chodził, rozmawiał, chłopców mu uczył czytać, pisać, rachować i ruskich przysłówiów, które oni po cichu powtarzali; domyślano się nawet, że i pieńiedzmi musiał biednym krewnym dopomagać.

W kilka dni po powrocie pana Pawła, siedzieli wszyscy przy wieczerzy wczesnej we dworku Hieronimostwa, a Żośka koło nich szezebiocząc dreptała i służyła, to pieszcząc Dziadunia, to wyręczając matkę, to schylając się, upominając i pilnując braci — gdy zaturkotowało. — Ale zaturkotowało straszliwie! Inaczej słychać wóz idący z pola, inaczej bryczkę księdza proboszcza, i wielki kocz grzmiący po wyschłej ziemi...

Pan Hieronim poznał turkot powozu i struchlał; żona jego załamała ręce — kocz wiedeński, czterema prześlicznymi zaprzężony końmi, zatrzymał się w ich dziedzińczyku, na którym ledwie się mógł obrócić.

— Zginęłam! — zawołała — kluski! — Ktoś przyjechał.

— Kostusiu! Kostusiu! — powstając rzekł pan Hieronim — co ci jest, czego się lękasz? Najbogatszego pana przyjąć się nie wstydzę czem mam, dla nikogo nie wystąpię nad możność, bo to głupstwo. Kogo Bóg dał, przyjmujemy czem Bóg dał — bądź spokojna.

— Czom chata bohata, tom i rada — ne żurysia — jakoś to bude.*)

Drzwi się otworzyły, wszedł pan Piotr, a za nim Staś; Hieronim pośpieszył naprzeciw stryja z uczuciem i uszanowaniem, Dziadunio wyciągnął ku nim ręce wesół:

— A witajcież! witajcież!

*) Czom chata bogata, tem rada — nie frasuj się jakoś to będzie.

— O to mi goście!

— Jakże moja chata szczęśliwa!

— Jak się masz Dziaduniu?

— Hliadi na wyd, ta zdorowlia ne pytaj.¹⁾

Hieronimowa aż przysiadła nieboraczka, całując ręce pana Piotra, ale jako gospodyni nie wytrzymała i na samym wstępie zawołała. A! czemuż my niebożęta takich gości przyjmujemy!

— Otóż na samym wstępie wam zapowiadam — rzekł pan Piotr wesoło — że co Bóg dał to mi dobre — prawda Dziaduniu, wszak ty mnie znasz?

— Oj! oj! jakij jechaw, takij zdybaw.²⁾

— Jam biedy kosztował — mówił dalej pan Piotr — i do wszystkiemu przywykł. Staś potrzeba aby się hartował — dajcie mi kątek w szopce, bo to lato, miszkę krupniku a dłoń pocziwą... i kwita! Nie bójcie się, ja nie pan, a on nie panicz; choć może więcej trochę mamy, aleśmy wasi bracia i tak dobrze łamoczem chleb razowy jak pytlowy... Więc kochana pani, proszę mi bez żadnych występów — i jeśli mnie nie postawicie w szopce na sianie, to się pogniewam i pojadę. Jeśli mnie kochacie, to mnie posłuchacie.

Pan Hieronim chciał się z czemś odezwać, ale mu Piotr nie pozwolił.

— Widzicie — rzekł — żem nie zajechał do Pawła, bo wiem, że ze mną będzie robił ceregiele, a ja tego nie lubię. — Ale jeżeli mnie nie postawicie w szopie i zobaczę najmniejsze przybory — to jutro ruszam. Słowo honoru Hieronimie, że mnie przyjmiesz jak krewnego?

Hieronim pocałował stryja w ramię, spojrzał na żonę i okiem dodał jej otuchy. Zośka już była wybiegła, ale nim wyskoczyła, w samych drzwiach, śliczne jej oczy spotkały się z żywym wzrokiem Stasia. — Biedne dziewczę zarumieniło się, jakby je ranił pocisk niespodziany, niepojęty... a chłopiec stanął wryty i ręką tylko powiódł po czole, jakby sen od niego odgarniał.

¹⁾ Spojrz na twarz, o zdrowie nie pytaj.

²⁾ Jaki jechał, taki spotkał.

Zdarzyło się wam kiedy w życiu ujrzeć twarz po raz pierwszy a dobrze znajomą; z kąd? ze snów wiśszczych, z marzeń przedświatowych, z kolebki nicości? z nadziei żywota? — nie wiem. Twarz ta pociąga nas jak braterska, zadziwia jak zjawisko, przeraża jak widmo; witasz w niej znajomość, a nie śmiesz wyciągnąć ręki wąpiąć czy cię poznano. O! są w życiu tajemnice, niezbadane, niezgadnione węzły, których żadne niedojrzało oko, nici co przez światów szereg łączą dwie istoty — a zerwać ich nic nie może. Któż ten fenomen życia serc wytłómaczył? Jestli jaka formułka i na to w filozofji nowej?

To spotkanie we drzwiach było czemś niepojętem dla obojga i oboje oblalo wstydem, przejęło niepokojem. Staś ustawicznie się oglądał, Zosia drżała na myśl powrócenia do izdebki sama niewiedząc czemu; stała w sieni, przypominała po co szła i przypomnieć nie umiała, nareszcie, jakby ochłonawszy, przeżegnała się na odegnanie tego uroku, w prostocie ducha tak to sobie tłómacząc, i powoli, zadumana, poszła do ludzi.

Tymczasem w pokoiku krzatali się gospodarze — Hieronimowa łamała ręce i ścierała pyły gdzie ich nie było, Hieronim krzesła przysuwał siedzącym, Dziadunio zaś wesół i przytomny, wzięwszy na się urząd wicegospodarza, dysponował i bawił.

Sypały się przysłowia! sypały!

W mgnieniu oka, za ledwie ów kocz co takie sprawił zamieszanie odszedł do stajenki, i zatoczył się po odprężeniu koni do stodółki — bo na taki powóz nie było wozowni stosownej — już u państwa Pawłów wiadzano o dostojnym gościu. Tam od dwóch dni gotowali pieprze i czyścili brudny gościniec i glansowali samowary i ogórkową wodą umywali Petrę.... a Piotr, niewdzięczny pan Piotr, zajechał wprost do Hieronimów!!

— To omyłka! to jakieś niepojęte bałamuctwo! — chodząc żywo po pokoju wołała Julja; — idź, spiesz Pawle, idźże prosz, prowadź. — Gdzież to podobna żeby on tam stał? Smród, ciasnota, dzieciśka, a cóż

mu dadzą jeść! Idźże, idź! Oczewiście omylili się i niewiedząc co zrobić, zostali; ale nas posądzić że my w takiej chalupie mieszkamy, to także taktu nie dowodzi!

— Istotnie, to coś myślą niedoścignionego — dodała żywo panna Hiacynta — Panu pozostaje naprawić ten błąd, to uchybienie — i iść prosić pod swój gościnny dach; my tu resztę tymczasem przygotujemy.

I pospieszyła po kadzidło, którem salon zapowietrzyć czuła się w obowiązku. Paweł porwał za czapkę i przez płoty, przełazy, rowy, dalej na prost do dworku.

Wszedł gdy pan Piotr i Staś zjadali kluski ze słoniną, które stały na stole; ujrzał to i uśmiech tryumfu wykwił na ustach jego. A! a! u niego robiono właśnie bitą śmietankę, w którą panna Hiacynta tyle włożyła karaku, że ją wykrochmalila jak kołnierzyk, i trzymała się sztywna jak autorka tego arcydzieła.

— A! stryja dobrodzieja!

— Jak się masz Pawełku! jak się masz! Otóż jestem, widzisz; słowny, nieprawda?

— Ale czemuż stryj dobrodziej nie łaskaw do mnie?

— Poczekajno, przyjdzie kolej i na ciobie!

— Bo tu — dodał pan Paweł — u brata i ciasnota, i dzieci....

— Ale bardzo mi będzie dobrze — rzekł pan Piotr — wysmieniecie; jużśmy się urządzili.... a jutro, jeśli pozwolisz, zapraszamy się na obiad do ciebie.

Tu był sęk: wypadało prosić Dziadunia razem, Hieronimostwo oboje i t. d., a pan Paweł nie miał w tym względzie wyraźnej od żony instrukcji — załatał się więc uśmiechem i powitaniem gorącymi, pomyślawszy że z zaproszonymi Julji dla reszty towarzystwa przyjść może i później.

— Siadajże bracie — rzekł Hieronim.

— Doprawdy — odezwał się nalogając Paweł — gdyby stryj był łaskaw główną kwatorę u mnie sobie obrać.... w obszerniejszym domu.... byłoby lepiej. Żona moja już wszystko przygotowała....

— Na co ci mam kłopot robić, kiedy już tu jestem; dziękuję i odkładam na drugi raz.

— Dosyt' z Liacha kurki ¹⁾ — odezwał się nareszcie Dziadunio — kontentuj się Waśc objadem, panio Pawło, i zostaw Hieronimowi stryja.

Paweł ucichł, ale mu było kwaśno; nie wiedział jak tu z tem do żony powrócić... Owa bita śmietanka, owe kadzidło stracone, a loki Petry które się tam tak starannie rozwijały, a oświecenie salonu!! Wszystko to niechybnie musiało zły humor wywołać, sprowadzić burzę i rozbić się o łysiejącą głowę męża! Co ona powie! myślał, co ona powie! — Truchlał, ale usiadł.

Wszczęła się jakoś rażniejsza rozmowa; podano resztę wieczerzy. — Pan Piotr jadł smaczno, Staś po młodemu, i oba wstali, dziękując gospodyni, która się płoniła i przepraszała. Staś nawet najniepotrzebniej w świecie podziękował i Zosi. Ta się zarumioniła także, i pod pozorem szukania kluczków, uciekła. Otartłszy usta, Piotr przeżegnał się po katolicku i siadając opodał, rzekł:

— Jak mi Bóg miły, dawnom już tak smacznej nie jadł wioczerzy.

— Cóżby to on powiedział na naszą śmietaukę? — pomyślał w duchu Paweł. — Niewdzięczny człowiek! dobrze mu tak! niech się oblizuje po kluskach.

Zahawiwszy blisko godziny, widząc że tu nic nie zrobi, Paweł powrócił do domu wolnym krokiem, na około, z wielkimi modytacjami. Tam czekano nań, wysyłano i gdy się pokazał przez wszystkie drzwi rozlogły się głosy: — Idą! idą! idzie!

Petra poprawiła loki wstrząśnieniem głowy, którego się nauczyła od jednej panny z Żytomierza przybyłej! Hiacynta pociągnęła mitonki i wyprostowała nos, która zawsze miała w podejrzeniu, że się trochę na bok trzymał; Julja podniosła głowę, usiłując ją na grubej szyi ułożyć do równowagi.... zakadzono szybko, i wszedł... solo pan Paweł.

¹⁾ Dosyć z Lacha kurczęcia.

— No! a oni!

— A oni tam nocują! — cicho odparł mąż.

— Jakto nocują? — zawołali wszyscy — gdzie? co? jak?

— A nocują! — żałośnie powtórzył Paweł.

— No! a wieczerza?

— Już oni i jedli.

— Co? coś oni tam mogli jeść?

— Kluski i krupnik!!

— A to przedziwne! przedziwne! kluski, krupnik! — śmiejąc się złośliwie krzyknęła Julja... — powtórz-że jak to było? Jedli? jedli kluski i krupnik, czyż to być może?

— Tak jest jak ci powiadam; zajechał, roztasował się, jadł co mu dali, jeszcze chwalił że smaczne i nocuje tam, a jutro do nas zaprosił się na objad.

Julja zacięła usta i spojrzały na siebie porozumiewając się z panną Hiacynthą.

— Po krupniczku! naturalnie nie wielkie tam miał nadzieje na objad? Dopiero pokażemy co umiemy!... — I uśmiechały się obie szeptaając i naradzając się cicho.

Hiacynta dodała głośniejsz:

— A ja mówię, że w tem coś jest! intrygi! intrygi!

— Mniejsza o to! niedbam! niedbam! — przerwała Julja — i owszem! — kwaśno i złośliwie a szybko dodała — niech dnują, nocują, jedzą, piją, u tego zagrodowego szlachcica (tak nazywała Hieronima) — a pewno mu szczęścia nie pozazdrosczę.

— Ale moja lubko — jutro wystąpi!

— O! to się rozumie!

— Czy nie wypadałoby wszystkich prosić?

— Naturalnie — alboż?...

— Ale ja nie śmiałem.

— O! jakiż z ciebie...

— No! to pójdę.

— Poślij tylko.

— No! to poślę zaraz.

Hiacyntha poważnie wstrzymała Julję za rękę.

— Niech się pani zastanowi.... to są intrygi.

— Może to być, ale ja niemi gardzę.

Niepodobna opisać, jak po tym zawodzie bolały głowy tych pan, kucharza i sługi, którzy najwięcej za zły humor państwa odpokutowali. Paweł wykreślił się od swojej duszyczki, pod pozorem dyspozycji i uciekł do trzeciego pokoju, cicho fajkę pałac i powtarzając sobie pod nosem: — Poczekajcie, poczekajcie, jutro zobaczycie!

Julja chodziła z Hiacynthą po salonie, śmiejąc się gniewliwie.

— Ciekawam, bardzo ciekawa, jak ich ta nędzota przyjmie.... bo to gołe, głupie, nie wie, nie umie... żadnego wychowania.....

— To są nieociesane klody! — zapominając na chwilę o doborze wyrazów, dodała guwernantka.

— Cóż to to? to z tem gadać nie można? a co jedzą? a jakie mieszkanie? Ślicznie wpadli, ale dobrze im tak! Nie pojmuję!

— Powiadam pani, to są czarne intrygi.

— Nie wiem, ale się to wszystko odkryje.

— Widzę to, poczynam się domyslać, że wszyscy Pawła nie lubią.... wolą Hieronima — pochlebca.

— Pani! taką jest zawsze niesprawiedliwość ludzka.

— A Hieronim — rzekła wyraziście — nie wart jego pięty!

— Nie njmuję nikomu — potwierdziła towarzyszka — ale widząc ich, niktby nie wysnuł wniosku, że to są rodzeni jednego łona potomkowie!

Julja już do tych wyrażań przywykła, zrozumiała, że to miało znaczyć rodzeni bracia, i ruszyła tylko ramionami potwierdzając zdanie.

— Trzeba wystąpić z objadem.

— Byle im pieprzno tylko! — rzekła swoją myśl ciągle forytując Hiacyntha.

— Ale zmiłuj się, słodko też i tłusto.

— Tłusto, pozwalam, ale bardzo pieprzno, bardzo pieprzno! Nawet o zupie czytałam pewnej — zdaje mi

się, że się nazywa żółwią, w jednym francuzkim romansie — która bywa tak zapieprzona, że od niej usta tracą swą powłokę. To właśnie jadło pańskie i w najlepszym tonie.

— A srebra wszystkie aż do enkierniczki.

— To się rozumie.... a pieprz podać też potrzeba w trzech gatunkach na stół, żeby sobie mogli jeszcze dosypywać. Łyżkami go słyszę jedzą. Niech znają, że i tu wiedzą ich zwyczaję.

— Ale cóż będzie ze śmietanką?

— O! o nią nie mam najłżejszej obawy — zawołała z gestem teatralnym guwernantka — tyle w jej wnętrzu wlałam rybiego wycisku, że do jutra utrzymać się musi.

— Pewna też jesteś, że nie zwodnieje?

— A zimna pieczara?

— Co takiego? — spytała zrozumieć nie mogąc Julia.

— Po prostu — lodownia, tam jej nocleg przewidziany.

Gdy się to ważne śmietankowo odbywają obrady, my zajrzymy jeszcze do domku sąsiedniego, gdzie wesoła toczy się rozmowa, gdzie już — gospodarz, gospodyni i dzieci oswoiły się z przybyłymi gośćmi. Hieronim bowiem, acz mniej otarty w świecie, daleko był śmielszy, naturalniejszy, swobodniejszy od Pawła. To łatwo pojąć — krochmalom, który ludzi robi sztywnymi, jest próżność obawiająca się ciągle upokorzenia. Kto zamiast niej ma uznanie swej godności tylko i spokój duszy, ten wszędzie będzie jako u siebie. Prostota jest jedną z cech poczciwości; wymuszenie kryje najczęściej obłudę i nieszczerłość. Nie są to prawa bez wyjątku, ale postrzeżenie to często się bardzo w praktyce życia potwierdza.

Hieronim po chwili rozwagi, Hieronimowa kilka osmielona słowy, byli wkrótce ze stryjem i braciszkiem jak ze swymi, jak zdawna i poufale znajomymi. Dzieci nawet łatwo się oswoiły z poczciwym i łagodnym panem Piotrem, którego twarz poważna a słodczy pełna malowała piękną duszę. Dziadunio chodził po pokoju

ręce w tył założywszy, a niekiedy z radości to głową potrząsał, to rzucił dobitnem przysłowiem. Staś, krążąc od krzesła do krzesła, nieznacznie zbliżał się do Zosi, której serce biło, nie wiedziała czemu i po co?

W chwili kiedy pierwsze miał do niej powiedzieć słowo i pracowicie go wyszukiwał, ruszyli się wszyscy na dany przez pana Piotra znak do odejścia i spoczynku. Staś wziął smutnie za czapkę i spojrzał, znowu się spotkały ich oczy, znowu doznali wrażenia. Ale nikt tego nie mógł uważać, bo kto żył zajęty był wyprawadzeniem pana Piotra.... którego wiedziono ze świecami, z latarniami. Zosia tylko została w ganku, cicho powiedziawszy dobranoc Dziaduniowi.

Staś odwrócił się po swoją należność, uprzedzając Zosię:

— Dobranoc.

— Dobranoc pann.

To panu wiele było znaczące — nieśmiała mu powiedzieć inaczej, dla czego? nie wiedziała, ale Stasiowi wielce widać chodziło o ponfalsze nazwanie.

— Przepraszam — rzekł zdobywając się na śmiałość i patrząc w jej śliczne, przestraszone oczki — ponieważ meniu ojcu mówisz Dziaduniu, powinnas mnie nazywać stryjaszkiem, nieprawdaż?

— A! może; więc dobranoc — stryjowi.

— Dobranoc mojej synowicy...

I tak się rozstali, a Staś odchodząc obejrzał się jeszcze kilka razy ku gankowi w którym stała piękna Zosia, poglądająca na ten uroczysty pochód do śpichlerza. Nie w szopie bowiem, ale w porządnym uowym lamusiku Hieronim stryja umieścił. Było to coś na kształt litewskiego swironka, bardzo schludna budowelka, na to święto przyozdobiona, oczyszczona, wyświeżona tak, że na wcale wygodną wyglądała izbę. Nie trudno było opróżnić śpichlerzyk, bo na przednówku stał pustką — kilka tylko z niego nasypek i bodni wyniesiono, wyjęto deski stanowiące zasieki; a słupy pozostałe nie zawadzały i nie szpecily. Ściany wybił sam pan Hieronim resztką starych makat i dywaników, które

mu się po ojen ze szczątków dawnej zamożności dostały. Wniesiono parę łóżek, wysłano matami podłogę, dodano stoły i krzesła, i zdawało się, że im tam być powinno o ile być może wygodnie. Piotr aż nadto był rad z kątką i jeszcze wymawiał, że się zbytecznie dla niego kłopotano, gdy oboje gospodarstwo zaglądali do posłania i próbowali czy nie wieje.

— Dajcież pokój — zawołał Piotr — nie frasujcie się; wiecie żem się nie urodził bogatym, nie wychował miękko, biedę znałem i dobrze ją pamiętam, a Stasia Boże mnie uchowaj na nowomodnego gagatka wystrychnąć — niech się hartuje, bo nie wie co go czeka.

Z tem się rozstali — odeszli gospodarstwo, a Dziadunio jeszcze przyzostał. Staruszek był widocznie z czegoś bardzo rad i zdawał tryumfować; spojrzął na drzwi gdy odchodzili i poczekawszy żeby go usłyszeć nie mogli, odezwał się do pana Piotra:

— A co? nie mówiłem, że to ludzie złości, serca brylantowe; oni, dzieci, choć do rany przyłożyć! A dobre to! a cierpliwe, a biedne i ubogie. — Bóg tylko jeden wie jak! Sam pracuje gdyby wół, ona się nie oszczędza. Zośka to aniołek, słowem, ja tu na nich patrząc, to się sercem raduję a oczyma płaczę. Ale co im z mojej pochwały — Chwała soroczki ne dast' ¹⁾.

— No, ale wytłómacz-że mi, jakim sposobem ten pocziwy, rządny i pracowity Hieronim tyle stracił? Paweł hula a ma, ten hornuje — i nic.

— Szczęśliwomn szczęście! ²⁾ — westchnął Dziadunio — przyznam ci się braciszku, że to i dla mnie było, a poniekąd i jest zagadką, choć głowę łamię nad jej odgadnieniem. Wiele rzeczy jest niepojętych... wiele się daje zrozumieć. Hieronimowi się nie wiedzie, to pierwsza. — Prybnd' szczęście, rozum bnde ³⁾ — powtóre, o czem i żona i żywa dusza

¹⁾ Z pochwały nie uszyjesz koszuli.

²⁾ Szczęśliwemu dola!

³⁾ Przybądź szczęście, rozum się znajdzie.

nie wie, bo to największy sekret, pono go brat serdecznie okpił; po trzecie, Hieronim ubogi biedny, ostatni kawał chleba, ostatnią odzież z pleców biedniejszemu dać gotów.

Panu Piotrowi łza się w oczach zakręciła, otarł ją szybko i nieznacznie.

— A spytajże go — mówił dalej Dymitr — to ci się nie przyzna jak do grzechu. Pawełek dobre człowiecze, ale przy nim to miedź przy złocie. Długo żyję młotanie, a na takich ludzi nie trafiłem. A jaki to niewidomy wpływ — dodał żywiej rozgadując się stary — wywierają na otaczających: patrzaj! żona, dzieci, niechaj jeszcze, ale słudzy ich, ludzie, to wszystko zdaje się z innego materiału — wszystko serdeczne, słodkie, grzeczne, pocziwe.

— O! kochasz bo ich Dziaduniu!

— O! bo warci panie Piotrze! Koły lubisz liubi duże, a ne liubisz, ne żartujesz ¹⁾, powiada przyśłowie, i dalibóg dobrze.

— Ja się temu bynajmniej nie sprzeciwiam, bo i ja czuję do nich słabość.

Dziadunio uściśnął pana Piotra i rozśmiał się.

— A widzisz! — rzekł i ciszej szepnął: — I pomożesz? ty i ja? prawda?

— Nie — ja sam — rzekł pan Piotr.

— O! o! brat sobi rad! a toż dla czego?

— Bo ty nie masz Dziaduniu czem szafować, tobie i tak ledwo staje.

— To mnie wiedzieć — hliady sebe bude z tebe ²⁾; ja stary egoista, nie dam się skrzywdzić! Chłopców im do szkół oddamy, i o co najgorzej podobno boli głowa Hieronima, do dekretu Zawilskich go przyłączysz bo pan Paweł siebie wścibił, a o bracie zapomniał; chcieli od niego za to dwa tysiące których niema. Sobocki niby miał robić interes, ale to także Ne daj Boże z Iwana pana ³⁾, a co dopiero kiedy

¹⁾ Kiedy kochasz kochaj mocno a nie kochasz, to nie żartuj.

²⁾ Patrzaj siebie będzie z ciebie.

³⁾ Nie daj Boże z chłopca pana.

z Moszka? Nastraszyli go trudnościami, metrykami, chcieli odrzeć djabeł wie za co... niechże się nieuda. Wiem, że o to Hieronimowi głowa schnie, a grosza nie mają. Już chciał iść służyć i podobno trwa w tej myśli.

Pan Piotr ruszył ramionami.

— Dopóki żyję do tego niedopuszczę! odsunąłem się od nich, straciłem ich z oczów; Hieronim milczał, moja wina żem się nie dowiadywał i do tego stopnia doszło, a większa Antoniego, że mi znać nie dał.

— Da się naprawić — rzekł Dziadunio — że biedy trochę skosztowali, to nie szkodzi. Jak po głodzie lepiej potem trochę szczęścia smakuje; ale w czym sęk, żeby to zrobić wszystko tak chytro mudro ¹⁾, tak zręcznie, żeby Hieronim nie miał nam nawet za co dziękować! O tem pomyślimy! Niechby też i jemu polżało na świecie, bo Pawłowi dobrze się dzieje: Leżeń leżył, a Boh dla neho doliu derżył ²⁾, niechajby i Hieronim nie miał powodu powtarzać — że: Odnomu na trysoczci priadetsia, a druhomu i woroteńco ne chce ³⁾. O! tak tak! pomożemy! Ale czas bo wam: dobranoc, a więc...

Dziadunio zatarł ręce raźnie, nigdy go jeszcze nie widziano w takim humorze, ożywiało go to, że i dobrze miał zrobić i to jeszcze z figielkiem jakimś. Nic go bowiem nie rozweselało nad figiel, dobra prawda powiedziana komu w oczy lub zwycięstwo pocziwych, a cichych, nad którymi zwykł był rozciągać opiekę.

Dał więc dobranoc i śpiewając: Ne chody Hryciu — wyszedł do swojej izdebki.

¹⁾ Chytro mądrze.

²⁾ Leniuch, leży, Bóg mu dole gotuje.

³⁾ Jednemu trzaseczka przędzie, drugiemu i wrzecziono nie będzie.

V.

Nazajutrz niezmierny był rozruch w dworze u państwa Pawłów, a co panna Hiacynta miała do czynienia wypowiedzieć trudno; wzięła bowiem na siebie część herkulesową, kuchenną. Julja się na tem zupełnie nie знаła; jadła smaczno i wiele, ale zadysponować, wydać, poddać kucharzowi myśl szczęśliwą i nową nie potrafiła. Petra miała to także za coś bardzo parafrastycznego, żeby się kuchnią zajmować — siedziała od rana przed zwierciadłem, czesała i opinała włosy, patrzyła się sobie w twarzyczkę, którą niestety nic nie zdobiło oprócz wdzięku młodości, a i ten wdzięk gasiła wyuczona wymuszoność, minka przybrana *mutatis mutandis* od panny Hiacynty, chód pożyczany i pełne wyrzeczenie się swobodnych instynktowych natury natchnień. Julja sobą niemniej jak córka zajęta była — dawna jej piękność zawsze niepokoiła ją jeszcze, ciągle się sobie przypatrując, znajdowała, że trochę tylko utyla ale nie przypuszczała żeby mogła choć odrobinę zbrzydnąć — miała się jeszcze za ową dawną Wenus poleską, za którą tłumami biegła młodzież wołając:

— Juljo! boska Juljo! błagamy cię choć o wejrzenie!

Niekiedy spojrzała na córkę, i w duszy po cichutku mówiła: Petra jest przystojna, ale daleko jej do mnie. I przychodziło jej na myśl, żeby Stasia niewinnie wciągnąć oczyma swemi w sieć, która dla Petry zastawioną być miała. Myśl była czysta a cel tak macierzyński!... Nie wiem czy z tego, czy z innego powodu Julja stroiła się niezmiernie, sznurowała do młodości, i gdyby jeszcze piękną być mogła, pewnie tyle starań byłoby jakiś wypracowało skutek. Niestety! suknie pękały. a kibić owa urocza, giętka, trzciniowa, kibić dziewicza latek osiemnastu nie chciała i nie chciała powrócić!

Rozporządziwszy wszystko w kuchni, wydawszy ze spiżarni moc pieprzu i gorczy wszelkiego rodzaju, w mocnem przekonaniu, że nic pańskiemu podniebie-

niu nad ten przysmak pożądańszem być nie może i panna Hiacynta pomyślała o dziewiczych swych wdziękach, strojąc się na najstraszniejsze czupiradło, jakie kiedykolwiek ręce ludzkie ze stworzenia Bożego zrobiły. Bez tych przyborów i strojów była sobie brzydką, starą panną i nic więcej; wyświeżona i ubrana do twarzy (jak mówiła) wyglądała tak śmiesznie, że ją obok chińskich porcelanowych bałwanów postawić było można na półce. Tego dnia jeszcze przesadzała się w wykwintnej toalecie i oblewała wonnościami z ambry i kolońsko-lubarskiej wódki złożonemi; usta zesznurowała tak, że jej buzia zdawała się ciągle wabić... kanarki, a oczy wznosiła w niebo, wzywając zapewne pomsty na tych, co się na niej dotąd poznać nie umieli.

Gdy się to dzieje we dworze, a pan Paweł w brudnym szlafroku, użyty do ścierania pyłów i robienia porządków, krząta się, pocąc i nie mając czasu ogolić brody dziesięciodniowej, w kuchni okropne, przerażające gotują się i smażą — wypadki.

Kucharz państwa Pawłów, o którym tu wzmiankę uczynić musimy z powodu ważnej roli, jaką gra przy tym pamiętnym obiedzie, był to starowina, niegdyś dominikański kopcidym, niezmiernie zarożumiały, z powodu, że raz użyty był jako kuchta przy rondlach, gdy gotowano obiad na przyjęcie Metropolity Cieciszowskiego; miał lat dobrze sześćdziesiąt, a nieszczęśliwy nałóg zakrapiania się wódką. Dyspozycja panny Hiacynty tak mu w głowie utkwiała, tak go odurzyła, tak zrozpaczyła, że choć jej ciągle po swojemu powtarzał: Ale proszę panienki nie turbować się, ja to wiem wszystko, ja to wiem... już to będzie regularnie; — stracił jednak przytomność zupełnie i potrzebną odwagę. Załedwie odeszła, podparł się na stołnicę walkiem, podumał, podniósł do góry dolną wargę zwykle spuszczoną i namyśliwszy się, ruszył — do karczmy. Nie miał on nic innego na celu, jak tylko dodać sobie entuzjazmu, pomysłu, męstwa jednym jakim kieliszkiem; ale w grze i przy kieliszku miara trudna; desperacja ogartywała go coraz większa, pieprzne po-

trawy coraz dziwacznej piętrzyły się po mózgu i poczał pić, ale pić, jak to kucharze umieją, gdy ich napadnie giec kieliszka!

W dworze tedy stroi się kto żyw... Panna Hiacynta, spokojna że będzie pieprzno, ubiera się i perfumuje — gdy o wpół do dwunastej dają jej znać, że ogień na kuchni wygaś, a kucharza Ignasia (zwano go tak choć był siwy) już pijaniuteńkiego, słaniającego się, nieprzytomnego, prowadzą z karczmy we czterech do kuchni, pod ciupasem.

Gdyby był piorun uderzył w dom, większejby nie narobił trwogi — wszyscy wylecieli jak stali. Petra w spódniczce krochmalonej, Julja w gorsiecie tylko, pan Paweł z namydloną brodą, łamiąc ręce — Ignas był pijany jak sztof: pół do dwunastej biło, a o obiedzie ani słychu — wszystko to z powodu pieprzu, który go do desperacji przywiódł.

Julja w pierwszym nierozważnym zapędzie rozpaczy wpadła na Hiacyntę, że stróżów w tak ważnym dniu Ignasowi nie dodała, a guwernantka ręką zakrywając oczy, zwolna osunęła się w ganku i omdlała wołając: — Boże! Ty widzisz, czym na ten cios zasłużyła!

W najpilniejszej chwili, kiedy trzeba było obmyśleć co się z obiadem stanie, Hiacyntę też i ratować i przeblagać musiano, pióra smalić i przepraszać. — Nie żartem bowiem, choć to nie raz pierwszy, słusznie się czując obrażoną, prosiła stanowczo o konie i zabierała się natychmiast opuścić niewdzięcznych.

Okropny powstał zamęt; Julja nie mając już na kogo, wszystko teraz zrzuciła na męża i z ulagodzoną jakoś panną Hiacyntą wpadły na osłupiałego pana Pawła, że on stróża nie postawił, że w karczmie zakazu zapomniał, i o niczem w tak krytycznych chwilach, gdy o godność i sławę domu chodziło, nie pomyślał.

To jednak nie gotowało obiadu — Ignasia oblewano zimną wodą; on kłął i łajał — dwunasta się zbliżała! Paweł, przywiedziony do ostateczności, wystąpił z radą, aby kucharki od Hieronimostwa poży-

czyć. Nie było w istocie innego ratunku, ale co za upokarzająca konieczność! Hiacynta i Julia wołałyby były same gotować, gdyby się to z ich godnością zgadzało.

Tonący brzytwy się chwyta: posłano ze wstydem, za który obiecywano sobie Hieronimom odplacić — po kucharkę, choć Julia przysięgała, że ją to do grobu wepchnie; otrzeźwiono nieco Ignasia; Paweł zawsze nieogolony z wyschłym już na brodzie mydłem poszedł do kuchni, panie nciekły kończyć ubranie, bo chwila stanowcza się zbliżała.

Szatan jakiś wziął się wszystkie im łamać szyki; ledwie z ganku zeszły, pan Piotr, Staś, Dziadunio, Hieronimowie i młodsza ich córka (bo chłopców z Zosią zostawiła matka żeby się nie naprzykrzyć) weszli w dziedziniec. — Paweł golił się właśnie w kuchni, pozarzynał, pokaleczył, lajał, kłął, a do gości nie było komu wyjść.

W salonie — pustki. Za żadne pieniądze ani Julia, ani Hiacynta, ani Petra nie byłyby się ukazały, dopóki nie doprowadziły strojów swoich do ostatniej szpilki epilogującej.

Goście chodzili sobie tymczasem z kąta w kąt, mając czas przypatrywać się świeżym śladom ścierki i szczotki, widocznym jeszcze na pierworodnym brudzie domu.

Nareszcie w całym blasku niebieskiej sukni, różowych wstążek, łańcuszków, pierścieni i kolczyków, jak Juno majestatyczna, wtoczyła się Julia, zapinając na tłustej ręczce ostatnią bransoletę, dla dania sobie pewnego tonu. Za nią weszła Petra, z miną podyktowaną przez matkę i nauczycielkę, kwaśną i pogardliwą, która ją bardzo do złego mopsika czyniła podobną. Za niemi sztywna, koścista, pomarańczowo ubrana, pasowo pozasznurowywana, białą ponawieszana, zielono popstrzona, Hiacynta, z flakonikiem ogromnym na palcu.

Pan Piotr, oddajmy mu tę sprawiedliwość, nie rozśmiał się: ale za Stasia nie ręczę — przymrużone, łzawo tkliwe oczy Julji szukały go już, spotkały,

strzeliły — i chybiły. Panna Hiacynta rewidowała tymczasem młodzika od stóp do głów i znalazła go dość dobrze. Petra, która najwięcej do góry w sufit zdawała się poglądać, niechęć ani na ludzi śmiało, ani w podłogę tchórzliwie utkwieć oczów i obserwując ostatki pajęczyn gdzieś niegdzie snujących się, jak lekkie obłoczki po burzy — w zwierciadle tylko obejrzała pastwę sobie przeznaczoną. Staś był tak zręczny, ładny, świeży, młody i tyle serca było w jego twarzy, że nawet Petrze podobać się musiał. Usiedli, rozmowa wnet się rozpoczęła, pan Paweł, wchodzący nareszcie w granatowym fraku, już ją znalazł naprowadzoną na smutną katastrofę poranka, którą Julja w ten sposób malowała:

— Nie wystawi sobie stryj Dobrodziej, ile dzisiaj miałam zmartwienia, tak drogich, a rzadkich spodziewając się gości. Ale prawdziwie, żeby tego raz na zawsze uniknąć, co mi tak zgubnie działa na te nie-szczęśliwie nerwy moje (westchnienie z głębi duszy) muszę mego męża prosić, żeby tego człowieka, co się stał mojej choroby przyczyną (czuję że to odchoruję) — odprawił. Jest to wprawdzie stary sługa mojej familji, którego kocham — ale dzisiejsze nie do darowania.

— Cóż zrobił? co zrobił? — spytał po cichu pan Piotr.

Dziadunio, jako sąsiad od niejakiego czasu, świadom natury i charakterów ludzi, dodał cicho:

— Pewnie się upił!

Julja udała, że nie słyszała.

— Ten człowiek — dodała — stracił niegdyś jednego i bardzo ukochanego syna (Ignas nigdy nie był żonaty) — i po tej stracie została mu rozpacz, która się niekiedy objawia prawie szaleń. Dziś właśnie rano zrobił nam scenę — i obiad....

— O! to najmniejsza rzecz — rzekł pan Piotr śmiejąc się — niech się pani tem przynajmniej nie frasuje; myśmy wcale nie wybredni — zjemy cokolwiek bądź.

— Świadkiem mój wczorajszy krupnik i kluski — cicho dodała Hieronimowa.

— Które były przedziwne! — odwracając się ku niej rzekł pan Piotr.

— Ale ja, cobym była chciała okazać mojem przyjęciem — mówiła dalej Julja — ile nam jest droga pamięć stryja... i jak...

— Gdyby to z obcym, więcejbyś pani mogła się kłopotać, ale między nami, zlituj się pani, czy to się godzi taką drobnostką frasować.

— Jestem prawdziwie w rozpacz!

Paweł i Hiacynta co chwilę wychodzili, służący na krywali do stołu, przyniesiono tymczasem śniadanie. Piotr zapewniał, że na jednym śniadaniu nawet chętnie by poprzestał. Ale tak być nie mogło — musiano podać koniecznie ową śmietankę, która stała w lodowni oczekując dnia zwycięstwa.

Tymczasem matka oczyma manewrowała ku Stasiowi, a Petrę nieznacznie też, niby trafunkiem podsuwała ku niemu. Ona ciągle się krzywiąc, jakby ją wcale nie obchodzili otaczający, niekiedy potrząsała głową po żytomiersku, niby dla odgarnienia włosów, ale w istocie dla nadania sobie minki, którą uważała za bardzo modną. Hiacynta cokolwiek odpocząwszy, puściła się w retorykę, zadziwiającą doborem i kolorytem wyrażen. Staś który nie mając złego serca, śmieszek był trochę jak każdy młody, dusił się szynką, dławił chlebem, żeby nie parsknąć jej w oczy, tak na ten występ dziwne frazesy dobywały się z ust słodko ściągzionych nauczycielki.

Wybiły po kolei, pierwsza i druga i trzecia, waza mignęła swoją białą czapką pod oknami — niesiono ją w tryumfie, z processją ruszyli się wszyscy do stołu. Gotowała Basia państwa Hieronimów, która spełniała co jej kazano i nie żałowała pieprzu, gotował pijany Ignas który dosypywał także goryczy — i co się z tych połączonek usiłowań obojga zrobiło — może chyba opowiedzieć kto kosztował.

To pewna, że przy największej usilności, łyżki zupy nikt przełknąć nie potrafił — zdawała się gotowanym w płomieniu żarem. Każdy się zakrztusił, zrobił z tą

łyżką co mógł, ale drugiej już nie wziął nawet. Domowi pootwierali usta i chłodzili je. Podali sztukamięse — toż samo; oskrobana jednak przeszła przez gardło. Cały obiad był w tym rodzaju: zostawała na pociechę i ochłodę śmietanka owa, która z nudów, zamknięta sama jedna w lodowni, zwodniała i osiadła. Hiacynta do stała bicia serca i wstała od stołu.

Pan Paweł poił tymczasem kielichem szampana powiatowej fabryki, wypił zdrowie pana Piotra. Rozniesiono ptisiowe obwarzaneczki, z jednej strony przysmalone, z drugiej niedopieczone, i wszyscy wstali od stołu prosząc o wodę po pieprzu, który wnętrzości i języki palił. Pan Piotr utrzymywał po cichu, że obiad był gorzki jak rozpacz nieszczęśliwego ojca; Dziadunio kłął po prostu, i zaraz na bok wzięwszy Pawła, rzekł mu do ucha:

— Kołyś ne pip, ne ubyraj sia w ryzy!¹⁾
Co ty oszalał panie Pawle?

— A cóż się stało?

— A tożci ty nas potruł swoim pańskim obiadem. Czy ty myślisz że oni wse szczo chrin taj łożkoju?²⁾
Co tobie takiego? — Paweł obiema rękami wziął się za czupryny resztę?

— Ten kucharz...

— A to niechby była gospodyni misę dobrych klusek zwarzyła; Chleb ta woda, nema hołoda³⁾
a tyś nas poczęstował, że w brzuchu ogień piekielny....

— Panna Hiacynta zaręczyła nam, że panowie samym niemal pieprzem żyją.

— To wściekła jakaś baba! — splunął Dymitr, i ruszył ramionami.

Dano kawę (szczęściem bez pieprzu), podano za nią, zwyczajem pańskim, według rady guwernantki, likwory dubieńskiej fabryki zamiast chasse — café — i jakoś obiad się powoli zapominał. Przyszły fajki,

¹⁾ Kiedyś nie ksiądz to nie bierz sutanny.

²⁾ Co chrzan to łyżką.

³⁾ Chleb i woda nie ma głodu.

wino rozchmurzyło czoła. Julja tylko i Petra nie były wesole bo Stasia ani ukąsić; nie spojrzał, nie przysunął się, nie odpowiedział wzrokiem na wejrzenia.

— To lalka! mówiła w duchu starsza.

— To student! — pogardliwie dumiała Petra!

Hiacynta westchnęła tylko, zrećźnie otworzyła fortepian i myślała pochwalić się walcami, których na dnia tego intencję wyuczyła się Petra. Był to Strauss niby, grany jak na złej szejne-katarynce. Staś który grał wcale ładnie, zobaczywszy fortepian, skoczył ku niemu nie myśląc o niczem, żeby się w ten sposób od przecudnej rozmowy wywinąć... siadł, spróbował i począł grać.

Dość było go usłyszeć, żeby już Petra i Hiacynta o popisach nie myślały. — Petrę zabolęła głowa, guwernantce znów wróciły palpitacje; matka spojrzała na niego jak na zbrodniarza i sucho rzekła:

— A jak pan Stanisław gra pięknie!

Piotr naturalnie nic nie odpowiedział, a Staś grał jak szalony. Nigdy może muzyka nie była gorzej przyjęta. Wstał nareszcie i chciał pójść prosić panny żeby grała, ale ta miała tyle taktu, że się nie ośmieliła ze swoim walcem wystąpić.

— Ja tak mało gram! — odpowiedziała.

— Ale pani lubi muzykę — rzekł Staś sam tu zaczynając od p a n i.

— Ona! — podchwytyjąc zawołała Hiacynta — ona to genjusz melodji! to harmonji splot! ale na wsi tak trudno się oddać muzyce! wszystkiego braknie.

— Gdyby tylko nut — rzekł Staś — temibym łatwo mógł służyć; mam co miesiąc najświeższe, jeśli pani pozwoli...

Petra spojrzała nieco udobruchana ofiarą i niezgrabnie uśmiechając się, skinęła głową, odrzucając loki po żytomiersku.

— Na wsi — mówiła dalej, usiłując się popisać z wymową Hiacynta — wszystko otacza zawad tysiące w naszym kraju! — Uwierzy pan, poczta najbliższa o kilka mil odległa.... żyjemy na pustyni! — westchnęła.

Staś nie miał co odpowiedzieć, zmieszany zaciął usta.

— Ale człowiek — odchrząknawszy mówiła dalej panna — rozrywka do tej uroczystej ciszy i bawi się z naturą, której serce jego echem względem odpowiada!

Julja, nie tracąc czasu, sypała wejrzeniami, które dodane do pieprzu mogłyby spalić na węgiel nieszczęśliwego, gdyby o lat dwadzieścia mogła je antydatować. Teraz już nie paliły, były bo blade, zimne błyski burzy jesiennej.

Paweł ubawiał stryja, opowiadając mu o gospodarstwie; Dziadunio chodził, popijał wodę, i cicho powtarzał:

— Hodi tobi wole, koły tebe korowa kole.¹⁾

Zatrzymano jeszcze na herbatę, w którą szczęściem nie było sposobu nasypać nic gorzkiego, ale staraniem Hiacynty podano jednakże pieprz przy szynce, którą ona zadyktowała do herbaty. Stary Dziadunio aż się wzdrygnął na widok tej pamiętnej przyprawy, z powodu której dzień ten Staś nazywał dniem pieprzonym.

Na wieczerzę powrócili do Hieronimów, gdzie ich znowu prosty, wieśniaczy, zdrowy i niewymyślny czekał posiłek. Dziadunio cały wieczór się wściekał. Staś pękał ze śmiechu cugle sobie puściwszy, Piotr tylko obu miarkował i poważnie był zamyślony.

My na chwilę jeszcze zajrzymy do salonu Pawłów po odejściu gości. Wszyscy stoją w milczeniu; nareszcie Julja, jak zwykle, pierwsza zabiera głos:

— No! mieliśmy też tych gości!

— Nic tak szczególnego! — dodała Petra.

Julja się uśmiechnęła i pocałowała ją w czoło, prawie rzekłszy nie było za co.

— O! dowcipnisio ty moja! ale dajmy pokój, na co ich krytykować. Pan Piotr człowiek poważny, grzeczny; syn — chłystek! studencik! tak się wyrwał z tem

¹⁾ Biada tobie wole, gdy cię krowa kole.

swojem graniem jakby z czem osobiwem. To tylko dowodzi brak wychowania, a gra nawet niewiedzieć po jakiemu....

Hiacyntha ruszyła ramionami.

— Jest holdownikiem nowej szkoły.... Słyszałam o niej.... bije z góry w klawisze.... wiem to.... ale psuje fortepian, ucho.... i serce! — dodała z westchnieniem. Nikt tego aforyzmu nie uważał.

— Staś — mówiła Julja — trzpiot, dzieciak! nie jest nawet tak ładny jak mówiono. Juściż nie brzydki, ale....

— Ale zmiłuj się! — przerwał Paweł.

— Pozwólże, ja się przecie na tem znam — prosty sobie, przystojny pastuszek.... żadnej dystynkcji w manierach.

— Nadewszystko nie czułego, nie sympatycznego, nie coby chwyciło za serce i przyciągało ku niemu — przemówiła guwernantka.

— Nie wykształcony! — dodała Julja, ruszając ramionami — surowe to, dzikie jakieś! o to nie mąż dla Petry! nie!

Paweł z dobrze otworzoną gębą słuchał.

— E! serce — rzekł — gdyby się tylko starał, dabyście ją jemu!

— Otóż nie — żywo odparła Julja — myślisz że dla jego bogactwa? Ja dla Petry chcę czegoś więcej.

Hiacyntha dokończyła:

— Tak! serca dla serca, duszy coby uderzyła o duszę, tej zgody uczuć, tej harmonji dźwięków wewnętrznych, co wyżej wszelkiego złota się ceni!

— Gdyby był bogaty jak Kreza, tobym go nie chciała — zawołała Julja stanowczo — dla mojej Peci więcej, o więcej żądam!

Petra chodziła zadumana, ramionami tylko czasem ruszając; gryzła w ustach kwiatek wychwycony z buketu, a co myślała? Bóg tylko jeden wie, i panna Hiacyntha druga, ja odgadnąć nie umiem.

IV.

Swobodnie, wesoło i szybko przeleciał wieczór u Hieronimowstwa. Oboje gospodarstwo coraz się bardziej z dobrym panem Piotrem i jego wielkością oswajali. W początku, uszanowanie dla niego nie dozwalało im się zbliżyć poufalej; teraz przywiązanie rosnące w miarę jak go poznawali bliżej, zlewało się z szacunkiem, nie straszył ich już, ale pociągał ku sobie. Dziadunio Dymitr usilnie nad tem zbliżeniem i skutecznie pracował. Stary złośliwie nawet niekiedy poglądał na Stasia i Zosię, zdaje się zgadywał co tam po cichu wykułowało się w młodych sercach i w młodych oczach obojga. Umysłnie jednak nie pokazywał po sobie, że się tego dopatrzył, a raczej odgadł co się święci. Było to bowiem jeszcze tak delikatne uczucie, jak trawka co na wiosnę pierwsze listki puszcza — a lada mrozek, lada szron ją zwarzy. I rosło z niczego jak ta trawka, z szybkością chwil pierwszych wszelkiej istoty i wszelkiego uczucia. Każde pomnażało ją wejrzenie, każde słowo rozrzewniało, każdy dzień dla niej był wiekiem w wypadki obfitym, a wczoraj wiecznością, przebytą razem i rękojmnią przyszłości, którą wiekiustą mieć chcieli.

Oni już wieczór myśleli co będzie gdy się rozjechać, rozdzielić i niewiedzieć zmuszą losy. W Zosi to uczucie bojaźliwsze i słabsze, niepojęte dla niej samej, napędlając ją strachem, rosło choć się broniła; w Stasiu gwałtowniej już i po mężku się rozwijało, gotując do walki, wyzywając jej wczesnie. — Staś wiedział co się działo w jego sercu, znał z ludzi, jeśli nie z siebie, czarowny niepokój i uroczą żądzę, która nim raz pierwszy miotala. Jak tylko mógł przysiadł się do Zosi, która niespokojnie pytające wejrzenie rzucała na matkę i rozpoczął rozmowę. Szła trudno, nie w niej nie było, a tyle w niej posieli pamiętek i magnetycznie udzielili sobie myśli, dla ucha otaczających ludzi nieodgadnionych! Trudnoby było

powtórzyć tę rozmowę, utkaną z przerwanych słów zimnych na papierze, gorących w ustach i sercu.

Wśród niej ośmieliła się powoli Zosia, rozwiązały się jej usta i skończyli jak brat i siostra uśmiechem serdecznym, słowy poufałemi. Staś kochał już jak szalony, i przysięgał w duszy, że się nie ożeni chyba z Zosią; jej serce rozkosznie było wzruszone, rozkołysane, i łzy nieproszone dobywały się z oczów.

Późno już podano wieczerzę, przy której nielitościwy Dziadunio dobrze się jeszcze nażartował z obiadu państwa Pawłów i ich domu, choć mu nikt przez uczucie przyzwyczajenia przy bracie pomagać nie chciał. Staś tylko po cichu szepnął Dziaduniowi, że dzień ten pod nazwiskiem dnia pieprzowego zachowa światu w przyszłych pamiętnikach, które w pięćdziesiątym roku życia ma zacząć pisać.

Wieczerza już się skończyła, gdy na znak porozumienia, oczyma dany przez pauza Piotra, Dziadunio nagle rozpoczął:

— Ale, ale — rzekł — panie Hieronimie, jest tu prośba do ciebie. — O tobi gadka.¹⁾

— Do mnie? od kogo? — Zaśmiał się pan Hieronim. — A cóż ja dla kogo uczynić mogę?

— Wystaw sobie Waćpan — rzekł Dziadunio serjo — wszak to pan Piotr z waścinej przyczyny ma niepospolity kłopot.

— Z mojej? z naszej? — porwali się razem Hieronimostwo.

— Ale tak jest! posłuchajcie tylko! — zawołał Dziadunio — ludzie jesteście nieświadomi wielu rzeczy, bo życie na wsi. — Nie tylko świtu, szczo w wickni...²⁾ Myślicie asaństwo tylko o gospodarstwie, o dzieciach, a z waszej przyczyny drugim bieda. Ot! panu Piotrowi nie chce Heroldja potwierdzić szlachectwa, dla braku metryk waszej linii....

— Jaktó?

¹⁾ O tobie mowa.

²⁾ Nie tyle świata co w oknie.

— A tak! wywody powinny obejmować cały ród, takie jest prawo, a że wy ślamazarnie koło tego chodziliście i zapomnieli o swoim szlacheństwie, i jemu nieborakowi wszystko wstrzymano. Ani smerty, ani popustu!¹⁾ Trzymają go tak za nogę.

Hieronimostwo osłupieli; jakoś dziwna trochę loika Dymitra pomieścić się im w głowie nie mogła.

— Długo by wam to było tłómaczyć — daj Boże wse znaty, a ne wseho probowaty.²⁾ — rzekł niby gniewnie, że go nie chcą zrozumieć, Dziadek — ale zmiłujcież się, dostarczcież mu potrzebnych papierów! Nie chciał wam sam dokuczać; ja za niego proszę niechaj się to raz skończy! Albo wiszajcie, albo puskajcie!³⁾

— W istocie — rzekł poważnie potwierdzając pan Piotr — bardzo mi o ten interes chodzi; radbym widzieć jego koniec.

— Ale — odpowiedział Hieronim z frasunkiem — ja byłem już zrobił staranie o przyłączenie się, bo brat Paweł o mnie zapomniał; tylko przyznam się stryjowi grosza mi na to nie stało.

— Do czegoż tu grosz! — ofuknął Dziadunio, — pan Piotr i grosza za was nie da, ale trzeba mu was przyłączyć, bo jego w tem interes, nie wasz. — Swoja sermiażka ne tiażka.⁴⁾ A macież te papiery?

— Papiery są jeszcze u mnie, bo mi ich Sobocki bez dwóch tysięcy złotych podjąć się nie chciał — rzekł Hieronim.

— To lotr, to mudrahel ten Sobocki! — zawołał Dziadunio — ne ide jemu o najdok ale o skosztunok!⁵⁾ Pan Piotr jeszcze wam za te papiery kosztą powróci, bo powtarzam, że to jemu potrzebne! he? rozumiecie. Już mnie o to dwa dni prosi, żebym u was wykołatał. A i wam też to nie zaszkodzi; przy

¹⁾ Ani śmierci ani odpuszczenia.

²⁾ Daj Boże wszystko znać, nie wszystkiego próbować.

³⁾ Albo wieszaj, albo puszczaj.

⁴⁾ Własna siermiężka nie ciężka

⁵⁾ Nie chodzi mu o znalezienie ale o skosztowanie.

cudzym ogniu i wasza pieczeń się upiecze — w hurt i i kasza zistsja.¹⁾

Hieronim spoglądał zdziwiony.

— Takie prawo! — dodał Piotr serjo — istotnie długoby to było tłómaczyć, ale tak jest, tak jest.. to nowe urządzenie... wszyscy muszą iść razem... Pawłowie i inni potwierdzeni, a dla waszych papierów będzie i musi być zwłoka, dlatego o nie proszę.

Dziadunio przybrał fizjognomją bardzo serjo i przynaglał burcząc; Hieronimowie spojrzeli po sobie z zdziwieniem i radością.

— A toć to dla mnie największa łaska, — rzekł Hieronim wstając — jam się tak o los dzieci troskał.

— Boś nie wiedział — żywo przerwał Dziadunio — że pan Piotr musi ci ich przyłączyć choćby nie chciał; w tem jego interes. Jeszcze mu łaskę zrobicie temi papierami, bo się nieboraczysko także o to nastękał.

— Aleby to była niesprawiedliwość — przerwał gospodarz — żebyśmy korzystając....

— A! ty nie rozumiesz! — ofuknął go Dziadunio — on swoje: Pip w dzwin, a czort w sółmianik!²⁾ Tu chodzi nie o was, ale o pana Piotra! a tobie niewiedzieć jaka niesprawiedliwość się roi. To interes nie twój! Skaczy wraże, jak pan każe³⁾ i po wsimu!

— W istocie, w istocie — przerwał pan Piotr — dajcie mi tylko papiery, to rzecz dla mnie pilna; wielką mi zrobicie przysługę...

Hieronim spoglądał jeszcze, niedowierzał, ale poważne a nawet surowe i chmurne twarze starych poczciwych kłamców, nie dozwalały mu się domyślać podejścia; w duszy tylko Panu Bogu dziękował, że jego interes tak się zszedł ze stryjowskim.

— Chwała Bogu — rzekł — że się to tak składa! papiery są gotowe.

— I dasz mi je jutro? — spytał pan Piotr.

¹⁾ W hurcie i kasza się zje.

²⁾ Ksiądz w dzwon a djabeł w słomiankę.

³⁾ Skacz wrogu jak pan każe.

— A! czemuż nie, z największą wdzięcznością! to dla mnie wielkie szczęście!

— Więcej dla mnie — rzekł pan Piotr unikając podziękowań — a teraz mówmy o czem innem — dodał po chwili namysłu. Co myślisz z dziećmi, panie Hieronimie, z synami zwłaszcza; czas by o nich podumać.

Spojrzeli po sobie rodzice i zarumienili się.

— Szczerze, kochany stryju — rzekł po namyśle ojciec — tu nie ma co obwijać w bawełnę — ja jestem dosyć ubogi, myślę ich do początkowej szkółki oddać do Łucka, i uczyć póki mnie na to stanie.

— Ale cóż to się oni tam nauczą w tym Łucku biednym — odparł pan Piotr — czemu się nie staracie umieścić ich gdzie na funduszu jakim, to by was nie nie kosztowało, a mieliby wychowanie staranniejsze.

Tego wyrazu fundusz nie zrozumiał dobrze ani mąż ani żona; popatrzyli, zamilkli.

— A masz Wpan racją! — zawołał nagle Dziadunio — że też to mnie nigdy na myśl nie przyszło! Wszak to Waćpan, panie Piotrze, jesteś podobno jakiegoś funduszu kuratorem i zawiadowcą w Żytkowie? a ma to być piękny fundusz... na kilku czy kilkunastu (przypominam sobie) chłopców? he?

Tu druga bajeczka, ułożona wcześniej pomiędzy spisowymi dla oszczędzenia Hieronimostwu wdzięczności i wywinienia się od zbytich podziękowań, poczęła wychodzić na jaw, równie niezręcznie ale równie szczęśliwie jak pierwsza. Hieronimostwo oboje nie wiele wiedzieli co się na świecie działo, form jego i praw nie bardzo znali, na wsi zasiedzieli wierzyli dobrodusznie, zwłaszcza gdy dwoje ust tak zacnych ludzi, jak pan Piotr i Dziadunio, poczynwały ich upewniać.

— Prawda — odpowiedział pan Piotr — że właśnie mam w mojej dyspozycji dwa miejsca w funduszu Puciatów, z którymi nie wiem co zrobić; wziąłbym chętnie twoich chłopców panie Hieronimie, gdybyś mi ich dał, dla zapelnienia tych miejsc, za które Bogu i ludziom odpowiedzialny jestem.

— A to miejsca dobre — rzekł spiesźnie Dziadunio — warunki słyshałem takie że chłopców biorą, wychowują na koszcie funduszu aż do uniwersytetu, utrzymują na stypendjach w czasie nauk uniwersyteckich....

— Posyłają jeszcze za granicę, dla dalszego usposobienia — dodał pan Piotr nie wahając się — jeżeli okażą się zdadni.

— Pry gotowej kołody, dobre ohoń kłasty¹⁾ — dodał Dziadunio — doskonała rzecz.

— Jak to? — spytał zdziwiony pan Hieronim — któż to mógł zrobić taki zakład? kiedy? ja o tem nic nie słyshałem.

— Wielka rzecz! — przerwał Dziadunio — Moja chata z kraju, nyczoho ne znaju.²⁾ Ale wszyscy o tem wiedzą! To długa historia, a nawet dosyć ciekawa — począł chodząc żywo opowiadać następującą powiastkę:

— Był sobie, będzie temu lat dwieście, niejaki pan Puciata, żonaty, jeśli się nie mylę z księżniczką Giedrojiówną, bo i sam coś tam z kniaziów wychodził. Otóż, trzeba Waści wiedzieć, Bóg im dał czternaścioro dzieci. Tandem tedy pan Puciata, któremu było markotno, że mu się ojcowizna rozdrobi na tyle głów, a dzieci z panów na szlachtę zejda, nie jeden raz szemrał na zbyteczne błogosławieństwo Boskie... Z zadurnoij głowy i noham łycho!³⁾ Czasem ze złego słowa wiele niedobrego pójść może. Pewnego razu, niewiem tam z jakiego powodu — ciszej rzekł Dziadunio, oglądając się na siedzącą Zośkę — wyrwało mu się z ust do żony mówiąc: — Dzieci! dzieci! łatwiej o dziecię, niżeli o cielę! Trzeba bowiem wiedzieć, że istotnie w tym zakęcie w którym mieszkali państwo Puciatowie, o cielőcinę było nie łatwo, a stary lubił cielőcą pieczeń.

¹⁾ Przy gotowej kłodzie, wygodnie ognia nałożyć.

²⁾ Moja chata z końca, ja o niczem niewiem.

³⁾ Zadurzona głowa to i nogom bieda.

W złą godzinę wymówił jakoś te słowa, bo w tym dzień panie i żona i czternaścioro dzieci mu wymarły — Ot, tobi Hapko knysz!¹⁾ Na pogrzebie stała wysoka trumna matki, a w koło rzędem czternaście trumienek dzieci, razem z nią idących, z woli Bożej, do grobu! pan Puciata jakoś tego z razu nie wziął bardzo do serca, ożenił się raz, ożenił drugi, ale więcej już nie miał potomstwa, tak że i ta linja familji zesłała na nim. Otóż, w starości, gdy mu dogryzało sumienie, stawszy się bardzo pobożnym i dobroczynnym, umierając zostawił znaczny fundusz na wychowanie czternastu chłopców.

— Aleśmy doprawdy nigdy o tem nie słyszeli! — zawołał pan Hieronim.

— O wielka rzecz! a o czemże wy wiecie: moi poczcwi domatorowie — zaczęli Dziadunio — siedzicie jak kury pod strzechą a chcecie wiedzieć o funduszu Puciatów! — zaśmiał się nieznacznie. — Ne tylko świtu szczo w wikni!

Pan Piotr z niemym poklaskiem przyjął tak lekko i łatwo utworzoną na prędce historyjkę funduszu, którego na świecie nie było.

— Otóż tedy — mówił dalej Dziadunio — gdybyście chcieli, toby wam łatwo wziął pan Piotr synów na fundusz Puciatów.

— Jak to, gdybyśmy chcieli? — zawołali państwo Hieronimowie, nieśmiejąc jeszcze o'dać się radości która im tak niespodzianie przychodziła — a! toby była dla nas tak wielka łaska i opatrność Boża!

— A zaraz łaska! zaraz łaska! — podchwycił starszek. — Otóż żadna łaska, pan Piotr właśnie sobie głowę łamie, kogoby tam umieścić; a tu jak raz takich dwóch tęgich chłopaków spotyka! Nie taka to wielka rzecz! Ne tak sia bardzo dije, jak sia bardzo howoryt.²⁾

— W istocie, to dla mnie jedyna zręczność! — Ale tam być muszą jakieś trudności, jakieś formy — przer-

¹⁾ Ot tobie Hapko pieróg.

²⁾ Nie tak się bardzo robi, jak się bardzo mówi.

wał pan Hieronim z pewnem niedowierzaniem — boćby się to wszyscy cisnęli...

— Radab dusza do raju, ta hrichi ne puskajut.¹⁾ Zapewne! ale nie bardzo kto wie o tym funduszu... to rzecz sekretna, zakryta, utajona — cicho szepnął Dziadunio. — Są tam i warunki różne, ale to wszystko w ręku pana Piotra, a jemu w to graj że waszych chłopców zabierze! Głowę sobie łamał, żeby jakich uczciwych znaleźć dzieciaków.

Oboje rodzice, jakby razem jedną wzruszeni myślą, rzucili się ku panu Piotrowi, chcąc mu upaść do nóg; matka miała łzy w oczach, ojciec drżał cały, ale stryj powstał żywo i uchylił się.

— O! tylko mi proszę nie dziękować — rzekł broniąc się — niema za co! Po wakacjach przyślę i jak swoich zabiorę chłopców. Jam rad żem sobie ich znalazł, bo mi właśnie potrzeba było pocziwych i pilnych, a takimi dzieci wasze być muszą. Więc chwała Bogu, i bez żadnych próżnych wdzięczności; to Puciatów nie moje, niema za co dziękować.... zmiłujcie się!

Chcieli jednak Hieronimostwo uściskać pocziwego pana Piotra, ale ten zagadał ich czem innym.

— Jedziemy tedy — rzekł — wszyscy a wszyscy do Strumienia... przypadają właśnie urodziny Kasztelanica i w skutek umowy z całą familją, chcemy w ten dzień dać mu dowód pamięci i zbliżyć się do niego. Będzie-wy wszyscy u niego; może stary wzruszy się tym dowodem pamięci, inoże się zmiękczy i rozculi, może kto z nas lepiej mu do serca przypadnie i potrafi dla niego zastąpić faworytów... Paweł z nami także, a ty panie Hieronimie?

— Ja? — rzekł skłopotany widocznie wieśniak — ja, kochany stryju... a jaż tam po co?

— Ho! a po co my wszyscy? przypomnieć mu się.

— Żona moja była niedawno w Strumieniu; powiem szczerze stryjowi, nie lubię tłumnych zgromadzeń, zna-

¹⁾ Radaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają

leść się na nich nie umiem; nie jestem do nich stworzony, i — niechce mi się tam jechać!

Hieronim nie mógł się przyznać, że od dawna nie miał porządnego fraka, a najświeższy był jego ślubny, dosyć już śmieszny choć czysto zachowany.

— Jakto? tobyś ty sam jeden nie był na urodzinach?
— spytał pan Piotr.

— Nie będę — rzekł poglądając na żonę Hieronim — nie — nie będę! Bogiem a prawdą, brak mi i sukni i przyborów do wizyt, ja tam nie bardzo potrzebny, stryjowi tak ze mną jak bezemnie, a czas dla gospodarzy gorący — zostanę w domu.

Piotr i Dziadunio nie chcieli go przynaglać.

— Więc jak ci się widzi — rzekł stryj — nie namawiam, ale będzie tam cała a cała familja nasza, którąśmy okólnikiem obeszali, jedue wici za troje... My, Pobiałowie, Paweł, Żmura, ojciec wasz, nawet Soboccy oboje, do nogi ile nas jest, jak na rewję jedziemy.

— A ja sobie zostanę — rzekł po cichu pan Hieronim... — doprawdy, cobym ja tam robił, a w domu bym się opuscił.

— E! jakbym to się i ja został — odezwał się wstając z krzesła Staś dotąd milczący — wszak u Kasztelanica raz już z ojcem byłem.

— Kto? i ty? zostać? gdzie?

— A tutaj! — podchwycił Staś — co ja tam będę robił, kochany ojciec? Mybyśmy tu sobie z Hieronimem gospodarowali, polowali, odpocząlbym w tej ciszy, a powracając ojciec by mnie zabrał.

— No? i zkadże ci ta myśl? — spytał ojciec nie dorozumiewający się niczego.

Dziadunio odwrócił się w kątek i udając że zażywa tabakę i kicha, parsknął ze śmiechu, tak go ucieszyło, że się jego domysły potwierdzały.

— Zkad mi ta myśl? — odpowiedział Staś zawsze śmiało i wesoło, nie chcąc ani skłamać, ani prawdy całej powiedzieć. — Ot, jakoś mi tu dobrze, cicho! Chciałbym sobie spocząć przy Hieronimie... Lubie tak

namietnie botanikę, lasy tutejsze cudnych ziół w sobie krocie ukrywać muszą.

— Jeden kwiatek, szczególnie! — rzekł w duchu Dziadunio — Durny jak wrona, a chytry jak łys¹⁾). Jakie dzieciątko sprytne!

— Ależ mój Stasiuśku, to w istocie dziwna rzecz — rzekł ojciec — że ci się tak nagle zachciało herboryzować po Polesin; ale i Hieronimostwu dokuczysz długą wizytą, i radbym cię dorosłego drugi raz Kasztelanicowi przedstawić.

— E! co tam po mnie stryjowi! ja jeszcze młokos! będę się nudził, będę się musiał na tej familijnej rewji wyprężyć i ziewać, a tu sobie pochodzę ze strzelbą na ramieniu, po lasach, po polach, i spocznę rozkosznie. Doprawdy ojcze!

Ojciec spojrział na gospodarzy.

Oni oboje tak się zdawali radzi tej myśli i tak pokornie a serdecznie zbliżali się prosić pana Piotra, że nim wymówili słowo, już szczerą ich chęć z oczów wyczytać było można.

— O! kochany stryju — rzekł Hieronim — byliśmy ze Stasia kochanego... z pana Stanisława — poprawił się.

— Jeśli się poprawiasz to nie zostanę — rzekł Staś.

— Bylibyśmy tak szczęśliwi.

— Ale to szalapat! dom wam do góry nogami przewróci.

— Nie boim się o to, i nie wielki żal będzie starej kłitki — dodał śmiejąc się Hieronim. — Niech stryj to dla nas zrobi.

— A! całem sercem — rzekł pan Piotr — tylko mi go nie popsujcie pieszczotami.

— Pieścić się nio dam — zawołał rozweselony młody chłopak — ale to bujać będę, po polach i lasach.

— Szczęśliwy wiek! szczęśliwy! — cicho westchnął pan Piotr.

¹⁾ Głupi jak wrona, a chytry jak lis.

— Dobrze szalily, koły przystupaje!¹⁾ — szepnął Dziadunio śmiech zdradziecki tamując.

— Niechaj zostanie, niechaj zostanie — rzekł głośno — wieczorami dojdzie sobie na lekcję retoryki do państwa Pawłów, zabawi się z Piotrusią (tak ją zwał, zawsze z wielkiem umartwieniem matki), zagra im na fortepianie...

— Niechaj zostanie! — dodał ojciec całując chłopca w czoło. — U Kasztelanica może być powtórnie, powróciwszy z zagranicy.

— Jeśli Kasztelanic dożyje — szepnął Dymitr. Bo chociaż ne skoren, ale łuczen²⁾.

— Ależ to już jodynasta przeszło! — porywając się zakrzyknął Piotr — Spać! spać! Oni nie przywykli tak długo wysiadywać.

— No! panowie! dobranoc i w nogi — zawołał Dziadunio — dość i tak im czasu zmarnowaliśmy — Buwajcież zdorowy!

Wszyscy się ruszyli; a Staś szczęśliwy i roztrzęsiony swym szczęściem, już chciał dać uroczyste dobranoc synowicy swej, gdy obejrzawszy się nie znalazł jej na miejscu. Zosia ledwie dosłyszawszy że Staś zostać miał z niemi, sama niewiedząc czego przeleżała się i uciekła.

VII.

My teraz powrócimy do Strumienia, gdzie nic się nie zmieniło powierzchownie od czasu gdyśmy ztąd z panią Hieronimową wyjeżdżali. Zawsze to ten sam dwór, będący pod wszechwładnem poruszaniem zegarka, smutny, wyregulowany, milczący, zawsze w nim też

¹⁾ Dobrze to szaleć, kiedy jest ochota.

²⁾ Bóg nie skory, ale silny.

same twarze, zmęczone, blade lub zimne i postępane. O jednej godzinie wstaje Kasztelanica, wchodzi Terminiński, zwołują pannę Anielę, podadzą do stołu, grają w warcaby, czytają, łechcą pięty staremu i idą do snu... U obiadu wiecznie też same postacie na tych samych miejscach siedzą, rozmowa prawie jedna i jedne przytomnych wejrzenia. Rotmistrz zajada, Samuel patrząc nań wzdycha ciężko, Aniela się krzywi, Jaś na nią zezem pogląda, Bulwa milczy lub z respektem odpowiada, że wszystko się dzieje wedle rozkazu jasnie pana. — A Kasztelanica, zawiedły starzec, oderwany szczątek innej epoki, obcy ruchowi i życiu co go otacza, dożywa reszty dni zmarnowanych, zatrutych w niepokoju o życie i jego utrzymanie, w przekonaniu, że nakrecając je wedle zegara, jak zegaru chód potrafi przedłużać bez końca...

Dzień urodzin Kasztelanica ledwie był komu wiadomy, nie wiem nawet czy on sam o nim pamiętał, to pewno, że go w Strumieniu nie obchodzono nigdy. Zrana wstawszy wedle zwyczaju, rozruszać się miał powoli do życia starzec, gdy Terminiński wpadł do niego z miłą, która bez słów mówiła, że się coś stało nadzwyczajnego. Kasztelanica postrzegł to i nim kamerdyner miał czas usta otworzyć, wyciągnął rękę, wołając:

— Cicho! milcz! widzę już że cię język świerzbi, ale póki śniadanie nie przejdzie, wara mi z doniesieniami głupimi!

Kamerdyner począł sprzątać i wyszedł po chwili, słowa się nie odezwawszy. Kasztelanica usiadł... ale niezwykajny ruch i stukot powozów w dziedzińcu począł go już niepokoić. Nie chodziło mu tak bardzo o to co się stało, ale o to, że co się stało pomiesza mu porządek i cały dzień zepsuć może.

— Głupi! — rzekł w duchu — wleciał jak utrapieniec, gęba wywrócona, słowo na czole! dość że wiem iż coś jest i strawność przewrócona... po całym dniu!... Będę musiał wziąć pigułki lub elixir Cagliostro, którego tak oszczędzam. No! kto wie czy nie lepiej wiedzieć od razu co to tam takiego, bo niespokój gorszy

jest dla żołądka nad wszystko. — Czynność się przenosi do głowy, a żołądek źle odbywa swoją powinność... Trzeba tego głupca zawołać.

To mówiąc zadzwonił; Terminiński wszedł natychmiast, ale bardziej jeszcze widocznie zmieszany niż wprzód.

— No! trutnin! — rzekł stary — wiedz to raz na zawsze, że kiedy ci natura dała taką głupią twarz, że się na niej maluje co tylko zaświdruje we środku, to nie pokazuj się z nią w zakazanych godzinach. To nauka na potem; teraz kiedyś się już przez pół wygadał, kończ że, bo i tak czuję, że mi czekolada kamienieje w żołądku! Cóż się tam stało?

— Ale nic się nie stało! Jaśnie panie — odparł ruszając z lekka ramionami Terminiński.

— Jakto nic, już przecie i ja mam uszy, że coś huczy na dziedzińcu; gadajże, nie bądź blaznem!

— Jaśnie pan każe! — spytał kamerdyner.

— A cóż mam robić! mów!

— Prawdziwie nie wiem od kogo zacząć.

— A! to jest tam tego dużo? — spytał usta zacinając stary. — O! przeklęty dzień! popsuje mi cały tydzień... Jedna zła strawność rujnuje żołądek na długo, nim wejdzie w karby! A no! gadajże!

— Coś dziwnego doprawdy! jakiś zajazd umówiony! wszak cała pańska familja dzisiaj się tu słyszę zjedzie.

— Co? familja? — z guiewnym i złośliwym uśmiechem krzyknął stary. — A! j'y suis, te urodziny! furfanty! Gdybym był ubogi, noga by ich niepostała u mnie, uciekaliby jak od zapowietrzonego — fetują moje miljony...

Terminiński uśmiechem tę prawdę potwierdził.

— No! a dużo tego tam jest? — spytał Kasztelan niecierpliwie rwąc szlafrok.

— Albożem mógł ich policzyć; jedzie to a jedzie jak ćma. Suną się powozy, powoziki i obdarte bryczki aż strach; mówili mi wyraźnie, że mają być tu wszyscy....

— A! to dobrze! to dobrze! — z ukrytą złością straszną, bo udanym ubraną uśmiechem, odrzekł Szambelan.... i co ci to szkodzi trutnin... Dać im obiad na sto osób, najlepsze wina, najpiękniejszy serwis, przyjąć ich jako królów.... Ja ich wyściskam, wycaluję.... wyślinię, wykomplementuję, wypłaczę się nawet jeśli tego będzie potrzeba. — No! a takież rozjadą się kiedyś..... z kwitkiem! przydał szydersko.

W Termińskim dusza rosła.

— To pewna — dodał — że w tym tłumie niema i jednego coby Jaśnie pana tak kochał jak jego wierzni słudzy.

Stary niepostrzeżony mrugnął tylko brwiami jakby mówił:

— O! o! znamy się i na tem!

Kamerdynier kończył:

— Co Jaśnie pan rozkaże?

— Co każe! mówiłem ci, przyjęcie jak najsuitsze.... długo nie zabawia, a trzeba im pokazać co mogę, żeby lepiej śliuka pociekła! Obiad na sto osób jeśli trzeba, szampa na dać na początek pierwszy numer, potem dońskie, jak się udoją, karteczki im wystarczą, smaku nie zlapią. Wszak są karteczki wcześniej ponaklejane. Srobra na stół co nogi strzymają.... wielka liberja.... pokoje dla tych co zażądają.... Salon otworzyć... Kto spyta o mnie, powiedzieć że'm chory i nie mogę wyjść, aż o swojej godzinie. Ale... moje śniadanie dać na osobnej tacy, wnieść je, przedemną postawić i szepnąć że to dla mnie, żeby się nikt ruszyć nie ważył. Dla reszty dać osobno toż samo.... ale sery i kawior mogą być pośledniejsze, rozmniejsz.... A kto tam jest? czy i pan Piotr?

— Jest i on.

— I Pobiałowie.

— Całą czeredą, ile ich Bóg dał!

— O! o! i kulawy!

— A ha! i kulawy nawet.

— A Józefa dzieci....? siostra Jaśka....

— Nietylko ona ale i brat Michał.... oficer.

— Chwała Bogu wrócił! — szydersko szepnął Kasztelaniec. I Paweł?

— I Pan Paweł jest....

— Co do nogi widzę, muszą być wszyscy; a tenże Pan Hieronim, co to go jeszcze nie znam?

— Niema go Jasnie panie.

— No! to choć żona być musi?

— I jej niema!

— Zapewne zlemini końmi się wloką, to się przypóźnili.... ale nie chybią.

— Ludzie Pawła mówili słyszę, że nie będą.... bom się o każdego dowiadywał.

Stary tylko głowę pokiwał.

— A Dziadunio znalazł się?

— O! ten jest od rana.....

— No! ten ich zabawi przysłowiami. — Życie swoim trybem, tylko Karasiński obiad niech przerobi, niech sobie co chce z nim uczyni, ale żeby mi było o mojej godzinie, punkt! jak zawsze.

To powiedziawszy starzec zagryzł wargi i głęboko się zamyślił, twarz jego malowała gniew wewnętrzny, niecierpliwość i chorobliwe rozdrażnienie. Pokaszliwał, splotał, bacznie poglądając na każde spluniecie, i siedział tak pilnując godzin w swoim pokoju, a dziedzińiec huczał od powozów, i dom cały, oficyny, zajmowali już przybyli goście.

Spojrzymy i na nich.

Towarzystwo zebrane w salonie Kasztelanica tem szczególniej uderzało, że je składały rzadko do siebie zbliżające się żywioły, z różnych społeczeństwa szeregów pochodzące, które tu myśl jedna (z małym wyjątkiem) i związek krwi ściągnęły.

Od Sobockiego począwszy, który na sobie nosił niezatarte piętno swego pochodzenia, wychowania i obyczajów klasy do której należał: od Sobockiego w którym łatwo poznać było nrzęduika co od swego stołu i pióra prosto wlecze się do cukierni i szynczków, a od hulanki do papierów — przez ile to stopni przejść trzeba było, żeby dojść do pana Augusta, do Piotra,

z których pierwszy uderzał majestatyczną powierzchownością i elegancją, drugi wspaniałością, jaką daje twarzy wyraz poczciwej i uspokojonej duszy. Obok Sobockiego, który trzymał się dumnie, usiłując stać na równi ze wszystkimi i co chwila z niecierpliwości palce ogryzał, domysławiając się, że mu ktoś chybi — był Jasiek, spoglądający z podębna na przytomnych, na pozór pokorny bo wycieczony swej służby i udawania, wewnątrz żymający się na to co go otaczało. Trzymali się szwagrowie razem, bo kancelista nie miał tu nikogo bliżej znajomego nad niego. Dalej stał równie niespokojny i prawie równie niezgrabny pan Paweł, który się też nadymał, chcąc co mu niedostawało w powierzchowności dosztukować miną gęstą; ale co chwila mina ta zmieniała się i rzadziła, w obec imponujących mu mimowolnie panów Piotra i Augusta. Wśród stojących i chodzących jeden tylko siedział; był to kaleka, Józef Pobiąła, którego bracia namówili, że się ruszył choć o kulach do Strumienia. Cierpienie całego życia, zgryzienie, które z niego wynikło, malowały się na żółtej twarzy człowieka nie starego jeszcze, ale widocznie zmęczonego życiem. Stękał on i tu, oglądając się niedowierzliwie, zdając wyrzucać sobie, że się dał namówić na tę podróż, bo go już niepokoiło gospodarstwo i wymyślane straty, które pod swoją niebytność miał ponieść.

Trochę dalej stał wesoło rozmawiający Tomasz Pobiąła, wystrojony, ożywiony, zdający się nic nie widzieć, a każdym wejrzeniem upatrujący coś uczącego o domu i jego właścicielu; August ze swoją miną pańską, sparty od niechcenia na kousoli i powtarzający: — my biedni szlachta. — Samuel trochę niespokojny o skutek zjazdu. Rotmistrz doskonale obojętny ale rozweselony gośćmi, słowem cała rodzina mężka Kasztelanica.

Nawet Michał, brat Jasika, uwolniony od służby na kilka miesięcy, przybył z Sobockim, u którego spędzał swój urlop. Był to słuszny, przystojny i młody jeszcze mężczyzna, z którego twarzy widać było, że nie żałując życia szafował.

Kiedy niem szafują bogaci, których rozpusta swą ceną i gatunkiem broni od tego co grozi prostej, brudnej, karczemnej, których jest komu ostrzegać—nie tyle ją znać na nich; na uboższym widniejsze są ślady wszystkich namiętności, które lada rynsztokiem nasycił, pędzą kara; jakby ich Bóg ostrzegał, że się pilniej od innych szanować powinni. Fraucenzi mają przysłowie, że szlachectwo obowiązuje (*noblesse oblige*); ja bym rzekł, że obowiązuje ubóstwo; trzeba je znosić jak dar boży, szlachetnie, surowo, godnie. Michał którego nie nie strzegło od zepsucia; ani wychowanie, ani zasady, ani oko rodzicielskie, nosił na sobie ślady nieporządnie spędzonych najpiękniejszych chwil młodości. Twarz jego krwią nabiegła, jak zwykle u ludzi co jakiegokolwiek bądź rodzaju popełniają ekscesa, czerwona, oczy łzawe, usta nabrzękle, głowa podłysiała, smutne robiły wrażenie przy wielkiej młodości; jeszcze widnej w krzepkiej i silniej postawie. Był to widocznie hulaka dobrego serca, nie wielkich zdolności; niemyśląc o jutrze, niedbający o koniec awanturniczej swojej pielgrzymki.

Towarzystwo, zgromadzone może po raz pierwszy w takim komplecie, ciekawie acz ostrożnie przypatrywało się sobie, z trudnością łącząc w całość, którą niepodobieństwem czyniły dzielące ich różnice wychowania i usposobień. Wśród gwaru, Samuel i Piotr zbliżyli się ku sobie, i cicha rozmowa toczyła się między nimi we drzwiach ganku na ogród — a oczy wszystkich starały się ją zbadać napróżno. Piotr dumiał zasmucony — Samuel odpowiadał mu westchnieniami.

— Straciłem już wszelką nadzieję — mówił kończąc obraz — Kasztelanie jest zgubiony, a my cośmy na nim budowali nadzieje, także. Tak Pan Bóg chciwość karze, choć klę się powzięciwością, żem dla siebie nic nie żądał. — To mówiąc, stary ze łzami w oczach, niezważając na badające wejrzenia otaczających, podniósł ręce do góry i mówił dalej:

— To człowiek niepojęty, nieodgadniony; grzeszny, jak już dziś nikt nie zadaje sobie pracy być dla wszyst-

kich, ale grzeczny z nalogu tylko; — wolę ma żelazną i serce żelazne także. Nie pierwszej złamać, nie drugiego dotknąć nie może. Celem dla niego, przedłużyć to życie nad które innego nie widzi i nie przeżywa. Wszyscy, wszyscy, powiadam ci, zawiodą się na nim. Tych co mu są na coś potrzebni, uwodzi, tych których narazić nie chce, głaszcze; wszystkim śmiejąc się obiecuje, ale nikogo nie kocha.

— Kochany bracie — rzekł pan Piotr — chociaż ty lepiej go znasz i możesz sądzić o nim, protestuję... Możesz go sobie za czarno odmalować. Nie pojmuje starości takiej, w której chociażby skutkiem zesłabienia nie przybyło trochę serca i uczucia. Człowiek potrzebuje do czegoś się przywiązać, przyczepić...

— Nie, bracie, nie taki jak on; mylisz się! Człowiek co dawniej kochał a później się zepsuł, może i musi w starości mieć reminiscencje uczucia, ale nie Kasztelanic, który całe życie spędził lodem i kończy zamarzły.

— Więc myślisz, że napróżnoby próbował przemówić do niego? — spytał smutnie pan Piotr.

— Napróżno, to pewna; ale chcecie to próbujcie.

— Juściż pewnie nie cofnę się choćbym miał narazić.

— Jak chcesz! — ruszając ramionami rzekł Samuel! — groch to będzie na ścianę.

— Mówmy o czem innem, bracie — Cóż faworyci? jak sądzisz, czy lepiej stoją w jego sercu od nas? Czy ten skandal domowy, ta Aniela nie da się usunąć?

Samuel wstrząsł się przymuszonym gorzkim śmiechem.

— Czy — mówił dalej pan Piotr — nie dalaby się w nim choć isierka uczucia religijnego wyrobić; wszak ci ta w najtwardszych nawet odzywa się w obec zbliżającej śmierci.

— Naprzód, śmierć w jego przekonaniu o sto mil jeszcze od niego; powtóre, uczucie religijne zgasło, przeparte całego życia uiewiarą, uwyśluie w sobie pod-

żeganą. — Co się tycze Anieli, odpędzisz ją, będzie druga. Termiński dostarczy.

— Nie sądzisz żeby się z nią mógł ożenić?

— Nie — rzekł Samuel — to pewna że dotąd o tem nie myśli, i to pewne, że ją gotów łądzić nadzieją, ale z nim nie łatwo! o! o! trzeba go znać!

— A tenże Termiński?

— I to wielki frant, ale co on może zrobić; chyba *tempore oportuno* go okraść, nie licząc zapisu na który rachuje.

— A Jaś?

— Jasia i djabeł nie spenetruje, miałem go długo za biedne, przybite i nieznaczące stworzenie; teraz się go obawiać pocynam. Okropny to przykład wpływu jaki wywiera zepsucie. Patrzę nań i śledzę go... wy-modelował się na stryju, wyjąwszy, że jako młody, zuchwalszy i więcej przedsiębiorczy. Jest to zatajone wilcze, ciche, potulne, udające pieska, ale zabierające się owce dusić przy pierwszej zręczności.

— O! bracie! bracie! zółcią ci zaszedł świat; okropnie widzisz wszystko! to się niegodzi!

— Cożem winien że wszystko tak czarne — odparł z westchnieniem pan Samuel — patrzę, widzę, a często powiem nadto, bo serce boli.... Nie uwierzysz jak psuje los tego nieszczęśliwego; zgubionego na wieki Jaśka, ale mogeż dla tego nie widzieć że idzie do zguby? Kasztelanie odpowie przed Bogiem za niego.... Przykład, rozmowy, książki, rozbudziły w tym malcu wszystkie złe namiętności... chce używać, chce posiadać... chce mieć... nie wiem jaką ceną... środków pewnie wybierać nie będzie.

— Samuelu, ty się trujesz goryczą, która cię zalewa...

— Daj Boże, by to tylko ta gorycz przezemnie mówiła! — westchnął stary i umilkł.

W drugim końcu salonu Sobocki, gryząc palce, cicho z Jasiem szeptał.

— Familijka się zebrała — mówił szydersko — o! cheiwce! cheiwce! Wszystkie to opływa w dostatkach...

a czyha na grosz jak żebrak! A popatrzcie jak się dmą! Ten pan August, jeśli to nie gubernatorska mina.... rzekłbyś że najmniej radca tajny i z gwiazdą.

Jaś się uśmiechnął równie złośliwie, jakby mówił: — Zjedzą licha!

— A żeby który choć zbliżył się, choć dobre słówko powiedział — ciągnął dalej Sobocki — a toć jestem ich krewny; co u sto diabłów, nie wyprę się Antosi... a patrz jak wilczo oglądają mnie z podelbów.

Jasiek, wyuczony dyplomacji, bojąc się podsłuchania, milczał, uśmiechając się tylko, ale uśmiech jego był tak niewinny, żebyś go zdala wziął za prostą, młodą wesołość, wywołaną jakimś żarciem. Sobocki pociągał atlasowej kamizelki, umyślnie na ten dzień na przedce uszytej, kwiecistej i błyszczącej, i truł się swoją dumą, którą wszystko obrażało, nawet to co jej dotyczyć nie mogło. Dokuczało mu co kto mówił, jątrzyło milczenie, szukał przyczynki w obojętnych słowach, zaczepki lub poniżenia w ruchu najniewinniejszym.

Do południa nikt się nie pokazał; tylko Terminiński w wielkim stroju odświętnym, czarno, w trzewikach i pończochach, przyszedł oznajmić, że dla niedyspozycji Kasztelanica nie może się ukazać szanownym gościom aż o swej zwykłej godzinie, prosząc aby rozkazywali jak im się podoba i pytając czem służyć można.

Czas zbiegł szybko na rozmowach i przeglądaniu się wzajemnem, szeptach, myślach i domysłach. Komuś obcemu mimowolnie zjazd ten byłby nastroczył myśl obrazu spadkobierców, przybyłych na otwarcie testamentu, tak cheiwie biegaly oczy, tak zawistnie mierzyli się wzrokiem, tak zazdrosne uczucia miotały piersiami prawie wszystkich przytomnych.

Nareszcie wybiła godzina, i drzwi od pokoju Kasztelanica powoli się otworzyły; wszedł solenizant, na którym choroby wcale znać nie było, bo się umyślnie na przekór swoim sukcesorom wyświeżył, odmłodził, żeby im psikusa wyrządzić. Szambelan znał wszystkie tajemnice obfitego w tym względzie XVIII. wieku,

który cudów dokazywał, podnosząc na chwilę, kosztem życia, ruiny ludzkie zniszczone rozpustą, zużyte używaniem. Nie wiem co tam z sobą uczynił w swoim gabinecie, jakich użył środków, na odzyskanie jeśli nie sił to ich pozoru i barwy zdrowia; ale w tej chwili był to o lat dziesięć i więcej cofnięty, krzepki, rześwy i rumiany dworak Stanisława Augusta. Twarz jego, zwykle gdy z rana wstawał z łóżka, zwiędła i trupa, kolorował lekki naturalny rumieniec, płeć była biała i przejrzysta jak u młodej dziewczki, oczy świeciły się i grały szyderskim wyrazem, cała postawa miała coś w sobie naprężonego, sztywnego, ale jeszcze silnego i rzeźwego.

Pau Samuel, Jasiek, domowi uawet, zdumieli się spojrzawszy nań, tak dalece to był inny nie codzienny ich Kasztelanie, tak mu energii, wyrazu i żywota przybyło. Kto mu je wlał, jakim sposobem? to było tajemnicą niezbadaną starca, a Terminiński nawet flaszeczki z której czerpał nie znał i o niej nie wiedział. Na wielkie wypadki umiał on tak odmładzać się na chwilę..... Wszedł z uśmiechem, wystrojony, wesoły, pogodny; kto go widział przed godziną w czepku, skulonego, chudego i bezsilnego w krześle sypialni, nie byłby go poznał teraz. Strój odpowiadał fizjognomji i był najwytworniejszy; składał się z aksamitnego ciemno-fioletowego fraka, takichże spodni, z brylantowymi u podwiązek spieczkami, czarnych pończoch, trzewików z kameryzowanemi klamrami, żabotów koronkowych brabaukich przepysznych, szpilką kosztowną z ogromnym brylantem spiętych, i palców obłożonych bogatemi różnego rodzaju pierścieniami.

Pan Samuel cofnął się jakby widmo ujrzał, wszyscy stanęli osłupieni, Kasztelanie postąpił ku gościom z uśmiechem dworaka, zręcznie, wesoło, zamaszysto. Z kolei witalich wszystkich, tak grzecznie, tak uprzejmie, tak niemal czule, że pan Piotr, łatwy do oszukiwania, obwiniął w sercu Samuela o sąd niebaczny i stronny.

Dla każdego miał słówko pochlebne, wszystkich ra-

zem potrafił skupić w grono, wiążąc ich to zapytaniem, to odpowiedzią i czarując doskonale odegraną uprzejmością, której przymusu i nieszczerości nie nie zdradzało.

Zaraz za nim wniesiono wykwintne śniadanie i zastawiono niem stoly, a Kasztelanie w koło tac ustawivszy swych gości, dopiero mrugnął by mu jego zwykle podano przysmaki i na boku zasiadł oddzielnie, w obawie żeby go kto nie odjadł.

Najporządniej w świecie ułatwił się, obyczajem codziennym, oczyścił tacę i talerzyki, po czem skinął i drzwi do sali jadalnej otworzyły się na oścież. Termiński, w białych rękawiczkach, z serwetą na rękę, oznajmił głosem poważnym: — Dano do stołu....

Widok sali obiadowej i zastawy stolów był wspólny, choć nie w ten sposób wytworny jak dzisiaj; wszystko tu jeszcze wiek XVIII. przypominało, ale uderzało przepychem, na który nikt tak szeroko ust i oczów chciwych nie otworzył jak Sobocki, nie mogący pojąć tak wielkiego zbytku, tak dla siebie nowych bogactw.

Stół zastawiony był w podkowę i cały pokryty przepyszniemi srebrami, które wyobrażały bóstwa Olimpu, ulubione ostatnim latom XVIII. wieku. Bogowie trzymali naczynia porcelanowe i szklane, oprawne w srebro, unosząc w nich kwiaty, owoce, desery i przyprawy. Rzęd tych figur srebrnych gęsto ustawionych, przeplatanych długim szeregiem niesłychanie pięknych figurynek z saskiej porcelany, opierał się na leżących środkiem obrusa taflach zwierciadlanych, oprawnych w srebro, w których odbijały się kształtne postacie, zieloność, owoce ułożone umiejętnie w koszach i błyszczące kryształ.

Bufet w końcu sali wystąpił także z całym wytworem swoim, jaśniejąc ogromem sreber okazałych. Na środku, naczynie do kawy wyobrażało Atlasa unoszącego świat na ramionach. Na umyślnych mahoniowych kółkach stała tu także wielka srebrna beczka, ze złoceniemi obręczami, jakby zaręczając, że się napoju

przebrać nie może. W istocie była próżną, ale cały kąt pokoju zalegała gromada różnokształtnych butelek, długich, niskich, pękatych, czarnych, jasnych, z karteczkami i bez kartek, z pleśnią starości lub błyszczącą powierzchnowością świeżego przybylca. Do koła salę ubierały wazony pomarańczowych, granatowych i cytrynowych drzew.

Goście usiedli na miejscach wskazanych, i wytworny obiad, arcydzieło Karasińskiego, przygotowane z pomocą konserw, soków, i różnych gotowych przypraw, rozpoczął się uroczyście. Chwilę przed nim weszła Antosia, żona Sobockiego, najniesmaczniej a najtroskliwiej przystrojona, jedyna w całym towarzystwie kobieta. Kasztelanic z uprzedzającą grzecznością szambelańską podał jej rękę do stołu i posadził na pierwszym miejscu. Sobocki podrósł, chociaż jemu w końcu stołu dostało się siedzenie, na przyczepku, z Rotmistrzem i Jasiem. Bulwa i panua Aniela nie pokazali się; wyglądał tylko rządca z kredensu gdzie był użyty z często wstającym Jasiem do dozoru półmisków.

Kasztelanic, rozsądzivszy gości, rzuciwszy z uśmiechem okiem po stole, wziął się do jadła. Obiad poszedł zwykłą obiadów koleją i był o ile tylko mógł na wsi najwystawniejszy, ze wszystkim czego wymagała forma najwykwintniejsza. W końcu wzniosły się toasty.

Gdy wniesiono hałaśnie zdrowie Amfitryona Kasztelanica, powstał, ale w podziękowaniu jego, w uśmiechu, który je ubierał, badacz byłby dostrzegł coś sztyderskiego i złośliwego. Zdrowia potem wrzawliwie mnożyć się zaczęły, pijatka przeniosła do salonu, a Kasztelanic, nie chybając zwyczajom swym na chwilę, spojrzawszy na zegarek, wymknął się na swoje miejsce w fotelu. Tu podano mu kawę i likwory; posiedział chwilę bez warcabów i zdrzemnął się nawet pomimo szumu. Kielichy krążyły jeszcze, a już po krótkim spoczynku, gospodarz powstał, otworzył drzwi i zniknął gościom do wieczora.

— Panie Samueln — zawołał podbiegając Piotr — co to jest? poszedł! a kiedyż go zobaczę żeby się z nim rozmówić?

— Przyjdzie wieczorem dopiero.

— Kiedyż go złapię we cztery oczy, żeby pogadać przecie?

— O! co tego to nie wiem! Trzoba na to szczególnej protekcji Terminińskiego, żeby dał andjencją prywatną w swoim pokoju; ale to będzie posłuchanie podsłuchiwane, przestrzegam. Jeśli na nie rachować nie myślisz, chwytaj pierwszą lepszą chwilę dziś wieczorem... bo się druga może nie nadarzy.

Do wieczora goście pili, palili tytoń na ganku i żywą bo trochę pijaną wiedli gawędę w sali jadalnej. Gdy Kasztelanie wszedł o swojej godzinie, oznajmiono panu Piotrowi, a ten, słuchając rady brata, pośpieszył się ku niemu przecisnąć.

Przysunął się do pana Stanisława, spojrzął mu w oczy jakby przez nie chciał zajrzeć w głąb duszy, i jak wszyscy ludzie poczciwi skłonny do wierzenia raczej w dobre niż złe, począł z niejakiem rozrzewnieniem i usposobieniem braterskiem:

— Jakże to miło, kochany bracie, zobaczyć się tak po wielu latach oddalenia... bośmy to o sobie, można powiedzieć, pozapominali, żyjąc w dalekich od siebie kątach.

— Jam temu nie wiele winien — z uśmiechem odparł Kasztelanie słodzincho — wiesz, że wyjeżdżać nie mogę; czemuż mnie częściej nie odwiedzacie?

— Prawdeż mam powiedzieć? — spytał pan Piotr zupełnie njęty odpowiedzią.

— O! i owszem kochany Piotrze — rzekł nieco kwaśniej Kasztelanie, który prawdy nie lubił, ale chciał dnia tego odegrać rolę zamierzoną do końca.

— My cię znamy z tej strony, że nas i ludzi obcych w ogólności nie wiele potrzebujesz, więc ci narzynać się nie radzi... Dzisiaj, poczciwy powód dowiedzenia ci pamięci i przywiązania naszego, wyjątkowo tak tłumnie zgromadził... Chcielibyśmy, pragnęli, żebyś nas nie nwa-

żał za obojętnych...

— Za obojętnych! — dwuznacznie kiwając głową odparł Szambelan... — przepraszam.

Pan Piotr mówił dalej, rozczulając się widocznie:

— A my szczerze, jak brata cię kochamy, i — bolejemy nad tobą — dodał smutniej i ciszej.

— Jak to? bolejecie? — nadzwyczaj niby zadziwiony spytał pan Stanisław...

— Alboż nie mamy powodu i prawa? Choć starszemu bratu pozwól myśl moją odkryć śmiało, otwarcie i wystąpić z radą. Wiek twój może ją czyni zbyt cenną, ale ją serce dyktuje.

— Dziękuję — rzekł sucho Kasztelanic, udając uśmiech zachęcający do mówienia — mów, mów śmiało.

— Pozwalasz, więc ci się całkiem otworzę, kochany bracie... Twoja starość nas martwi, mybyśmy cię inaczej chcieli widzieć dla twojego szczęścia...

— Ja się nie skarżę.

— Ale cierpisz, cierpieć musisz... twoje życie nie zgadza się z wiekiem. — Serce może zrażone czem odsuwa się od swoich — a nawet... od Boga o którym w młodości myśleć się nie przywykło — był to czas niewiary! Tyś temu nie winien! Ale za cóż obcy mają być bliżsi nad nas? a często niegodni?

— Bracie — rzekł sucho Kasztelanic, nie wychodząc z grzeczności form, ale je przesadzając w miarę jak gniew go burzył — wierzę, że to co mówisz dyktuje ci serce, ale to są wyrazy tak ostre... tak dotkliwe...

— Jak ostry, jak dotkliwy ból co je dyktuje — odważnie podchwycił brat — biorąc w ciepłe swe dłonie zimną, alabastrową rękę starego dworaka. Co mówię, to mówię szczerze i z serca... Nie żyjesz wedle Boga żyjesz wedle namiętności; wszakbyś już uczuć powinien, że to cię zaspokoić nie może? że wiara i cicha starość w modlitwie, uspokojeniu, rozmyślaniu, zdolna tylko uszczęśliwić...

Kasztelaniec wiele musiał pracować nad sobą, żeby na to odpowiedzieć jak chciał, jak mu z jego rachuby wypadało; widać było w błyskach oka, we wstrząśnięciu poskromionem, w brwiach szybko ściągniętych i na gwałtownie potem rozpogodzonym siłą woli czole, że myśl jakaś nie uczucie chwili, dyktowała mu obrażoną, zdradliwą odpowiedź.

Westchnął naprzód głęboko.

— Dajmy temu pokój bracie — odezwał się z wyrazem tęsknoty doskonale udanym — jam moją młodość może za daleko przeciągnął; ale któż ci powiada że jej nie skończę lada chwila? że nie tęsknię także za tem czego mi braknie, a nie brzydzę się tem co mam i czego się trzymam tylko z nałogu? To delikatna materja, nawet dla braci... Wiary nikt nie wleje musiem; ona przychodzi z nieba nie od ludzi... i przyjść może gdy jej godzina wybije.

Piotr doskonale uwierzył w te słowa starca, wyrzeczone z mimiką szczerości, i prawie się uspokoił niemi, ciesząc że Samuel tak się omylił!

— Ale — dodał po cichu: — gdybyś nim przyjdzie ta chwila szczęśliwa, przysposobił się do niej innem życiem?

— Jam stary rozpustnik, stary nałogowiec — rzekł naiwnie, niby z szczerą pokorą jakąś Kasztelaniec — dajcie mi samemu sobą kierować... siła nic nie może nademną, wszystkom przywykł czerpać z siebie. Kto wie! kto wie, może o czem mówicie, bliższem jest niż się wam zdaje!

Pan Piotr, nadzwyczaj zdumiony i tonem i słowy które usłyszał, już chciał roztkliwiony ścisnąć go, dziękować mu i nalegać, gdy część towarzystwa wsunęła się do pokoju i przerwała rozmowę, z widoczną Szambelana radością. Kto inny przebieglejszy, podejrzliwszy, nie tak z dobrego serca łatwowierny jak pan Piotr, byłby w czasie rozmowy nie dał się uwieść słowem tylko na pozbycie się wymówionem: on, doskonale uwieść się dał w pole, zatarł ręce i powstał uradowany, właśnie gdy sarkastycznym wejrzeniem litości i stłu-

mionego gniewu mierzył go brat starszy, winszując sobie, że tak zręcznie potrafił go odegnąć nadzieją.

Pełen tedy radości, z dobrą jak sądził nowiną, Piotr posunął się żywo ku Samuelowi, który z daleka widział początek rozprawy i domyślał się niemal jak się to skończy — chwycił brata za rękę i rzekł mu wesóło na ucho:

— Samuelku kochany! dzięki Bogu, przekonany jestem, żeś się srodze omylił... on ma serce... wyznał mi że znudzony jest swoim rodzajem życia, że wygląda tylko chwili nawrócenia swego, a tę gawiedź odepchnie... l... zobaczysz, wszystko dobrze będzie.

Samuel nie odpowiedział, ruszył tylko ramionami powolnie, spojrział w oczy Piotrowi i nie miał siły wyrzec słowa, tak był poruszony.

Piotr widocznem niedowierzaniem prawie się uraził.

— Zmituj się Samuelu! widzę jakbyś wątpił o tem co mówię?

— Nie! ale o tem co ci powiedziano bardzo wątpię czy prawda. Staś, żeby się ciebie pozbyć prędzej, skłamał skrucę, westchnął i żartuje w duchu z twojej łatwej wiary.

Piotr przychodził już do gniewu.

— Bracie — zawołał — a godziź się to tak posądzać!

— Nie chcę się z tobą spierać — rzekł Samuel smutnie — zobaczysz później....

— Ale toby było niegodziwe, szkaradne kłamstwo! toby było ostateczne zepsucie!

— Nie guiewaj się panie Piotrze; na wszystko co chcesz pozwalam — zobaczysz później kto miał słuszność.

Bracia pierwszy raz od lat kilkudziesięciu, po krótkiej rozmowie, rozeszli się nie bardzo z siebie radzi, oba się obwiniali o łatwowierność i pewność.

Wieczór zszedł na grze i rozmowach, podsycanych winem coraz to gorszem, i trwał do godziny w której swoim obyczajem Kasztelanie zwykł był odchodzić do sypialni. Nie uchybił on ani sekundy dla gości, i po-

żegnawszy ich niezmiernie grzecznie, z uśmiechem na ustach usunął się na spoczynek.

Goście też zabawiwszy małą chwilkę, do swoich pokoiów rozchodząc się i rozjeżdżać zaczęli. Tak się skończył ten pamiętny dzień urodzin pana Stanisława, raz pierwszy i ostatni z takim przepychem obchodzony w Strumieniu.

Większe były jego skutki, niżeli z pogodnej i pozornie wesołej fizjognomji tej uroczystości wnosić można.

Wszystko co otaczało bliżej Kasztelanica i rachowało na niego, na słabość starca i majątek zdający się łatwą pastwą, — poruszone zostało tem przypomnieniem się familji bezdzietnemu bratu i stryjowi. Jaś Aniela, Termiński zadrżeli, bo wszystko troje rachowali na spadek całkowity lub częściowy. Zjazd był widocznie urządzony między wszystkimi, bo nie mogli trafem się tak zebrać, a połowa ich nawet o dniu urodzin nie wiedziała. Był więc już spisek jakiś, jakaś zmowa potajemna, oczy wszystkich dotąd obojętnych musiały się zwrócić na Strumień. Trzeba było spieszyć, uprzedzić ich, i starca opanować.

Tę myśl w faworytach obudził zjazd familijny. Jaś nie na samym opierał się domysłu, wiedział bowiem nieco o podróży pana Pawła, o jego wyprawach, naradach, o zamiarach pana Piotra i obiecywał sobie wiadomość tę na korzyść swoją obrócić, gdyż domyslał się że wszystko to mógł zrobić Samuel.

Późno w nocy August Pobiał, Tomasz Piotr, Józef, Samuel, Antoni, Dziadunio, zeszli się w pokoju kulałego, dla rozmówienia się o wrażeniach dnia tego i postanowienia co dalej czynić wypadało. I ta schadzka nie uszła bodawczego oka Jaśka; chociaż podsłuchać ich nie mógł; ale schwycił na uczynku i zapisał to sobie na przypadek potrzeby.

Piotr pierwszy po cichu zagaił zgromadzenie temi słowy:

— Dzięki tedy Bogu, kochani moi — rzekł — nie sprawdzają się smutne wróżby pana Samuela... mówiłem z Kasztelanicem; widocznie jest znużony, zmę-

czony swem życiem; czuje już, jak mi wyznał, tęsknotę do Boga, do wiary opuszczonej za długo... To grunt, za tem pójdzie poprawa życia, a za nią wszystko najlepsze...

— To co mówisz, kochany bracie — spokojnie odparł Samuel — dowodzi tylko żeś go dawno stracił z oczów, i że cię łatwo oszukał. Co do mnie, stoję przy swoim. Tu potrzeba kogoś co by lepsze miał oczy i większą zręczność nademnie starego; intrygi się rozpoczyna, bo do nich się wszyscy stroją... Staś nie porzuci swego rodzaju życia, bo w nic, ani w Boga, ani w szatana nie wierzy, i my stracim majątek, a co gorzej, człowieka zgubim. Może wpływ codzienny uczciwego człowieka, silniejszego nademnie, mógłby na niego poskntkować.

— Jakto? utrzymujesz jeszcze, że mógł tak bezwstydnie skłamać?

Samuel się rozśmiał boleśnie.

— Ani wątpię — rzekł — wszystko ci przyrzecze, a nic nie dotrzyma.

Piotr smutny, urażony, umilkł.

— Bracie Samuelu — odezwał się Antoni, chętny do gawędy — ty to już podobno za nadto wszystko widzisz czarno; czemu to ma być niepodobnem, żeby za tęskniwszy do Boga powrócił?

— Niech i tak będzie, niech i tak będzie — trochę niecierpliwiąc się odrzekł Samuel — na tem kończę, ale pamiętajcie żem przestrzegał, żem prosił! Umywam ręce i milczę odtąd do końca.

To mówiąc, smutny usunął się na bok, podparł na rękę i zamilkł w istocie.

— Nie pozostaje nam więc nic — rzekł August dowcipnie — nad spokojne czekanie zmiłowania Bożego nad grzesznikiem.

— I niech go tu Samuel tak dogląda jak dotąd — odezwał się pan Piotr — bo w razie czegoś zagrażającego da nam znać. Dodać mu teraz drugiego stróża, jak projektowano, biło by w oczy z nadto, on sam by się na tem mimo farby nie omylił, toby go mogło

nawet rozjatrzyć. Jestem pewien, że już usposobiony do powrotu ku Bogu i wierze; módlmy się i czekajmy.

— To ze wszystkiego najlepiej — śmiejąc się dodał pan Tomasz i zacierając ręce — przyznam się, że po mnie już ciarki chodziły na samą myśl, że będę na tę wartość wykomenderowany: powszednich dni musi tu być djabie nudno.

— Ja o tem wiem trochę — odezwał się Samuel — a siedzę dla was i dla siebie; może by warto, żeby mnie kto z posterunku złuzował.

— A! a! otóż i racja tych strachów, których nam napędziłeś przez panią Hieronimową — rzekł Piotr — chce się odpocząć... i nie dziwuję.

— Ba! alboż mój siwy włos nie daje mi do tego prawa?

— Toć prawda — przerwał Dziadunio — ale kto lepiej i stosowniej tu od ciebie siedzieć może. Obibrawsia hrybem, taj liż w kisz ¹⁾). Jeśli się usuniesz, któż cię zastąpi? będzie to doprawdy miało minę straży, która się złuzowała. Ty to sobie stojąc na miejscu nie bijesz w oczy. Kasztelanica nie niecierpliwisz, jakby może kto drugi potrafił, naprzykład ja... Ej! bracie Samuelu sużeno, padł los na ciebie, odслужи ci to familja... a cóż robić, musisz zostać... jakeś zaczął tak i kończ. Wid napasty ne propasty! ²⁾) nic ci się nie stanie!

Samuel westchnął ciężko, pomimo dodawanej przez Dziadunia otuchy.

— Pańszczyzna bo to — rzekł — pańszczyzna! oj mój miły Boże! patrzeć na sprośne życie, milczeć, a wzdrygać się, widząc do koła rozstawione sieci, ani na nie co zaradzić, ani o nich oznajmić.

— Czemu?

— Bo jutro ci, którychbym wydał, potrzebniejsi i milsi odemnie, wyparli by mnie z tego stanowiska. Chcecie — więc zostaję, ale za nic nie odpowiadam.

¹⁾ Kiedyś grzyb, leż w kosz.

²⁾ Od napaści nie przepadniesz.

— Ale cóż tu u kata stać się może? — zapytał pan Tomasz, któremu swoboda jego milsza była nad wszelkie bogactw nadzieje.

— Co się stać może, to ja wam wyliczę — rzekł Samuel — a nawet zaręczam, że się tak stanie! albo stary podglupiawszy pod koniec, ożeni się z panną Anielą i jej wszystko zapisze, a nam zostawi figę; albo co pofańszują, a my z kwitkiem pójdziemy znowu: w dodatku umrze jak żył, bez skruchy, żalu, śmiejąc się i drwiąc z nas i ze wszystkiego.

— Przyznam się — przerwał pan Tomasz — że ja na Apostola wiele zdolności w sobie nie czuję; jeśli go trzeba nawracać tylko, najlepiejby sprowadzić kapucyna; możeby grając w marjasa i pijąc z nim, trochę go zreflektował — ale i to kwestja!

— Nawrócenie to kwestja inna — odparł pan Samuel przy swoim stojąc — ktoby był tak zręczny żeby od niego te pijawki poodrywał, tem samem uczyniłby go skłonniejszym do nawrócenia. Od jednego czy od drugiego poczynając, jedno ciągnie za sobą drugie, a oboje pilne.

— Ale zmilujcie się — swoją znowu myśl chcąc utrzymać odezwał się pan Piotr — te się rzeczy nie robią gwałtem i nagle... na to potrzeba czasu! oświadczył się, że już czuje pociąg do zmiany życia... dajcie temu zbawiennemu natchnieniu spokojnie dojrzewać.

— Tak! tak! — zawołali w kilku ziewając.

— Suma summarum — dokończył Tomasz — redukując to co się powiedziało, wnioskuje, że nic nie pozostaje do czynienia w tej chwili, nad polecenie Kasztelanica opiece Boskiej, pan Samuel obejmuje straż główną, a my raniuteńko każemy konie zaprzęgać i drała do domu.

Na tem się główna część rozmowy skończyła i powoli krewni wszyscy do swoich mieszkań rozchodzić się zaczęli, znużeni, obojętni, nic nie postanowiwszy i przekonawszy się, że nic postanowić nie można.

VIII.

Zdaleka dotąd tylko widzieliśmy Jasia, a typ ten między innemi zasługuje na bliższe obejrzenie! daliśmy dawniej rys życia jego rodziców i okazali członków rodziny; z tych można już osądzić jak zaniedbane było wychowanie Jasia, jak tu wiele zły los i zły przykład w chłopcu, którego nic nie broniło przeciwko niemu samemu, uczynić mogły.

Jaś młodo dostał się do Kasztelanica, który zeń zrobił sobie dogodne narzędzie, nie troszcząc się o to wcale, jaką to dla niego zgotuje przyszłość. Głównie wychowanie Jasia zasadzało się na przyzwyczajeniu go do posług, które wymierzał i regulował zegar, pan w Strumieniu wszechwładny. Kasztelanic kazał go nauczyć czytać i pisać dla siebie tylko, żeby mu mógł deklamować sprośne wiersze i głupie romanse, robić z nich wyciągi miejsc najszkaradniejszych, gdyż ogromne foliały pryapewów składał sobie starzec, ze szczególną ciekawością czerpiąc z pisarzy XVIII. wieku, co w nich było najwyuzdańszego.

Ani też pomyślał starzec, jakie na młodym umyśle uczyni wrażenie, nie tylko przykład życia jego, ale te ciągle nasuwające się i namiętności zawczasie rozbudzające obrazy swawolne, dowcipkowania bezwstydne, najgrawania się ze świętości, z wiary wszelkiej i wstydu. Ten wyskok doktryn XVIII. wieku, który tu padał na ziemię całkiem nieuprawną i niczem wprzód nie zasianą, miał najdziksze wydać na niej owoce. Myśl młoda zeschła i pełznąć poczęła po ziemi, a serce bić przestając zamarło, jak niepotrzebny organ w nieśczęśliwym wychowanku.

Jaś najstraszliwiej na wiek swój został zepsuty, i nic nie może dać pojęcia zniszczenia jakiemu uległ, ciągle oddychając tem zatrutem powietrzem które go otaczało. Nic przeciwko temu wpływowi nie działało, nic mu nie stawiało tamy; odsuniony od świata, żadnej zdrowszej myśli, żadnego pokarmu posilnego nie mógł pochwy-

cić — wiął niewiedząc że ginie, domysłając się jak inne otacza go życie po za kołem tego dworu i codziennych stosunków. Zamknięty w sobie, ostro i bez serca traktowany przez stryja, który się nim posługiwał i cenił tylko jak sługę, Jaś w upokorzeniu swem wyrabiał siłę ogromną oporu i przedsięwzięcia; przymuszony udawać, nauczył się kłamstwa, przywykł do fałszu, a patrząc na Kasztelanica, którego myśli i uczucia umiał zgadywać, od niego panowania nad sobą i dogadzania sobie pierwsze wziął lekcje. Wszystkie nieczyste namiętności, których apologją pod formą tak ułudną zawierają dzieła XVIII. wieku, poczynaly się w nim burzyć, odzywać i wołać nasycenia. Nie było złego instynktu coby się w nim nie rozwinął, zły myśli coby się już nie wykłuwala, a co dobrego zasiała w nim dłoń Boża, to spało obumarłe i marniało nieczyją nie obudzone ręką.

Najstraszliwszy z egoizmów, egoizm młody i namiętny, miotał mu sercem jeszcze nienasyconem.... stawał się dla niego prawem życia. Niewyuczony widzieć co innego nad siebie, podlegany nienapasionemi żądzami, Jaś wszystkiego chciał i nie czuł w sobie żadnej tamy pragnienia. Nie rozeznawał złych od dobrych środków, nie miał pojęcia cnoty; był pewien że istotną mądrością i celem życia każdego, jest w walce ze światem i ludźmi wywalczyć sobie jak najwięcej siłą, obłudą, upokorzeniem, fałszem, byle zręcznie. Nie powiem żeby w tem zgangrenowaniu serca nie było i dobrych uczuć, i poruszeń litości, i szlachetniejszych czasem natchnień — ale niepodsycone, nieożywione, gasły wśród ruchu i wrzawy ciągle podrażających namiętności. Jaś z temi usposobieniami tem był niebezpieczniejszy, że go natura uposażyła bystrem pojęciem, instynktową trafnością do ludzi, przecuciem ich słabości, a wychowanie nagięło do kłamania postawą, oczyma, ruchem, mową, czynem.

W wieku, gdy się najbardziej pragnie zwierzenia, przyjaciół, podziału serca, on już był doszedł do tego, że z nikim nie mówił szczerze, obawiał się wszystkich,

wszystko w sobie zamykał i nie chciał wynurzać przed nikim; a z bojaźni, by go kto nie odgadł, ułożył sobie postawę, mowę, wejrzenie najprzeciwniejsze temu, co snuł i czuł w sobie.

Takim był ten nieszczęśliwy chłopiec, a winien to był wychowaniu Kasztelanica, widokowi jego życia, zbytków, dostatków, na które poglądać mógł tylko, gdyż stryj zaledwie najpilniejsze jego potrzeby opędzał i nie mu nie dawał, co musiało naturalnie wzbudzać w nim pragnienie bezmierne wszystkich niedostępnych dla niego życia nasycen i rozkoszy. Jaś wiedział że kiedyś może część dostatków Kasztelanica jemu się także dostanie, ale im dłużej miał na to czekać, tem mu się to mniejszem wydawało, chciał wszystkiego i głowę łamał, jakby do tego przyjąć.

Wkrótce po przybyciu panny Anieli na miejsce jej poprzedniczki do Strumienia, nie zbyt jeszcze oswojona ze swem położeniem ochmistrzyni oglądała się kogoby sobie wziąć w pomoc, żeby jej godziny nie tak smutno i ciężko upływały. Rachowała, że zmuszona poświęcić się dla starca, winna sobie była za to jakieś wynagrodzenie; ale Jasia jeszcze nie było, a Termiński nadto był rozumny, by w podobne wchodził stosunki, do tego miał swoje dawniejsze, często zmieniane znajomości. Przybył Jaś młodziutki, głupiutki, przelękły, nieokrzesany, i Aniela raczyła rzucić okiem na niego, oczekując jednak, by sobie podrósł i oswoił się. Tymczasem dosyć czule się nim opiekowała. Jaś wkrótce wykształcił się bardzo i aż do zbytku, a panna Aniela, obrachowawszy wszystko, nawet późniejsze ożenienie, zbliżyła się ku niemu. Ale już chłopiec, który także umiał rachować, pamiętający świeże sieroctwo i nędzę, wyraźnie i niezręcznie oparł się wszelkim przyjaznym związkom z ulubienicą stryja. To mu śmiertelną, nieprzełagalną zrobiło z niej nieprzyjaciółkę na zawsze. Odtąd oni i ona nie widywali się tylko przy stole a choć nikt o niczem nie wiedział, choć Jaś podwójnie był uprzedzający i grzeczny, złość panny Anieli nie dała się rozbroić: przysięgła zemstę.

Zemsta jednak odłożoną została na później; Aniela spodziewała się być coraz silniejszą i na chwilę potęgi przekazała spłat tego długu upokorzenia. Nie zapomniała jednak o nim wcale.

Kilką dniami przed urodzinami, Jaś, który widział dobrze co się w koło niego działo, dowiedział się także o przejażdżce pana Pawła po familji, domyślił się jakichś machinacji i żywo postanowił działać ze swojej strony. Sam czuł się jeszcze bezsilnym, wahał w wyborze sprzymierzeń; chciał go mieć jak najprędzej, by przystąpić do czynu. Ni mniej ni więcej chciał wyłudzić cały spadek po Kasztelanicu, jak? sam nie wiedział i o to mu nie szło — wybór współpracownika miał stanowić o środkach.

Wieczorem w sam dzień zjazdu o którym mówiliśmy, Jaś niespokojny bardzo, w swojej ubogiej izdebce w końcu oficyn chodził z twarzą rozognioną i okiem płomienistym. Miotał nim strach i niecierpliwość; lękał się żeby mu nie wydarto jakimkolwiek sposobem tego, co już za swoje uważał; nie wiedział jak temu zapobiedz a chciał działać co najprędzej.

Izdebka w której stał, była prawdziwą dziurą, najlichszą ze wszystkich w oficynie. Termiński nawet miał daleko lepsze dwa pokoje dla siebie; Jasiowi dano jeden wprost z podwórza się otwierający, zimny, ciasny i brudny; jedno okienko tylko z niego wychodziło na śmietnisk pełne podwórko kuchenne, choć przez zabrudzone szyby nic widać nie było. Podłoga dawno nie zamiatana, grubo narosła błotem zaschłym i popiołem od fajek, pełna była narości i gruzów; niektóre jej deski odstawały do góry, inne wygniłe wpadały w ziemię, a drewniane kołki, któremi była przytwierdzona, sterczały, czyniąc przejście kilku kroków, zadaniem prawdziwie niebezpiecznem. Jaś tylko machinalnie z nalogu wywiązywał się z niego zwycięzko, bo każdy kołek i dziurę ominąć umiał. Kominiek zamurowany od dawna, bo zawsze dymiący, trochę pieca, gdyż druga większa jego połowa kryła się w sąsiedniej gościnnej izbie, ogrzewało tę klitkę. Ściany jej pobielane da-

wniej, dziś z tyku i pobiałe obleciałe, wystawiały plamistą dziwacznie porysowaną powierzchnię. W kącie stało łóżeczko, wyrób prostego cieśli, na wyskich kołyszające się nogach, licho pokryte, wyleżane, wąskie, krótkie i niewygodne. Tuż przy niem stał równie lichy stolik, zarzucony gratami bez imienia i barwy, między którymi tylko rozeznaczyć było można kałamarz, lichtarz, rękawiczkę podartą i porcelanową fajkę. Reszta była stołem szarym zrzynek, obłamków i pyłu. Przed stołem krzesło z drewnianymi w poręczu i siedzeniu szczeblami, czarno niegdyś bejcowane, wyszczerbione, jedyne w izdebce stało bokiem i krzywo. Przy wolnej ścianie sofa odarta i słomą świecąca, ze skórzaną starą poduszką, zdawała się rozbitą i na nic nie zdatną, bo dwie jej nogi skruszone były i koniec leżał na podłodze. Zresztą dzbanek, miska prosta, trochę odzienia na sofie i kołkach, strzelbina jakaś — oto wszystko co Jaś posiadał.

Smutno tu było zajrzeć, tak z nieładu izby, wyglądał charakter mieszkańca co ją ani chciał ani miał czysto i porządnie utrzymać. Nikt zresztą nie dbał aby mu było piękniej i lepiej, i żywe oko nie zajrzało do niej.

Jaś siedział, ręce sparl na kolanach, i twarz ukrył w dłoniach, zamyślony gorączkowo; rzucił się niekiedy, wstawał i siadał znowu — gwałtowny bój się w nim odbywał.

Dwie myśli szarpały go — kogo miał wybrać na sprzymierzeńca — Anielę, którą tak niebacznie odepchnął, czy Sobockiego, w którym upatrywał silną ale niebezpieczną pomoc. Z Anielą był panem siebie i położenia; z Sobockim zmieniał się tylko w narzędzie. Poznał się na nim i obawiał go, ale mu był potrzebny.

— Spróbuję naprzód z Anielą — rzekł żywo i wyszedł.

Pokój panny Anieli, a lepiej jej apartamencik dzieliło tylko przejście od mieszkania Kasztelanica. Było to gniazdko tak świeże i ładne jak barłóg Jasia ohy-

dny. Trzy izdebki składające pomieszkanie miały wprawdzie belki zamiast sufitów i podłogę tylko, ale je pani ubrać i upięknąć potrafiła tak, że się ich nie spostrzegano.

Czysto tu było, świeżo, białe, przyćmiono i rokosznie.

Podłogę, dla odebrania jej tego nazwiska pomalowano i powoskowano, świeciła się jak szkło; meble były skromne ale połyskujące, w oknach muslinowe firanki z ręcznie pozawieszane spadały wśród zielonych etażerek, na których najpiękniejsze oranżerji kwiaty codzień rozstawiali ogrodnicy. Łóżko w ostatnim pokoiku, z dywanikiem, makatą, pawilonem, toaletą, uśmiechało się wdziękiem dziewczyczych białych pościeli. We wszystkim przebijało się wiele smaku, wiele wrodzonego kobiecie uczucia piękności. W istocie, Aniela nigdzie nic nie widziała, a doskonale domyślała się jak co być powinno. Nic tu napuszonego, nic błyskotliwego — odgadła bowiem nawet najtrudniejszy do odgadnienia wdzięk prostoty.

Gdy wszedł Jaś, Aniela siedziała widocznie w najmniej ciężkich jak on pogrążona myślach: — oko jej tylko tłómaczyło niepokój, niepewność i jakąś podbudzoną żądzę... w półmroku była jeszcze tak piękną! Podniosła głowę dumnie, jak zawsze, zobaczyła przybyłego który tu nigdy nie wchodził, a z twarzy jego i własnych uczuć odgadła po co przyszedł. Szyderski uśmiech zwycięstwa przebiegł nieznacznie po wązkich jej usteczkach, wstała — gotowa pastwić się grzeecznie.

— A! cóż to za przypadek sprowadza tu pana Jana?

Jaś zagryzł wargi, oczy mu płonęły, ale panował nad sobą.

— Żaden przypadek — odrzekł — ale ważny i wielki interes.

— Ja i interes, jakiż mieć możemy z sobą związek? — spytała Aniela, ciągle udając, że nic nie rozumie.

— Większy niż się pani zdaje — żywo rzekł Jaś — pozwolisz mi pani mówić od razu, szczerze i bez przygotowań?

— Ale cóż to być może? — odgrywając zdziwienie pytała ochmistrzyni.

— To rzecz bardzo prosta: przychodzę tylko pani spytać, czy chcesz być ze mną, czy przeciwko mnie?

— Cóż to ma znaczyć?

— Pani mnie rozumiesz, to nie potrzebuje tłómaczenia.

— Ale ja bo jestem strasznie tępa.

— Proszę nie żartować.

— Dlaczego nie żartować?

— Bo tu może nie jest chwila do żartów.

— Dla pana... ale dla mnie?

Jaś się zarumienił z gniewu.

— Więc pani, jeszcze raz, ze mną, czy przeciwko mnie?

— No? a gdy ani jedno ani drugie — z dumą odezwiała się kobieta — z panem nie chcę, przeciw panu może nie śmiem, a może nie raczę...

— A więc?

— Niech pan to sobie dokończy. — Co my możemy mieć wspólnego — dodała po chwili namysłu — nic! nigdy nic... Pan jesteś tu jako krewny — ja jestem sługą — chyba myślałbyś mi pan ofiarować?

— Właśnie — podchwycił Jaś — wszystko do podziału między nami.

Aniela potrząsała głową wzgardliwie.

— Ja nic nie chcę tylko spokoju — odpowiedziała z udaną obojętnością... nic... nikogo...

Odwróciła się od niego i odeszła kilka kroków.

— To pani ostatnie słowo?

— Najostatniejsze.

— A więc wypowiedzenie wojny?

— E! zlituj się pan, — zaśmiała się — któż wojuje z kobietą? kto wojuje z dzieckiem? Ja wojny nie myślę rozpoczynać, ani nawet się bronić; jako kobieta ustąpię zawsze.

— Ten zbytek szyderskiej pokory — pomyślał chłopak — dowodzi wielką pewnością wygranej... próbujmy jeszcze.

— Panno Aniello — dodał — był czas...

— A! przypominasz mi pan czas, o którym byłabym zapomniała, mojego poświęcenia a pańskiej niewdzięczności; gorzej, gorzej, bo... nie chcę tego pamiętać, ażebym mogła przebaczyć...

— Ale cóżem winien?

— Winienes, żeś śmiał pomyśleć jakobyem raptem pokochała chłystka co ledwie z pieluch się wywinął — i raczyłeś odepchnąć mnie, gdy w sercu miałam tylko litość i przyjaźń.

— Do tej się jeszcze odzywam!

— Już jej niema, niema — niema, — zajadłe tryumfując zawołała kobieta — między nami nic więcej — zapomnienie — obojętność...

— Pani się ze mną obchodzisz jak z występny...

— Porachuj się pan z sumieniem.

— Ono mi nic nie wyrzuci.

— Bo go pan może nie masz.

— Jeszcze raz panno Aniello, wyciągam dłoń i proszę...

— Schowaj pan dłoń dla innej, i nie proś, bo to się na nic nie przyda...

Jaś uczuł nareszcie niejaką dumę. Spojrzał, uśmiechnął się, uklonił w milczeniu i wyszedł. Ledwie się drzwi za nim zamknęły, Aniela usiadła znowu, zamyślona głęboko, zdawała się ze strachem rozbierać to, co pod wpływem uczucia zrobiła.

Aby jej niepokój i całą tę scenę wytłómaczyć sobie, dość przypomnieć co ją poprzedziło.

W chwili gdy się goście rozeszli, Terminiński równie niespokojny jak Jaś i Aniela, miotany obawą jakąś, postanowił także działać i działać szybko na korzyść swoją. Myślał o tem oddawna, ale stanowczą decyzję winien był tej chwili, która go panicznym jakimś przejęła strachem. Sam przez się nic on więcej nie mógł uczynić, chyba wyrobić sobie zapis i powiększyć go pod-

chwyceniem grosza, którego najlepiej wiedział gdzie szukać; potrzebował pomocy czyjejs, bo chciał zyskać daleko więcej, a ta nieszczęśliwa bezdzietnego majątność podsycała chncie wszystkich, zdawając się im bezpańską, i uionależną nikomu.

Terminiński nie miał wyboru: jedynem jego narzędziem mogła być Aniela.

— Mogę ją z tym starym ożenić — rzekł — ale potrzeba żeby mi za to zapłaciła...

Myśl tę oddawna osnutą, postauowil zaraz przywieść do skutku, unikając skutków jakie za sobą pociągnąć mogły zabiegi familji. Wszedł godziną może przed Jasiem do pokoju Anioli, z którą był ua stopie poufalej i protektorskiej. Wszystko mu będąc winua, obawiała go się, słuchała i starała wszelkiemi sposoby przypodobać.

Wszedł, i gdy ta spieszyła już przeciwko uiemu, sądząc że coś pilnego dla Kasztelanica potrzeba, skinął i zaprowadził ją tajemniczo do alkowy.

— Dwa słowa — rzekł — panno Anielo; tu widocznie źle koło nas, potrzeba sobio radzić... uie ma co drzemać, familja ostro się myśli brać do uaszego staruszka, sądząc że łatwo starych przyjaciół i sługi wierne rozpedzi, a sama wszystko pochwyci... Ale słudzy też nie głupi czekać, aż ich miotłą pożegnają!... Trzeba radzić, trzeba radzić! Waćpanna z nim bezemuie uie nie dokażesz...

— Jak to? — rumieniać się spytała panua Aniela.

— Nie potrzebuje obwijać... Waćpanna uie byłabyś od tego, żeby się z nią ożenił?

— Ja?

— No! na co to to cecregiele; chcesz tego, to pewna, nie zawadzi grosiwo potem zagarnąć... Ktoby to tego sobio uie życzył? No! otóż panna sama tego nie dokażesz... to także frant i kuty! Ja tylko jeden mogę powoli do tego nakłonić Kasztelanica.

— Sumienieby mu to nakazywało — cicho szepnęła panna Aniela.

— E! ba, o sumieniu uie gadajmy — rzekł Termini-

ski podcierając czuprynę do góry na wzór pana — on tam może go nie ma, albo schował na ostatnią godzinę... a zresztą, co to gadać o sumieniu... Nie był on pierwszym.

— Ale był ostatnim! — śmiało odparła Aniela.

— No! o tem potem! — odezwał się Terminiński kładąc ręce w kieszenie.

— Panie Terminiński, czy to się godzi? — płonąc się zawołała kobieta.

— Ale sza! sza! ja przychodzę w dobrej chęci... zaraz to Waćpanna uznasz. Ot tak, w dwóch słowach: ja zrobię to że się ożeni, familji fimfa, ale co mnie za to?

— Cóż ja mam, żebym mogła czem rozporządzać?

— Ba! dziś to czem pani rozporządzać możesz — rozśmiał się stary wyga — dla mnie obojętna; ale poszedłszy za męża, dostanie pani jeśli nie cały zapis fortuny, co prawie pewne, bo mu nasadzim notariusza na kark jak będzie miał konać, a mam gotowego i dobrego, to przynajmniej część znaczną... Cóż ja tedy wezmę?

— Mów Waćpan sam swoje warunki — cicho i cieniutko odpowiedziała Aniela — ja się z góry na nie zgadzam.

— Za tę grzeczność grzecznością płacę, targować się nie będę, nie chcę wiele; będziesz pani mieć miliony, a pewnie krocie, ja nie żądam nad pięć tysięcy... dukatów.

— Zgoda.

— Teraz chodzi o pewność! ludzie jesteśmy!

— Jakąż ja mogę dać pewność, jeśli mi pan nie wierzysz?

— Ba! — zamyślił się pan Terminiński... — to prawda... do ostatniej chwili w mojej być może mocy rozzerwać ślub, gdybym tylko o onym pułkowniku napomknął. (Tu panna Aniela zarumieniła się i żywo chustkę podniosła, jakby nią oczy chciała zakryć). A zatem gdy przyjdzie do formalności, wprzód zapis, po-

tem ślub nastąpi, a między jednym a drugim mój oblig, prosty sobie oblig.

— Jak pan zechcesz.

— Zatem, interes nasz wspólny — jeden... ale milczeć! Ja od jutra nie czekając poczynam... Będą tu i drudzy coś robić! Jaś sobie, krewni może sobie! ale to wszystko w łeb weźmie, bo oczy mam dobre i nos nie zły. Nim się co zasnije, rozerwę. Jasia się nie boje; pan Samuel baba, wzdycha, ale nadto pocziwy żeby nam co popsuł — będzie tylko narzekał. Nie boimy się tedy nikogo. Panna Aniela ze swojej strony bądź smutną, na dany przeczennie znak wybieraj się z domu dla strachu; powoli będę szturm przypuszczał. Proszę na to nie zważać jeśli mi wypadnie burczeć i grać role nieprzyjaciela...

— Jak to? nieprzyjaciela?

— O tak! inaczej obojebyśmy się zgubili. — Znam starego! znam! Będę ja tak pracował, że go zapędzę, gdzie on ani myśli. — Już to tylko mnie zostawcie... zrobimy co zochcemy!.. ale czasu nie mam; do zobaczenia... cicho! cicho!

To mówiąc uklonił się nisko i dodał:

— Dobranoc Jaśnie pani!

— Zgoda! na wszystko! — radośnie zawołała Aniela wyprowadzając go z alkowy... i bardzo dziękuję...

Gdy wyszedł, wzdęła się dumą, podniosła głowę, spojrzała w zwierciadło, a w duchu rzekła do siebie: — Przecież i ja skosztuję świata! i ja będę miała panowania i swobody chwilę! Ja! ja!

Z tego zwyczajkiego pienia przed bitwą, gdy poczęła snuć dumy i nadzieje, nadszedł Jaś właśnie, którego jak przyjęła widzieliśmy.

Młody chłopiec biegł gniewny do swojej izdebki, układając co ma począć, by swego dopiął celu i pomścił się razem; czuł że Aniela była silną, kiedy odrzuciła przymierze; chciał się uzbroić co najrychlej i pokonać ją. Nie pozostawał mu nikt tylko jeden Soboccki; ten wiele mógł, wiele umiał; straszny był wszystkim, ale i Jaś go się lękał.

Nie bez obawy więc postanowił zbliżyć się do tego ostatniego sprzymierzenia, którego nadwyczajna zrzeczność i nadwyczajna przewrotność zastraszała. Nie było żadnej rękojmi że go nie zdradzi, nie wyda, nie porzuci, nie zgnebi, gdy tylko potrzebować tego będzie; ale nie było wyboru. Jaś uczuwszy zimno w kościach, jak każdy co raz pierwszy na coś większego się porywa, poszedł do pokoiku siostry i szwagra.

Sobocki już leżał w przepysznym tyftykowym szlafroku na łóżku i z długiego cybucha, z ogromnym burztynem, umyślnie kupionego na te odwiedziny razem ze szlafrokiem, kurzył tytuń, w nadziei że ktoś przyjdzie, choć tęsknił za brudnem piórkiem, które z krótką fajeczką stało w kącie. Żona jego poczyniała się rozbierać, a rozmowa nie bardzo widać była ożywiona między małżeństwem, bo oboje odwrócenii od siebie milczeli, gdy się Jaś we drzwiach pokazał.

— A! a! dobry wieczór ci braciszku! — zawołał zrywając się Sobocki — no! a co tam słyhać?

— Nic, idziemy spać wszyscy — odrzekł Jaś — ale nim się pośpiemy, nie chciałbyś ze mną pogadać; mam cię trochę popytać, trochę pomówić.

— No! a tu...

— A! tu bo... — mrugnął na Sobockiego pokazując siostrę.

— Ale ja bez butów.

Antosia się odwróciła: — Cóż to za sekreta Jas-
sku?

— Żadne sekreta. at!...

— Może go jeszcze pić poprowadzisz — odezwała się trochę gniewnie — on już i tak, aż mi było wstyd, dopił się przy wieczery maderą i węgrzynem....

— Cichobyś była małpo — przepraszam brata, — a co ci do tego?

Była to mała próbka obejścia się delikatnego z żoną pana Mateusza.

— Słyszysz Jasiu, to mój chleb codzienny!

Jaś ruszył tylko ramionami.

— Ale gdzie go prowadzisz?

— W ogród trochę.
— Jasiu, może gdzie niepotrzebnie...
— Ale bądź spokojna, Antosiu, nie mu się nie stanie.

— O! bo ja was znam!

Sobocki rozśmiał się głośno: — No! chodźmy Jasku a jej co do tego; śpij babo i pilnuj swego nosa...

To mówiąc, wdziawszy buty i fez nowiuteńki, także dla dokompletowania szlafroka, Sobocki wysunął się z Jasiem w milczewiu, prosto w ulicę ogrodową.

Gdy byli na murawie, koło której żaden krzaczek nie mógł słuchacza ukrywać, Jaś odwrócił się do zaciekawionego dosyć Sobockiego, i tak mówić począł dosyć obojętnie, usiłując rozmowę naprowadzić nieznacznie na to czego potrzebował:

— No, bracie, widziałeś teraz oczyma własnymi naszego stryja bogacza; cóż ty na to mówisz?

— Co mówię! co mówię — wykrzyknął fajkę z ust wrywając Sobocki — że to bajka z tysiąca nocy tego jego bogactwa!... A to, do miliona set diabłów, za jedne te srebra co pokazywali u stołu możnaby piękny kupić mająteczek! Ot! szelma szczęśliwy! czego jemu brakuje! Gdyby chciał, pilby od rana do wieczora szampańskie, porter i dromadera, i... co ja wiem! coby mu na myśl przyszło! Szczęśliwy człowiek! A słyszę choć stary i kobieciećta lubi.

— Czego on uie lubi — rzekł Jaś — to bieda, że sił niema.

— Otóż to i bieda, a gdzie siły są, nie ma za co ich użyć! ot co! do trzystu diabłów — westchnął Sobocki — o! szelma stryjaszek, chciałbym ja być w jego skórze.

— Prawda? dom porządny?

— Co to porządny! — animując się zawołał Mateusz — to książęcy, to prawie królewski występ... dziś ręczę żeśmy wypili i zjedli na jakie trzysta rubli...

— O! więcej bracie, więcej!

— A widzisz! to pan! ha! a my patrzymy na te jego państwo i ślinę łykamy.

— To co tu widzisz, nie jeszcze, panie Mateuszu— rzekł Jaś idąc powoli do celu— ja nie głoszę przed nikim co on ma, bo na co ich rozłakomiać; i tak już szaleją żeby to połknąć... ale tak między nami, bracie, majątek majątkiem, srebra to głupstwo, ale grube pieniądze są w gotówce.... i klejnoty wielkiej wartości.... Widziałem u niego ze dwadzieścia pierścieniów różnych, z których najgorszy zapłaconyby być mógł pięćset dukatów.

— No, i proszę cię, zkąd ten człowiek przyszedł do takich pieniędzy? juścił się ich nie dorobił uczciwie... ani odziedziczył.... w tem coś jest.

Jaś udał dzieciaka i bardzo czułego brata; niby się zwierzał, ale to tylko powiedział co chciał, jak gdyby mu mimowoli się wyrывało.

— Ja się coś domyślam.

— No! a cóż takiego?

— Ale to — tylko tobie powiem.

— Powiedz, tylko mnie, masz rację, tylko mnie — chciałem dopytywał Sobocki.

— On to wszystko gdzieś po świecie w karty powygrywał.

— A! sto tysięcy czartów! Otóż to mówią w karty nie grać! patrzcie ot! co to karty dają.... ale onże w karty nie gra?

— Teraz już nie gra, musiał sobie słowo dać, czy nie wiem tam co zresztą.... raz tylko na dzień gra ze mną partję w warcaby. Ale to pewno, że grywał grubo i ogrywał.... poszcęściło się i przestał.

— Ja zawsze mówię — odpowiedział Sobocki, machając ręką — że jeśli któryś ma do człowieka przyjść szczęście to chyba przez karty..... to pewna. Ot, patrzajcie!.... milionowy chłop..... z ósemki i asa! To szelma!

W ten sposób wywoływał Mateusz, Jaś dał mu się nawykliwać i nawykrykiwać do woli, potem przerwał:

— Śliczny majątek; sam klucz Strumieński wart parę milionów, i więcej może, drugie dwa, kto wie, to co jest w tym domu... to piękna fortuna.

— O! ktoby ją miał... żeby ją tak w moje rączki!... smakując zawołał Sobocki — pokazałbym ja co to żyć! Pojechałbym do Żytkowa i dopiero dom otworzył!!

Żytków naturalnie był ideałem kancelisty; o większem mieście marzyć nie śmiał jeszcze, to mogło przyjść dopiero później.

— No! śmiejąc się, odpowiedział Jasiek — toć to w części i na nas spadnie... to jest, na Michasia, na mnie i na twoją żonę po równi.

— Ba! ba! kiedy to co będzie, i co tam nam kapnie z rąk bogatszych krewnych, kto to wie! Choć zjedzą licha, żebym im dał powąchać grosza, póki mnie mego nie oddadzą do szeląga:.... mam ja sposoby, choćby w Żytkowie, choćby i dalej poszło, to im kurtę skroję! Ale co to gadać! Kiedy to jeszcze będzie! A potem, najszcześliwiej biorąc, weźmiemy na nas troje piątą część. Gdyby tego było ogólnie milionów trzy, to kilkakroć na nas wszystkich, po sto kilkadziesiąt na głowę. No! co to? głupstwo! Dla mnie gryziopórka i to pieniądze, ale nie fortuna! At! folwark kupić i biedę klepać, a mnie się na wsi gnić nie chce; ja tego nie lubię!

Sobocki, pod wpływem napoju jeszcze całkiem nie wywietrzałego z głowy, wywnętrzał się bardzo jak widziw i obficie paplał, Jaś dawał mu się wygadywać.

— Ot co się dzieje z fortunami! — wołał dalej Matensz — widzisz jaka to ogromna, kolosalna ta stryjowska, a jak ją rozechwycim ledwie szlacheckie porobią się schedki. Rotmistrz będzie najszcześliwszy bo rodzeństwa niema, sam swoją część capnie. Bestyja Rotmistrz!

— Jeszcze to wszystko na wierzbie gruszki — odparł Jaś z westchnieniem. — Kto to wie; nuż się stary ożeni....

— Co? — cofnął się Sobocki — zrobićby mógł tę podłość?

— Ba! czemuż nie! stary! podejda, zmuszą, znudzą...

— No! a tyś tu odczego, albo ja w miasteczku? Te pannę kazałbym zamknąć do turmy. Ale co ty pleciesz! po cóżby się żenił, kiedy i tak przy uim siedzi?

— O! o! ona gotowa udawać, jak już próbowała, że chce wyjechać! Termiński widzi mi się będzie pomagał. Jesliby stary dał się do tego przynukać, nasze wszystko stracone; a przynajmniej nie weźmiemy tyle ile sobie rachujem.

Sobocki się burzył. — Tego głupstwa nie zrobi — rzekł — na to są sposoby żeby nie zrobił.

Jaś tego tylko czekał, żeby szwagier z intencją pomocy się oświadczył, stanął więc naprzeciw niego i rzekł po cichu:

— Bo prawdą a Bogiem, namby o sobie potrzeba pamiętać, bracie..... tu wszyscy nas nieprzyjaciele, każdyby rad nam zaszkodzić.... Aniela by mnie w łyżce wody utopiła. Termiński mnie nienawidzi.. a nasi krewui?

— Oj te żółto-brzuchy! pankowie! grzecznisie! — zawołał Sobocki — tych to jestem pewny, że gdyby mogli z gęby namby wyjęli.

— Nikt słowa nie powie za nami, wszyscy przeciwko nam: trzebaby o sobie pomyśleć i wziąć się za ręce.

— A co myślisz Jasiu — szepnął po cichu, uderzony tą myślą Mateusz — przypadkiem podobno powiedziałaś wielką rzecz... gdybyśmy się we dwóch wzięli za ręce..... kto to wie, coby można zrobić?

— Przynajmniej od krzywdy się obronim.

— Jeszczeby nas i na dobrego figła dla drugich stało — rozśmiał się Sobocki. — Ty tu pod bokiem jego ciągle, ja w miasteczku, bez którego żaden się interes i interesik nie obejdzie.... moglibyśmy wiele, gdybyś miał rozum...

— Ale cóż ty myślisz bracie?

— Ba! co ja myślę! nie wiem czy tobie powiedzieć....

— Dla czegoż nie?

— Boś ty młokos jeszcze.

— Bądź o mnie spokojny, ja nie popsuję sprawy to moja własna....

— Aleś ty może skrupulat? — odezwał się kancelista.

— Ja? — spytał ruszając ramionami Jaś — ja?

— Otóż bo to widzisz — dodał rozpalając się myślą swoją Sobocki — my wedle praw choćbyśmy wzięli tę część naszą.... co to znaczy? a możemy zabrać wszystko.

Jaś uład że nie zrozumiał; chciał być głupszy, żeby mu więcej zaufał szwagier.

— A tak! wszystko! albo toby było bardzo co złego? albo to czyje? stryja! Albo to onby nie mógł nam samym zapisać! Wszak to derobkowe? z kart przyszło! Co familji do tego! nie ojcowizna! nie macierzyste! Testament byłby formalny! Jak ty myślisz — spytał — czy on zrobi testament?

— Tego to nie wiem — rzekł Jaś powoli cedząc i namyślając się co ma powiedzieć — trudno tego człowieka poznać. Boi się śmierci i zdaje się niedbać co potem będzie.... jemu to wszystko jedno kto weźmie, nikogo tak dalece nie kocha, a po troszę drwi ze wszystkich.

— Masz ty jego pismo jakie? — spytał Sobocki.

— Jak to? jakie?

— Jakiebądź, ale z podpisem, list, kwitek.

— A na cóż się to przydało? — naiwnie spytał Jaś.

Sobocki spojrzał na niego, jak gdyby mówił:

— O! jakież głupi!

— Mogłbym mieć — dodał po namyśle Jaś — i list i podpis.

Sobocki zawahał się z odkryciem swego wniosku.

— A wiesz ty — rzekł — gdzie on chowa swoje papiery.

— Zapewno muszą być w tym pokoju, do którego nikt nie chodzi.

— W jakim?

— Czyżeś o nim nie słyszał?

— Ale nie.

— Stryj ma pokój jeden taki, do którego prócz niego nikt nie wchodzi; okna wysokie zakratowane, od drzwi zawsze klucz przy nim. Pół dnia tam siedzi i niewiadomo co robi... papiery tam być muszą.

Sobocki się namyślił...

— Ha! — rzekł — możnaby i tej tajemnicy dojść... gdyby tak kto doniósł... że tam jest co zakazanego... albo że tam robi fałszywe assygnaty, co strasznie czyni podobnem jego fortuna tak nagła i z niczego... zrewidowanoby co tam jest do świstka i dowiedzielibyśmy się...

Jaś aż się wzdrygnął.

— Zmiluj się, do czegoż to wszystko! — zawolał.

— E! to się tylko tak mówi, gdyby z interesu wypadło dowiedzieć się co tam jest.

— Tam najpewniej muszą być pieniądze, które tak lubi — rzekł Jaś.

— No! to i testament tam być może.

— Gdyby był!

— A myślisz że nie będzie?

— Nie sędzę... bo wcale niedba co z nami będzie po nim.

— Tobo lepiej było.

— Jak to lepiej?

— Słuchaj Jaś, tyś nie głupi — rzekł raptem Sobocki stając — tylko nic nie rozumiesz interesów... Co tu długo gadać! Jakby on testamentu niezrobił, czy toby było tak co złego, żebyśmy go sobie zrobili? Wszak to i tak nasze, ci bogacze nie potrzebują... wówczas mielibyśmy okrągło po miljonku.

— A nużby poznano fałsz?

— Ba! ba! — rozśmiał się Sobocki z dziwną miną. — Czy to takie głupie rzeczy się robią, a dziesięciu biegłych nie pozna że to się fabrykuje. Sam Kasztelan, by się do niego mógł przyznać. Już to ja w tem, że gdyby się napisało, tobym się niepowstydził, ani podpisu, ani pieczętek... Podpisałibyśmy i żywych i nieboszczyków jak się należy...

Jaś dumal i zdawał się bardzo zdziwiony, choć z góry przewidział, co mu może powiedzieć Sobocki; nie chciał jednak być pierwszym do projektu.

— A! a! — rzekł — dobry by to był figiel tym panom, co to się tu tak zlecieli zajrzeć w oczy stryjowi, czy długo jeszcze pociągnie a chapując co zostawi... ale to wszystko nie łatwe.

— A tyś chciał żeby ci łatwo przyszedł milionik?

— Ale bo to można i w Sybir pójść i miliona nie mieć!

— Za takie rzeczy nie — rzekł Sobocki poważnie — za małe kradzieże to się trafia, ale gdzie chodzi o miliony to się robi porządnie i przezornie. Gdybym ja był na twojem miejscu, zrobiłbym to tak gładko, że nikt by się nie domyślił! To zresztą głupstwo! Albo to co dziwnego że nam zapisze, najuboższym z familji... to po prostu kaprys, a on kapryśny! A w ostatku — pal ich diabli, niech gadają co chcą, niech mówią żeśmy pofałszowali, byle się udało. Testament tylko podrzucić jakby stary dochodził i krzyżyka liźnąć... ot i cały interes.

— A nuż się w przypadku znajdzie drugi?

— Prawda! toby było głupio? Ale od czegoż u ciebie głowa na karku? Tyś powinien wiedzieć czy robi testament czy nie, podkraść się, wysledzić, wypatrzyć, wychwycić, podłożyć. To twoja rzecz, a moja resztę zrobić.

Jaś ndawał głęboko zamyślonego.

— Sluchaj-no — odezwał się do Sobockiego — co będzie to będzie; my we dwóch sobie pomagajmy, ja tu na straży, ty w odwodzie z pomocą w miasteczku... nikomu, nawet Michasiowi ani słowa... Testament niech będzie w pogotowiu!

— W pogotowiu! Albo to ci się zdaje, że taki testamencik, to jak zapasne koło do wozu, co się na rynku kupi i telepie z tyłu... To rzecz i trudna i droga... tysiąc rubelków... może dwa... pewnie nie mniej. Ja go wystroić wystroję, ale jak już rzecz będzie pewna.

— A więc — rzekł Jaś między nami ręką!

— Ręka rękę myje, a noga nogę... zdradza! — roz-

śmiał się pan Matensz — bądź spokojny! Tylko jeśli zapotrzebujesz testamentu, wcześniej dostarcz wyciski pieczętek jego.... listów, podpisów.... i pomyśl kogo można nieboszczyka za świadka podpisać.

— A jeśliby tu mnie znowu bruździł Terminiński — dodał Jaś — prześladowała Aniela, albo kto z krewnych doknczył, a potrzebaby nsunąć... w tem twoja głowa.

— Tylko mi daj znać, to nie łatwiejszego.

Jaś tylko ślinkę połknął, w milczeniu i ciemności podali sobie ręce dwaj godni współpracownicy, Sobocki zatarł włosy, i rozśmiał się półgłosem.

— Miljonik! do licha! byłoby za co hulnąć choć w Żytkowie.... oj! tobym sobie hulnął do kroćset djabłów... szampana... Cremant! a dziewczęta! zobaczyłbyś cobym ja miał!

— Szwagrze! protestuję przeciwko temu co wspomniateś — a Antosia?

— No! co ty chcesz? żebyśmy koło niej całe życie wisiał! Żona jest tylko dla dzieci, dla domu, a ktoby u licha z jedną cały wiek wytrzymał! Zobaczysz sam jak się ożenisz, jaka to przejadająca się potrawa!

Jaś machnął ręką, Sobocki w zapale marzenia mówił dalej:

— A co myślisz? powścickaliby się ci pankowie ze złości. Ot, tobym im figla pokazał, im co teraz parzą na mnie jak na raroga i półgebkciem do mnie gadają. E! trząsłbym Żytkowem, trząś! aj! Ale dość! nie trzeba się darmo rozpalać!

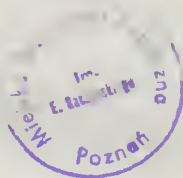
— Słusznie mówisz — rzekł Jaś spokojny i zimny, późno już, rozejdźmy się, a powtórzmy sobie co postanowiono.

— Nie potrzeba powtarzać — przerwał Sobocki — mam ja głowę niczego, byle tylko było jej na co użyć; zrobię, nie powstydzim się. Aniela zapakuję gdzie zechcesz, Terminińskiego także łatwo złapać. A co do testamentu, już ja w tem; tak ci go napiszę, że i diabeł nie zwącha fabryki.

— Chodźmyż do domu — a każdy z osobna — spełnił weselej Jaś dopiąwszy celu — nie trzeba, żeby się kto spotkawszy nas razem domyślał, co się święci.... Dobranoc!

Taki był koniec narady, której skutki wkrótce zobaczymy.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



400-

KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



D N° 261157

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1438



JIK1438